

ERCKMANN  
CHATRIAN:

Opowiadania  
Alzackie



J. Hoffmann





4030

BRISTOL PULP  
MADE IN U.S.A.  
ZANUSCHI

LIBRARY  
OF THE  
MUSEUM OF  
NATURAL HISTORY  
AND  
ZOOLOGY  
OF THE  
CITY OF  
NEW YORK



HERCKMANN CHATRIAN

# OPOWIADANIA ALZACKIE

BIBLIOTEKA PUBLICZNA

W. ANNA ZAMOCKA

W Zamocku

WYDAWNICTWO „BIBLIOTEKI GROSZOWEJ”



BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
Miejskiej Rady Narodowej  
w Zamościu

2615

821.133.1-3

Odbito w Drukarni Polskiej  
w Białymstoku, Sp. Akc.,  
ul. Warszawska 61  
Telefon 273

Księgozbiór BP



10084459

Zamość ul. Pereca 14  
Biblioteka Publiczna

14550 / P



BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
M. ANNA ZAWADZKA  
W ZAMOŚCIE

## WIELBICIELE KATARZYNY

### I

Nie znałem w całej Alzacji lepszej kuchni i przyjemniejszej gospośi, jak w oberży „Pod karpiem”, utrzymywanej przez Katarzynę Koenig, we wsi Neudorf, blisko Huningue.

W roku 1812 Katarzyna miała lat dwadzieścia cztery, była świeża, wesoła i pulchna; twarz miała nadzwyczaj miłą i pociągającą. Ubierała się zawsze starannie, podług mody, panującej w Neudorf, w szeroką suknię w białe i czerwone pasy, gorset z szelkami, a na starannie uczesanych włosach nosiła czepce z czarnej materji.

Była rzeczywiście bardzo miła; jej różowe policzki, nos prosty, ku końcowi troszeczkę zadarty, bródka okrągła, zęby białe, jak śnieg, i usta świeże, jak wiśnia, zachwycały każdego. To też wszyscy rolnicy i woźnice okoliczni owego czasu, odbywające częste podróże między Milhuzą i Bazyleą, zatrzymywali się w oberży „Pod karpiem”. Trzeba było widzieć jak ich Katarzyna przyjmowała, jak szczebiotała do nich, jak się z nimi poufale witała.

— Ah! to Andrzej! Cóż tak długo bawiliście w ostatniej podróży? — pokazujecie się tak rzadko, jak

pogoda! Wszak można wam służyć śniadankiem, prawda? Hej, Kasiu, Marysiu! nakryjcie stół dla Andrzeja! Mam właśnie pieczeń baranią gotową, po której palce będziecie oblizywać. Kasper! zaprowadź konie do stajni, i wóz pod szepę, a nie zapomnij, że to wóz Andrzeja... zarzucić siano za drabiny, tylko prędko! Kiedy tu już jesteście, tom spokojna."

Mówiąc to, uśmiechała się, woźnica był kontent, Katarzyna umiała żyć z każdym, i każdy się do niej cisnął. Gdy przyszło do obrachunku, nikt nie śmiał targować się o parę groszy. Przytem trzeba dodać, że Katarzyna umiała prowadzić swój interes: nie zdierała nigdy, a wino miała zawsze dobre.

— No, dalej do stołu, Andrzeju, dobrego apetytu!

Woźnica, wszedłszy do wielkiej sali, zastawał trzech lub czterech kolegów, którzy przybyli rano lub bawili od wczoraj; szklanki dzwoniły, butelki wypróżniały się, baranina z czosnkiem napełniała zapachem cały dom.

W taki sposób Katarzyna przyjmowała swych gości, nazywających się Andrzejami, Janami, Mikołajami i t. p., wszyscy oni byli jej przyjaciółmi i dawnymi znajomymi.

Łatwo się domyśleć, że oberżystka, mająca dziesięć morgów najlepszego gatunku i najlepiej w całej okolicy uprawionej winnicy, wielką łąkę, okazałą oberżę, qumno, dystylarnię, dobrze utrzymane i zaopatrzone podwórze, na którym piał kogut wpośród całego zastępu kur, a do tego ładną twarzyczkę, oczy żywe i łagodne i uśmiech czarujący, miała wielbicieli aż do zbytku. Warto było ich widzieć, ciągnących sznurem jeden za drugim, w niedzielę lub święto, do oberży, pod pozorem wypicia szklanki wina przed nabożeństwem; była to prawdziwa procesja.

Pochód ten zwykle rozpoczynał Jan Noblat, piwowar, ogromny drab z jasną brodą, który obchodził

kuchnię z rękami założonemi, pięć lub sześć razy medytując w jaki sposób oświadczyć się i nigdy nie mogąc zdobyć się na to. Pytał o nowiny, o winobranie, o to, o owo, kaszłał, spoglądał na Katarzynę i kończył wejściem do sali, mówiąc sam do siebie: „Trzeba to odłożyć na inny raz, ona dziś jest widocznie w złym humorze. Na przyszłą niedzielę zobaczymy.“

Za nim wchodził Konrad Schaeffer, handlarz koni, z kozią bródką, w długiej kapocie szaraczkowej, w kapeluszu z dużemi skrzydłami, kłaniając się do ziemi i mówiąc: „Niech was Bóg ma w swojej opiece, Katarzyno! — przyczem spoglądał zukosa jak kozioł — zawsze świeża, jak róża, zadowolona i uśmiechnięta ehl ehl ehl“ Schaeffer wahał się, chciałby powiedzieć co innego, lecz obecność służącej wstrzymywała go, szedł więc w ślady Jana, zamyślony, a za nim włókł się jego pies ze zwieszonym ogonem i uszami.

Następnie wchodził Michał Matter, młynarz, w jasno-niebieskiej bluzie, z twarzą wesołą, okoloną rudemi kędzierzawemi włosami, w czapce na ucho zsuniętej. Ten śmiał się, aż szyby drżały, przymrużał małe ciemne oczki, zobaczywszy Katarzynę, ożywał się i krzyczał na całe gardło:

— No, sąsiadko! kiedyż się pobierzemy? ha! ha! ha! Czyż końca temu nie będzie! Ah! Katarzyno! Katarzyno! zabijasz mnie, powiedz przecie kiedy myślisz skończyć ze mną?

— Ależ, panie Michale, — odpowiadała Katarzyna — co też pan mówisz; pewno o tem ani myślisz.

— Owszem. Oh! jak myślę o tem! dzień i noc! krzychał młynarz, obejmując Katarzynę.

Ona gniewała się, goście wytykali głowy z sali, i półzartem, półserjo mówili: „Ten Michał nie umie znaleźć się. Co to za maniery?“

— Pilnujcie swego nosa, — krzychał Matter tonem oburkliwym — nie do was należy wtrącać się!



I kończył, jak inni, wejściem do sali, marszcząc brwi i przeklinając kobiety, które nie wiedzą nigdy czego chcą i z którymi nikt nie wie jak sobie poradzić.

Zaledwie Michał Matter usiadł przy szklance, mrużąc pod nosem, gdy z kolei pokazywał się w kuchni stary Rebstock, mer gminny, najbogatszy winiarz w Neudorf, w surducie, czerwonej kamizelce, krótkich spodniach, o czerwonej twarzy i purpurowym nosie, z łysą głową, na której sterczały tylko koło uszu dwa kosmyki włosów; Rebstock zdejmował na progu trójgraniasty kapelusz i, zatrzymawszy się, patrzył przez chwilę na buchający w kominie ogień, na półki ze świecącymi rądlami i okrągłymi wazami i napawał się zapachem baraniny, gęsiny lub królika na rożnie. Podziwiał porządek i czystość w kuchni; twarz jego wypogadzała się:

— Ah! jakżeby mi tu dobrze było! — myślał.

Katarzyna widziała go, lecz udawała, że jest czem Innem zajęta, szumowała rosół, zaglądała do garnka, wydawała jaki rozkaz starej Salomei; a on tymczasem przypatrywał się jej, wzdychał głęboko, wkońcu mówił:

— Dzień dobry, Katarzyno, otóż i ja jestem!

— Ah! pan Rebstock! dzieńdobry panu. Nie spodziewałam się pana tak wcześnie. Cóż pana sprowadza tak rano?

— Co mnie sprowadza tak rano? czy potrzebujesz mnie się pytać o to, Katarzyno?

I, mówiąc to, spuszczał oczy, pokaszłując.

— Czy nie wiesz ile cierpię przez ciebie? Ah! Katarzyno! moje biedne serce nigdy tyle nie cierpiało... nie, nawet w czasach mojej młodości, gdym się umizgał do nieboszczki...

A Katarzyna spuszczała oczy, przybierając minę niewiniątka. Nasłuchawszy się zaś westchnień i jęków starego Rebstocka, odpowiadała:

— Ah, panie Rebstock! zawsze pan jesteś największym bałamutem z całej wsi. Mój Boże! Jakąż to wytrwałość w cnocie muszą mieć te biedne kobiety! Salomeo, uważaj! pieczeń się przypala!

— Bałamut!... — mówił stary — ty wiesz, że to wdobrym celu... ja nie żartuję wcale...

Ale ona, widząc, że nadchodzi formalne oświadczenie, przerwiała:

— Ah! mój Boże! zapomniałam, że trzeba otworzyć dużą beczkę... dziś niedziela. Przepraszam, panie Rebstock, muszę się śpieszyć. Chodźno, Kasprze. Salomeo! pilnujcie pieczenia! I biegła do spiżarni.

Wtedy Rebstock podnosił głowę i mówił sucho:

— Salomeo! Szklanę wina białego i kielbasy. Następnie wchodził do wielkiej sali w bardzo złym humorze, przeklinając pocichu Katarzynę, bo pamiętał dobrze, że oberżystka ma ładną winnicę, dom i talary.

— Musi się w kimś kochać, mruczał; tak, tak, nie zawodnie... pewno w jakim hołyszu bez grosza. Wszystkie kobiety są takie — patrzą tylko na ładną twarz!

I stary winiarz zasiada na rogu stołu przy ścianie, na której był wymalowany szwajcarski widok o zielonych górach, niebieskich rzekach i czerwonych drogach.

Tymczasem przybywali: Nikel Finck, blacharz, Zacharjasz Goetz, kowal, Jakób Jaeger, leśniczy, Józef Krug, Krzysztof Henne i inni. Ze wszystkimi Katarzyna umiała się obejść w ten sposób, że odprawiała delikatnie, nie odbierając żadnemu nadziei, bo chciała sprzedać swoje wino, bułki i kielbasy. W niedzielę najwięcej się zarabiała; trzeba pamiętać o wszystkim. Była to przebiegła kobieta i znająca się na ludziach doskonale. A przytem nie miała wcale chęci do zamężcia i, prawdę powiedziawszy, miała słuszość; dość było spojrzeć po całej wsi, ażeby przekonać się, że małżeństwo więcej przynosi ciężaru i przykrości,



niż szczęścia, a szczególnie dla kobiet. Mężczyźni mają przynajmniej rozrywkę w szynku, ale kobiety!... miły Boże! ileż to potrzeba zaparcia się, ażeby po-  
dołać swym obowiązkom!

Katarzyna więc nie miała chęci wyjść zamaż; ale, mimo to, życie samotne wydawało się jej także rze-  
czą nie bardzo ponetną. Prawda, że wstawszy rano i zajmwszy się robotą, gdy oberża cała jest w ruchu, gdy jedni, wyjeżdżając, wołają o śniadanie, drudzy przyjeżdżają, gdy trzeba rozpalać ogień na kominie, w wielkiej sali i w pokojach gościnnych, nalewać bu-  
telki winem, dawać rozporządzenia służącym i t. d., wtedy czas jakoś prędko przechodzi, myśli się tylko o gospodarstwie; lecz wieczorem, po całodziennem  
znużeniu, gdy już wszyscy śpią, przychodzą różne myśli do głowy i życie samotne wydaje się bardzo smutnem.

Nie wiem, czy Katarzyna myślała o tem; lecz wiem, że nieraz wieczorem, przyszedłszy do swego pokoiku, leżącego nad bramą wjazdową, stawiała świe-  
cę na stoliku, odsuwała firankę i patrzyła na drugą stronę ulicy, na czytającego przy lampie nauczyciela wiejskiego Henryka Waltera, który od czasu do cza-  
su podnosił swe melancholijne oczy na sufit. Widzia-  
ła w głębi izdebki łóżko, na prawo półki z książka-  
mi, a przed niemi stolik jodłowy z przyrządem do pisania, wszystko to wydawało się jej smutnem, ale to tak smutnem, że wyciskało łzy z oczu.

Henryk Walter mógł mieć wtedy około dwudzie-  
stu pięciu lat życia. Bóg tylko jeden wie, jakie od  
ośmnastu miesięcy biedny chłopiec znosił męczarnie,  
chcąc godnie odpowiedzieć swemu powołaniu i na-  
uczyć dzieci wiejskie czytania, pisania, rachunków,  
historji świętej i choć cokolwiek poprawić zaniedba-  
ne wychowanie domowe, wstrzymać od wrzasków na  
ulicy, od wykradania owoców sąsiadom i od żebra-



hła we czwartki i w niedziele na gościncu. Biedny człowiek widział, że jego usiłowania nietylko nie osiągały skutku, lecz jeszcze całą wieś oburzały; kobiety szydziły z jego wytartego ubrania, zużytego kapelusza, bladej cery, a nawet z jego pończoch cerowanych; wreszcie doszło do tego, że straciły wszelkie pomiarkowanie względem niego, a to z tej przyczyny, że raz, zniecierpliwiony, miał nieostrożność powiedzieć dzieciom w szkole: — „Moje kochane dzieci, jeżeli tak będzie dalej, wszystkie będziecie osłami, takimi, jak wasi ojcowie i matki. Pan Imant, mój poprzednik nie mógł ich nigdy nauczyć *b-a ba*, a ja nie mogę was nauczyć odróżniać 1 od 2”. Była to smutna prawda: o ile nauczyli się prędko rachować na palcach, o tyle z trudnością przychodziło im dodawanie na tablicy.

Ale od tego pamiętnego dnia nazywano we wsi Waltera najgłupszym, najbiedszym i najchudszy z wszystkich nauczycieli w Alzacji; a oprócz tego podano wniosek na radzie municypalnej, ażeby mu odebrać dodatek dwustu franków, który gmina płaciła, co, jak sędzę, nie bardzoby mu pomogło do utycia.

Takim był ów biedny chłopiec, któremu się Katarzyna przyglądała co wieczór — i, rzecz dziwna, im więcej patrzała, tem mniej brzydkim wydawał się jej. Jego blada twarz, wysokie czoło, otoczone puklami ciemnych włosów, usta małe, z melancholijnym uśmiechem, rozczulały Katarzynę do tego stopnia, że, patrząc na zbyt krótkie rękawy jego surduta, z których wysuwały się chude ręce, na jego wklęsłe policzki i rozmarzone oczy, otoczone siłą obwódka, czuła we własnem sercu odbicie jego niedoli.

— Jaki miły — mówiła sobie — i dobry... i ładny... tak, ładny.. Lubię go więcej, jak Michała Matter z jego szerokimi ramionami i Jakóba Jaeger z wąsami długimi na łokieć.. Niech, co chcą, mówią, to

niebrzydki człowiek; gdyby się tylko więcej i częściej śmiał... a gdyby jeszcze wypił choć czwartą część tego, co Józef Krug lub stary Retstock, byłby tak rumiany i zdrowy, jak nikt we wsi.

Tak sobie rozmyślała Katarzyna. Może być światło lampy sprawiało, że Walter wydawał się jej ładnym, ale i inna rzecz jeszcze skłaniała ją ku niemu, a mianowicie to, że Walter, ujrawszy ją choćby zdaleka, rumienił się aż po uszy, a często, gdy przechodziła koło domu, zauważała, że Walter, ukryty za zasłoną okna w szkole, patrzył na nią ukradkiem; wtedy czuła się dumną, serce jej biło prędzej, nie śmiała obrócić głowy i przyspieszała kroku, udając, że nic nie widzi. Takie to są kobiety! ta Katarzyna — tak wesoła i śmiejąca się w kuchni z Michałem Matter, Józefem Krug i innymi — marzyła pociachu o chudym nauczycielu, płakała nieraz, a, kładąc się spać, szeptała: „Tak, jestem pewna, że on mnie kocha, nie może być inaczej!” I po takiej konkluzji słodko zasypiała.

Katarzyna nie myliła się. Henryk Walter kochał ją, a raczej uwielbiał; nie mógł oczu oderwać od niej, miał ją za najpiękniejszy, najudatniejszy i najdogodniejszy podziwu utwór Boski na tym świecie. Usłyszawszy jej głos zdaleka, doznawał przyjemnego drżenia w głębi serca. Lecz, o zbliżeniu się do niej, o uściśnieniu jej ręki, nie marzył nawet; on, syn biednego drwała z Hirschlandu, bez majątku, on, którego jedynym środkiem utrzymania była skromna płaca nauczycielska, nie odważyłby się na krok tak śmiały i uważałby się za zbyt zuchwałego. Lecz kochał Katarzynę, marzył o niej dzień i noc, nawet podczas szkolnych godzin. Nie marzyć o niej, było nad jego siły; zwłaszcza w lecie, w czasie sianokosu i żniw, w te piękne dni, gdy śpiewają wszystkie ptaki, a w powietrzu brzęczą owady, w dni, gdy



gorąco jest tak wielkie, że powieki same się zamykają, wtedy Walter, oparłszy się o katedrę, marzył, przesiadywał godziny całe, pogrążony w dumaniu. W takich chwilach dzieci mogły dowolnie figlować i rozmawiać, Waltera nic nie mogło wyrwać z zadumy; jego myśl była na łąkach, pośród kwiatów, kołysanych wiatrem, woddali widział żniwiarki w wielkich kapeluszach słomianych, zajęte pracą, a Katarzyna, najpiękniejsza i najzwinniejsza ze wszystkich, pomagała i wydawała rozkazy.

Ku wieczorowi, gdy wielkie obładowane wozy powracały do Neudorf, gdy kosiarze z błyszczącymi kosami na ramionach i zawiniętymi rękawami od koshul szli zmęczeni powoli, a żniwiarki, siedząc na wozach pośród siana, jak mako agwy w gniazdku, śpiewały pieśń żniwarską, wtedy Walter, natężając słuch, odróżniał głos Katarzyny, który mu się wydawał głosem anioła, wstrzymywał oddech, ażeby nie stracić ani jednej nuty, wspinał się na palce i wpatrywał w Katarzynę. Przez cały czas przekładania siana z wozu nie ruszał się, patrząc z uwielbieniem na swoją bogdanę, a gdy wybiła piąta godzina i dzieci, chwytając swoje torby i czapki, wyskakiwały z ławek, wrzeszcząc triumfującym fonem: — „Dobry wieczór, panie Walter“ obracał się zdziwiony i, patrząc na zegar, szeptał: — „Już!... a toż dziś czas prędko przeszedł!“

Potem siadał na progu domu szkolnego, patrzył na dzieci, uciekające ze szkoły, jak zające, i rozpraszające się w ulicy.

— Szczęśliwy wiek! — myślał sobie, — piętnaście lat temu i ja byłem taki sam.

Żalował przeszłości, bo być zakochanym bez nadziei, to bardzo smutno... Dnie powszednie były dla niego jeszcze dość znośne, bo mógł przynajmniej marzyć, lecz święta, gdy widział bogaczy, wchodzących „Pod karpia“ i pijących wino w wielkiej sali,



powiększały się jego cierpienia; jego położenie wydawało mu się nieznośnem.

— Boże wielki! — mówił do siebie, — gdy pomyślę, że znajdują się na świecie szczęśliwi, którzy mogą zasiać w tym domu i patrzeć na pannę Katarzynę, a nawet rozmawiać z nią, wtedy zdaje się, że ludzie rodzą się pod szczęśliwą lub nieszczęśliwą gwiazdą.

Oto dlaczego Henryk Walter był smutny. Ah! gdyby on wiedział, że Katarzyna przyglądała mu się co wieczór, gdy siedział nad książką, gdyby wiedział, że nie znajduje go brzydkim i że często powtarza sobie:

— Biedny chłopiec, jaki łagodny i nieśmiały, lubię go więcej, jak Mattera, Finka i innych!... gdyby wiedział, że Katarzyna myśli to, patrząc na niego, dziękowałby Bogu, że go stworzył chudym i bladym, biednym i melancholijnym, gdyż to ściągnęło na niego uwagę Katarzyny.

Lecz nie wiedział o tem i ukrywał miłość w sobie, ażeby nie obudzić podejrzeń mieszkańców wsi, którzyby mu natychmiast wystarali się o uwolnienie ze służby, gdyby się czegokolwiek domyślali.

Jednakże stary Rebstock, chodząc codzień bardzo rano do swoich winnic, zauważył, że Henryk Walter, oparłszy się plecami o ścianę domu szkolnego, tak się pogrążał w dumaniach, że nie widział ludzi, przechodzących ulicą. Henryk miał zwyczaj zamiatać szkołę i gotować sobie jedzenie o świcie; później wychodził patrzeć na słońce, wschodzące z za niebieskich gór Szwarzwaldu, słuchać przepiórek, odzywających się w polu i kogutów, piejących na dzieńdobry. Rozkoszował się, patrząc na jaskółki ginące w białej mgie rannej, słuchając ich swiergotów miłosnych, widząc to, życie budzące się po śnie nocnym; psy, wychodzące ze swoich legowisk, kręcące się od jednych drzwi do drugich, chaty, otwie-

rające się jedna po drugiej, dzieci, wybiegające z nich w koszulach i boso, pasterza, zgromadzającego dźwiękiem ligawki naokoło studni trzodę, długim szeregiem idącą w pole z kozami na czele, i biedne owce, wecznie się skarżące, i ładne krowy, i woły, z rykiem idące na paszę — na wszystko to lubił patrzeć Walter, bo, patrząc na to, marzył o Katarzynie. Przyjemności tych nikt nie mógł mu zabronić, bo nie szkodziły one nikomu. Ale Rebstock, widząc go tak zamyślonego przez kilka dni zrzędu, zaczął podejrzawać; a jego podejrzenia wzrosły jeszcze, gdy jednego rana spostrzegł Katarzynę, w rannem ubraniu, zbierającą jarzyny w swoim ogrodzie. Zdaleka, a miał wzrok dobry, zdawało mu się, że spoglądała często przez płot ogrodu na dom szkolny, zbliżył się więc niepostrzeżenie i utwierdził się w swem mniemaniu.

— Al! al! — powiedział sobie, — wiem teraz dlaczego Katarzyna mnie nie chce: kocha się w bakalarzu, tak, tak, to jasne, jak dzień!

Stary lis wiedział, że z kobietami nikt nie poradzi, sprzeciwiając się, a często opór nasuwa im myśli, któreby same nie przyszły, więc nie powiedział nic nikomu, lecz postanowił wyrugować ze wsi Waltera.

W tym celu, w pięć lub sześć dni potem, usłyszano rano głos dzwonka merostwa, wzywający radę muncypalną na posiedzenie. Było to na początku sierpnia w czasie żniwa; wszyscy więc byli zdziwieni, bo w tym czasie każdy wołał iść za swoim interesem, aniżeli radzić o interesach gminy; mimo to, wszakże każdy myśląc, że idzie o interes wielkiej wagi, przywdział strój świąteczny, nakrył głowę trójkątnym kapeluszem i udał się do merostwa.

Koło ósmej godziny wszyscy członkowie rady byli zebrani. Gdy zasiedli, ojciec Rebstock podniósł się, położył swój kapelusz na stole i tonem urzędowym



przemówił: — „Jest to rzecz haniebna kosztem gminy żywić próżniaków, ludzi, którzy siedzą od szóstej rano do południa i od pierwszej do piątej przy dobrym ogniu w zimie, a przy otwartym oknie w chłodzie, letnią porą; gdy tymczasem setki ludzi pracowitych drży na zimnie, rąbiąc drzewo, lub oblewa się krwawym potem przy sianokosie, żniwie lub orce na słońcu. Chcę tu mówić o Henryku Walterze, o tym niegodziwcu, który nazywa osłami ojców rodzin i najlepszych obywateli Neuderfu, z których każdy jest tysiąc razy więcej wart, jak on. Wieści te dopiero teraz mnie doszły; gdybym był wiedział o nich wprzód, nie uszłoby mu to na sucho. Któż jest ów Walter, pomiatający wszystkimi? Jest to golec, żyjący naszym kosztem, nie oddający za to najmniejszej usługi gminie. Dawniej, słyszeliśmy nauczyciela, śpiewającego w kościele. Stary Imant, pomimo swego wieku, miał głos wspaniały, ale ten skrzeczy, jak żaba w suchej trawie, nie słysząc go nawet; nasz biedny proboszcz zmuszony jest śpiewać za czterech i narażać się na apopleksję z wysiłku, dlatego, że Walterowi nie chce się ust otworzyć. Lecz, co gorsza... ludzie, idący rano do roboty, widzą próżniaka, nasycającego się świeżym powietrzem, z rękami w kieszeniach, patrzącego na oberżę „Pod karpiem”, jak-gdyby mu stamtąd wpaść miały pieczone gołąbki do gęby; nie raczy się nawet ukłonić tym, którzy idą kopać dla niego kartofle, wielki pan... uważałby sobie za hańbę podnieść rękę do kapelusza. To jeszcze szczęście, że nie żąda funduszu na utrzymywanie służącej, któraby mu gotowała zupę i chleb krajala. Otóż więc, tak być dłużej nie może! trzeba, żebyśmy prosili o innego nauczyciela, człowieka w pewnym wieku, mającego zdrowe piersi i rozsądnego, bo tylko taki nauczyciel może się na coś przydać. Walter niech idzie gdzie indziej zarabiać dwieście franków,



któreśmy mu dawali; zobaczymy, czy to łatwo przyjdzie! Powiadam jeszcze raz i wnoszę, że trzeba prosić o innego nauczyciela, któryby był żonaty... oto moje zdanie."

Rebstock usiadł, a ponieważ czas naglił, wszyscy byli jego zdania. Sekretarz Wendling wynalazł wzór do napisania jednomyślnej uchwały rady municypalnej, każdy podpisał się, pragnąc jak najprędzej zakończyć sesję, żeby iść do pilnej roboty i tym sposobem Walter, nie będąc słuchany, a nawet nie wiedząc, co mu zarzucają i jaką zbrodnię popełnił, w przeciągu pół godziny został osądzony. Lecz wielka nowina rozeszła się dopiero wieczorem, bo tego dnia połowa Naudorfu zajęta była w polu wiązaniem zborza w snopy.

Szczęściem Rebstock i inni przyjaciele oberży „Pod karpiem” nie doszli jeszcze do końca swych kłopotów. Słusznie bardzo powiedziano, że człowiek strzela, a Bóg kule nosi; a zdaje mi się, że byłoby słuszniej, gdyby człowiek zostawił Bogu i strzelanie i noszenie kul, bo nie miałby potrzeby robić sobie tak często wyrzutów.

## II

Tego dnia, w którym odbywała się pamiętna sesja, w oberży „Pod karpiem” została tylko Salomea i sama właścicielka. Marysia i Kacper wyszli bardzo rano z wozem, zaprzężonym wołami, a ponieważ podróżujący woźnice także byli u siebie zajęci, więc po raz pierwszy od trzech tygodni, rożny były nieczynne.

Skwar był wielki i powietrze duszne, zapuszczono więc rolety od ulicy, ażeby zasłonić wnętrze od palących promieni słońca, a otwarto okna na ogród, gdzie był cień. Katarzyna czuła się czegoś niespokojną, coś ją dręczyło; wchodziła i schodziła ze scho-

dów, otwierała szafy, przeglądała bieliznę, spoglądała na starą Salomeę, która drzemała w kącie przy kominie, zamiast obierać kartofle, od czasu do czasu otwierała oczy napół, zażywała potężny niuch tabaki i zaczynała skrobać kartofle, póki nie usnęła na nowo. Wreszcie, gdy dziewiąta wybiła na kościelnym zegarze, Katarzyna odchyliła pocichu jedną roletę i wyrzała ku domowi szkolnemu. Walter, wsparty łokciami o ramę okna, siedział zadumany i patrzył z wyrazem niewysłowionego smutku. Katarzyna, ujrawszy go, zasłoniła roletę i zbliżyła się do Salomei, która chrapała, jak piszczałka od organów.

Katarzyna stanęła przed służącą, popatrzyła, a potem nagle, poruszywszy ją za rękę, przebudziła. Salomea zmieszana, widząc przed sobą panią, wybełkotała:

— Ach! przepraszam panią... zdrzemnąłam się... tak jest gorąca... ale się pośpieszę.

— To nic, Salomeo,—odpowiedziała Katarzyna łagodnie—nie dlatego cię obudziłam... pozwoliłam ci drzemać, ale... chcę cię poradzić w pewnej rzeczy, bo wiem, że jesteś przywiązana do mnie.

— Czy jestem przywiązana? ach! pani! gdybyś była moją córką, nie kochałabym cię więcej.

Potem, zażywając spory niuch tabaki, schowała tabakierkę do kieszeni i zapytała:

— Lecz, Boże kochany! co się stało?

— Chodźmy—powiedziała Katarzyna—do wielkiej sali, tam jest chłodniej. Zamknijmy drzwi na klucz, żeby nikt nie wszedł.

Mówiąc to, Katarzyna zamknęła sama drzwi i weszły do sali, w której zaledwie można było dojrzeć stoły i ławki w cieniu, gdy tymczasem szpary rolet błyszczały, jak świece.

Salomea była to przebiegła kumoszka, znająca się na wielu rzeczach. W młodości była zaślubiona nie-



Jakiemu Barabaszowi Hech, który ją prowadził, jak to mówią, za rękę, a drogę wskazywał kijem, i tak wymusztrował, że węchem poznawała gdy się działo coś nadzwyczajnego i odgadywała o co idzie.

— Usiądźmy — powiedziała Katarzyna — wskazując starej krzesło i siadając sama na rogu ławki, przy oknie.

Katarzyna nigdy nie była piękniejszą, jak w tej chwili ze swoją miną zaambarasowaną. Salomea, poprawiwszy włosy, patrzyła na nią w milczeniu. Katarzyna długo nic nie mówiła, nie wiedząc od czego zacząć, nareszcie rzekła:

— Wiem, że ty mnie kochasz, Salomeo, i dlatego chce się ciebie zapytać o rzecz ważną dla mnie. Wiesz, że wszyscy kawalerowie ze wsi, młodzi i starzy, Jeger, Walter, Schoeffer, Noblat, a nawet i Rebstok starają się o moje względy.

— Al! al! — pomyślała Salomea — spodziewałam się tego. A następnie powiedziała:

— To nic dziwnego, bo dziewczyny tak ładniej, wesolej i pojętnej, jak pani, nie znalazłby drugiej we wsi, a może i w całej okolicy, nie mówiąc już o majątku pani, o winnicy, łąkach...

— Tak — przerwała Katarzyna — lecz chciałabym wiedzieć którego z nich radzisz mi wybrać... widzisz bo Salomeo, żyć samotnie bez rodziny, wydaje mi się bardzo smutno... człowiek nie wie poco pracujel...

— Pracuje się dla zapewnienia sobie bytu i zaskosztowania przyjemności życia, to jasne — i dziwi mnie, że pani dotąd nie pomyślała o tem.

— Więc radzisz mi iść zamaż?

— To się rozumie. Małżeństwo, widzi pani, jest wielkiem szczęściem dla kobiety, gdy dobrze trafi, bo urwisów nie brak na świecie... dość na nim jest Barabaszów, z których jeden mnie się dostał... lecz mąż młody, przyzwoity, który robi wszystko, co żona chce,

prowadzi ją na tańce, wierząc mi, pani, jest największym szczęściem w życiu, wszystko inne nie warte nawet wspomnienia.

Patrzyły na siebie obydwie przez kilka sekund, poczem Katarzyna powiedziała tonem, w którym przebijало się zamyślenie:

— Zdaje mi się, że masz słuszość, Salomeo, ale którego wybrać?

— Na to trudno odpowiedzieć, to zależy od gustu i kolecru. Są bruneci, blondyni, szatyni, rudzi, siwi, szpakowaci. Ja nie jestem za szpakowatymi i siwymi, bo, na przykład, ojciec Rebstock wydaje się niby dobrze zakonserwowany, lecz starość czyni człowieka skąpym, oględnym, nudnym, kaszlącym; siedzi to później w fotelu, coś mu zawsze dolega, nie ma nigdy humoru, a wesoły bywa trzydziestego drugiego dnia w miesiącu, a przytem szpakowaci i siwi są zazdrośni, jak osły, przewidują wszystko, wszystko podejrzewają; nie, przez przyjaźń, jaką mam dla pani, radzę—unikaj starych.

— A rudzi?—zapytała Katarzyna.

— Rudzi, to zupełnie co innego, tacy mają pewne przymioty, ale są bardzo skorzy do bicia. Na przykład młynarz Matter, zdaje mi się, że nie bardzoby żartował z żoną, gdyby ją miał. Teraz śmieje się, chce panią ścisnąć, krzyczy ha ha ha ha hel hel hel ale ja znam się na tem! Mój Barabas był rudy i nie żałował kija, a to przykro nie wiedzieć na której nodze tańczyć, a przytem rudzi są niedowierzający, jak siwi, i wdodatkę przewrotni; zdaje ci się, że trzeba się śmiać, a on się o to gniewa, nigdy nie powie otwarcie, co myśli, ale jeżeli, pani Matter spodobał się...

— Nie—przerwała Katarzyna—to mi nie powstało w myśl.

— Masz pani słuszość! sto razy słuszość! Nie



wierz rudemu, niech cię Bóg bronil to djabelski kolor. Ale bruneci... ol to dobry kolor, a szczególnie bruneci o kręconych włosach.

Katarzyna zarumieniła się... Walter był brunetem.

Salomea spostrzegła zaraz, że jej rada przypadła do gustu pani, dlatego mówiła dalej ze wzrastającym uniesieniem:

— Bruneci, oh! to przyjemni ludziel del'katni. żywi, zawsze maja coś wescłego do powiedzenia, a przytem pracowici. Przypatrz się pani tylko Jakobowi Jeger, leśniczemu, który bywa tu co niedziela, reczę, że ten człowiek przechodzi dziennie od dziesięciu do dwunastu mil i nie znać na nim zmęczenia, a to jest rzecz przyjemna mieć męża zdrowego, który się nigdy nie męczy, bo dobre zdrowie daje dobry humor.

— Bezwątpienia — odpowiedziała Katarzyna obojętnie — Jakób Jager jest dzielny i wesoly człowiek, ale leśniczy... zawsze w drodze, a gdy się wychodzi zamaż, to...

— Al—przerwała przebiegła Salomea—widzę, że pani lubisz blondynów i, prawdę mówiąc, nie ganię gustu. Blondyni mają serce czułe i oczy niebieskie, któremi przenikają do głębi duszy, a przytem są nieśmiali przy swych żonach i posłuszni, jak baranki, obawiają się sprzeciwić żonie, a cerę mają różową, jak młode dziewczyny. Nie można powiedzieć, żeby byli mniej warci, jak bruneci, a nawet, prawdę mówiąc, pomi dzy blondynem a brunetam nie wiedziałabym którego wybrać; Jakób Jaeger jest starszy od Jana Noblata, ale ten pocciwy Jan...

— Ehl! kto ci mówi o Noblacie? Nie myślę o nim wcale!

— Wiec o kimże? czyżby o Zacharjaszu Goetz, kowalu, Konradzie Schaeffer, handlarzu koni, Józefie Krug...

— Nie... z tych żaden nie spcdołał mi się.

Później, wzniosłszy oczy w górę, powiedziała zarumieniona:

— Ten, którego bym kochała, Salomeo, musi być młody, łagodny, nieśmiały i kochać musi mnie tak, jak ja jego; nie powinien od rana do wieczora myśleć o zarobku, przytem powinien śpiewać stare pieśni; niech sobie będzie biedny, byle uważał mnie za najpiękniejszą na świecie.

— Ależ—zawołała zdziwiona służąca,—takiego nie znajdzie pani na świecie, taki, jakiego pani chce, powinien być blondynem jasnym, jak słoma, i mieć skrzydła.

— Nie, on jest brunetem,—odpowiedziała Katarzyna cicho.

— Brunet-m? nie może być!

— Tak jest.

— No, to pewno kaszla od rana do wieczora i jest chudy i blady, zapewne chory.

Katarzyna nie mogła powstrzymać śmiechu i, podnosząc się, powiedziała:

— Jesteś dziecinna, Salomeo, ja żartowałam, a ty bierzesz wszystko na serjo.

— Ach, pan! pan! — zawołała stara służa, podnosząc palec do góry — nie ufa mi pani — to źle! ja już wiem kogo pani kochasz... on tu często spogląda... biedny człowiek!

Katarzyna zaczerwieniła się aż po uszy.

— Zdaje ci się — Salomeo — dodała; a o tym co myślisz?

Salomea zabierała się do odpowiedzi, gdy wtem dał się słyszeć turkot ciężkiego ładownego wozu i jednocześnie ktoś zastukał do drzwi kuchennych.

— Kasper wraca — rzekła Salomea — trzeba otworzyć stodołę.

Otworzywszy okiennicę, ujrzała duży wóz, naładowany sianem aż po pierwsze piętro, Kasper i najem-



nicy z gołemi szyjami, spoceni, otaczali wóz, czekając aż im otworzą.

— Prędko, prędko! — wołała Katarzyna — idź na górę, a ja biegnę do piwnicy po wino dla ludzi.

W jednej chwili dom ożywił się, wszyscy wzięli się do wypróżniania wozu.

Na ulicy słychać było dzieci, powtarzające w szkole chórem B-A—BA B-E—BE; a stara Salomea, odbierając siano w oknie od strychu, mówiła sobie:

— Ten biedny Walter ani się spodziewa jakie go szczęście czeka. Prawdziwie pod szczęśliwą gwiazdą urodził się.

### III

Wozy przybywały ciągle od południa do szóstej wieczorom; zaledwie jeden wypróżniono, podjeżdżał drugi. Praca była ciężka, ale trzeba korzystać z pogody, bo zbiory, choćby najpiękniejsze, wtedy dopiero można nazwać dobrymi, gdy są w stodole. Nareszcie koło siódmej godziny wszystko ukończono—cały strych zapchany był sianem. Katarzyna postawiła beczkę wina i Kasper, Bartłomiej, wszyscy kosiarze i ich pomocnicy weszli do kuchni dla ochłodzenia się. Cała beczka stała na stole, wino lało się w szklanki; rozmawiano o urodzajach, o zbiorach, o zbliżającym się winobranii, które, jak spodziewano się, będzie obfite.

— No, Kasprze—wołała Katarzyna—jeszcze jedną szklankę!

Naturalnie, że nie odmawiano, bo dlaczego nie wypić, kiedy to nic nie kosztuje i dość wyciągnąć rękę.

Zaczęło się ściemniać, Salomea zapaliła lampę; jaki taki, zarzucając kapotę na ramiona, zabierał się do wyjścia, gdy Kasper, zatrzymując się przed gospodynią, powiedział:

— Czy słyszała pani o nowinie?  
— O jak ej nowinie, Kasprze? — zapytała Katarzyna.  
— Nauczyciel opuszcza nas, rada municypalna odprowadzi go.

Katarzyna, ułyszawszy to, nie była w stanie pokryć zmieszania, zaczerwieniła się i jakiś czas nie mogła się wyrzec. Stara Salomea patrzyła na nią z boku, a Kasper mówił dalej:

— Michał Matter powiedział nam to najprzód na drodze, a później matka Frentzel; widać, że coś mają przeciw niemu.

— Ale cóż on zrobił? — pytała Katarzyna.

Kasper, Bartłomiej i inni spoglądali na siebie, nie odpowiadając, nareszcie Bartłomiej powiedział:

— Ał, plotkil niema co wierzyć temu, co ludzie mówią.

Katarzyna zmieszała się, bo wiedziała, że coś przed nią ukrywano. Obtarła ręce o ręcznik, wiszący przy drzwiach, i zapytała obcojętnie:

— No, ale cóż ludzie mówią?

Wtedy Bartłomiej powiedział:

— Wypędzają go, bo, zamiast zajmować się szkołą, cały Boży dzień, jak mówi Rebstock, patrzy na ten dom, a nawet wstaje rano i gawroni się u pani okna, ale to wszystko nieprawda.

— To jest taka prawda, jak i to, co rozgaduje Matter, wtrącił Kasper.

Katarzyna, słysząc to, czerwieniła się coraz bardziej.

— A cóż Matter rozgaduje?

— On powiada, że pani, niby zbierając jarzyny w ogrodzie, patrzy przez płot na szkołę i że nauczyciel już dawno powinien być wypędzony.

— Ał więc zato wypędzają tego biednego człowieka, że patrzy w tę stronę!.. więc i mnie powinni wypędzić ze wsi.

— El pani co innego, pani jest właścicielką oberży.

— To szczęście, prawdziwie, to wielkie szczęście.

Wszyscy zamilkli, a Bartłomiej po chwili zawołał:

— Iluż trutniów znajduje się na świecieli ale co nam do tego. Chodźmy! dobranoc, panno Katarzyno!

— Zaczekajcie, zawołali kosiarze, pójdziemy razem.

Wypróżnili szklanki i wyszli.

Katarzyna udała się do swego pokoiku na górę, a stara Salomea wzięła się do rozpalania ognia na kominie.

Katarzyna zeszła dopiero koło ósmej na wieczór i zaraz potem wróciła do siebie. Łatwo sobie wyobrazić, jak wielkiej przykrości doznała; lecz to, co czuła, nie da się nawet porównać z rozpaczą Waltera; Katarzyna była bogatą i mogła drwić sobie z Rebstocka, Mattera, Schaeffera i całej rady municypalnej, on zaś tracił naraz swoje szczęście i chleb.

Od jedenastej z rana biedny człowiek wiedział o wszystkim. Gdy patrzył, podług zwyczaju, za dziećmi, wybiegającymi ze szkoły, kobiety przechodzące wołały:

— Szczęśliwej podróży, panie Walter! szczęśliwej drogi! i odchodziły, śmiejąc się złośliwie, a niektóre, przechodząc, klaniały mu się z szyderczą pokorą. To zaniepokoiło go, gdy więc ujrzał Wendlinga, sekretarza merostwa, który, po napisaniu prośby rady municypalnej do podprefekta, wracał do domu z papierami pod pachą, zatrzymał go na chwilę i spytał co słychać. Mały garbus spojrzał na niego z politowaniem i powiedział piskliwym głosem:

— Słuchaj, panie Walter! jesteś młody... bardzo młody! Niepotrzebuję ci mówić więcej.

— Ale cóż się stało, panie Wendling?

— Co się stało? czyż nie wiesz tego lepiej, jak ja?

— Dalibóg nie wiem i racz mi pan powiedzieć...

— No, no, panie Walter... co to pomoże gadać? to nie powinno pana dziwić, zawiniłeś... nie znasz



się jeszcze na ludziach, byłem pewny, że prędzej lub później mer zażąda usunięcia pana...

— Usunięcia mnie? — przerwał Walter.

— Tak, to już interes skończony, tylko co napisałem postanowienie rady municypalnej do podprefekta. Przykro mi, że muszę to panu powiedzieć, bo jesteś dobry chłopiec, ale, powtarzam ci, to twoja wina, prędzej lub później musiało to nastąpić... O! miłość, miłość!

I poc ciwy człowieczyna, kiwając głową na znak głębokiego wzruszenia, poszedł swoją drogą, belkocząc niezrozumiale.

Walter, blady jak śmierć, popatrzył za oddalającym się, później wrócił do sali szkolnej; nogi się pod nim ugiwały, zaledwie miał siłę wejść na górę do swojej izdebki, trzymając się poręczy schodów.

— Cóż zawniłem? mówił do siebie; dzieci wprawdzie nie chcą się uczyć, ale cóż ja na to poradzę? Jeżeli rada mnie oddali... jestem zgubiony na zawsze, bo nauczyciela, wydalonego przez radę municypalną, nigdzie nie przyjmą. Te myśli naprzód przyszły Walterowi do głowy; widział się wypędzonym, powracającym do Hirschlandu, do chorego ojca, któremu dopomagał, a który teraz będzie zmuszony dzielić się z nim swoim niedostatkiem. Do rąbania drzewa Walter nie czuł się zdolnym, był za słaby do tak ciężkiej pracy.

Co robić? co robić? — mówił, przejęty boleścią. Chciał iść do mera, do adjunkta, do inspektora, mówić o swojej niewinności i usprawiedliwić się; lecz już było za późno; wkońcu postanowił iść nazajutrz do proboszcza z prośbą, żeby się za nim wstawił.

Tak, to będzie najlepiej, myślał sobie, prześle proboszcza usłuchają i cofną zbyt pośpieszną decyzję. Powinni przecież wysłuchać mego tłumaczenia, prawo tego wymaga.

Usiadł przy stole i głowę oparł na rękę. Mimo zaufania, jakie pokładał w proboszczu, nie mógł się uspokoić. Dotąd całem jego szczęściem było patrzeć na Katarzynę, zawsze świeżą i uśmiechniętą; jakieś przeczucie mówiło mu, że jego nieszczęście stąd pochodzi, lecz nie miał siły żałować swojej miłości, a nawet pocieszał się nią w zmartwieniu. Obraz Rebstocka, Mattera, Schaeffera i wszystkich innych, przychodzących w niedzielę do obozów, pod pozorem wypicia szklanki wina, zwrócił jego uwagę i po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że ludzie ci starają się o rękę Katarzyny; zrozumiał ostatnie wyrazy Wendlinga i przeklinał swój nieszczęśliwy los. Chciał biec do Katarzyny i powiedzieć:

— Ja cię kocham! i zato mnie wypędzają... jestem więcej wart, jak te wszystkie gbury... nie trzeba mi nic do szczęścia, tylko ciebie... niech oni wezmą twoje grunta, winnicę, cały twój majątek, a niech mi ciebie tylko zostawiają... ach! niedzicy! jestem pewny, że im idzie o twój majątek, nie o ciebie!

I, nachyliwszy się nad stołem, zaczął płakać.

— Jestem pewny, że nikt jej tak nie kocha, jak ja; a przecie ona powinna by tego wybrać, który ją przekłada nad wszystko.

Lecz, pomyślawszy o swojej nędzy, o wzgardzie, która go przygniatała, o starym ubraniu i zużytych kapeluszu, siedział długo w zamyśleniu, naprzeciw lampy, myśląc o swoim poniżeniu, o bogaczach, nie mających ani serca, ani wstydu i nie wahających się zagarniać wszystko, co się im podoba, nie troszczących się o to czy zasługują na to i nie robiących nawet sobie wyrzutu za to, że krzywdzą innych.

Szczęśliwy, myślał sobie, kto nie ma serca, bo będzie panem ziemi; dla niego to wszystko stworzone; dla drugiego dość kwiatka dla szczęścia, lecz bogaty i to mu zabierze, a jeżeli biedak będzie się



opierał, oskarża go fałszywie i wypędzą jak żebraka; bo wszystkie trutnie trzymają za bogatym, a trutniów najwięcej na świecie.

Gdy Walter płakał i użalał się na swój los, Katarzyna, zgasiwszy świecę, żeby nie być widzianą, przysłuchiwała mu się ze swego okna. Widziała jak zwracał swoje spojrzenie na obojętne, odgadła jego myśli, poznała jak ją kocha i, dzieląc jego zmartwienie, czuła się uszczęśliwiona jego miłością.

Nareszcie Walter przypomniał sobie, że jutro trzeba iść bardzo rano do proboszcza, chcąc się z nim widzieć; wstał więc, zgasił lampę i położył się spać. Lecz sen jego był niespokojny, męczący, przerywany bolesnymi wspomnieniami.

#### IV

Na drugi dzień, który był niedzielą, wszyscy, bawący w obojętne „Pod karpiem“, w świątecznych ubraniach przechodzili przez kuchnię, podług zwyczaju, oglądając się na prawo i na lewo, szukając Katarzyny, dla powiedzenia zwykłych komplementów; lecz nie znaleźli jej i każdy ze spuszczonego nosem wchodził do sali, zapytując Salomei, czyszczącej naczynia kuchenne:

— Cóż to znaczy, Salomeo? czy panna Katarzyna chora, że jej tu dziś niema?

Salomea, nie odwracając się, odpowiadała:

— Chora? nie zdaje mi się! Nie, panie... dzięki Bogu, zdrowa, jak ryba, nigdy ładniej nie wyglądała jak dziś! Kasprze! szklankę wina dla pana!

Kasprze z nowoprzybyłych zasiadał zamyślony przed swoją szklanką. Niektórzy rozmawiali o kłopotach nauczyciela, inni grali w karty, lecz wszystkim brakło zwykłego humoru, byli jakby zaniepokojeni.

O dziewiątej Katarzyna zeszła nadół, lekka, jak



jęskółka, ubrana jak można najstaranniej i najstrojniej. Całą noc oka nie zmrużyła, przewracała się na łóżku, trapiąca różnymi myślami. Lecz wkońcu zrobiła postanowienie i to jej wróciło naturalną wesołość; teraz była świeża, lekka i ożywiona jak nigdy.

— Salomeo, — powiedziała — przygotuj obiad... będziemy dziś mieli gości. Ja wychodzę... mam interes... rozumiesz?

— Rozumiem, rozumiem, — odpowiedziała stara ze znaczącym uśmiechem — może pani być spokojną... goście będą zadowoleni.

W tej właśnie chwili Rebstock wszedł do kuchni.

— He! dzieńdobry, panno Katarzyno! — zawołał, otwierając od ucha do ucha swoją ogromną gębę, — jakże dziś jesteś piękna!

— Tak pan myślisz, panie Rebstock?

— Tak, tak, na serjo!

— To mi robi prawdziwą przyjemność, bo widzisz pan, chcę dziś podobać się.

— Chcesz się pani podobać a komu?

— Al to moja tajemnica, później się pan dowie.

I, odwróciwszy się od starego winiarza, wyszła do sieni, prowadzącej na ulicę.

Biedny Henryk Walter w swoim długim wytartym czarnym surducie, z kapeluszem w rękę, wychodził z domu szkolnego, zapewne do proboszcza Dimones, gdy Katarzyna, wyszedłszy z oberży, zawołała na niego swym dzwiecznym głosem:

— Panie Walter! panie Walter!

Usłyszawszy to, nauczyciel stanął, blady, z ręką podniesioną do ukłonu.

— Panie Walter! — powiedziała Katarzyna z uśmiechem — wróć się, pan, jeżeli łaska, chcę z panem pomówić.

Walter tak się zmieszał, że nie był w stanie odpo-

wiedzieć i, milcząc, otworzył drzwi. Katarzyna weszła, a za nią biedny chłopiec, chwiejący się na nogach.

Wielbiciele Katarzyny patrzyli zdziwieni na to, co się działo przez okna oberży.

Po wejściu do sali szkolnej, Walter, oparłszy się o katedrę, stał milczący, nie śmiejąc patrzeć na Katarzynę, która zarumieniona odezwała się poważnym tonem.

— Panie Walter, mam do pana wielki żal.

— Do mnie! pani? — wyszeptał nauczyciel złodowaczy.

— Tak pani! pańskie nieroztropne postępowanie sprawiło mi wiele przykrości: od roku pan patrzy w stronę mojej oberży, wszyscy o tem mówią... wczoraj nie dano mi spokoju.

— O! przebac mi, pan! — wyrzekł biedny chłopiec, składając ręce — powinienem to być przewidzieć; jako nauczyciel powinienem być być roztropniejszym... lecz to było nad moje siły... byłem tak opuszczony, tak nieszczęśliwy... w mojem położeniu, ujrzeć panią choć na chwilę, było dla mnie szczęściem, wystarczającem na cały dzień... nie spodziewałem się, że to pani sprawi przykrość... Mój Boże! jestem za to srogo ukarany, bo mnie wypędzają stąd... muszę opuścić te strony!

Zaczął lkać, łzy ciekły po jego bladych policzkach. Katarzynie serce w piersiach topniało.

— Mój Boże! panie Walter — powiedziała z czułością — ja nie jestem złą... ja nie chcę śmierci grzesznika... wszyscy jesteśmy słabi! lecz, jeżeli panu przebaczę... jeżeli zapomnę urazę... cóż pan zrobisz dla naprawienia błędu?

— Wydalę się stąd — wyrzekł głosem rozdzierającym duszę — gdybym nawet miał umrzeć, opuszczę tę wieś na zawsze... nie usłyszysz pani więcej o mnie!

— I pan myślisz, że w ten sposób naprawi się

wszystko? sądził pan, że przez pański wyjazd umilkną złe języki?

— Więc coś zrobić? — zawołał zrozpaczony.

— Co robić? czyż ja mam panu powiedzieć?... ale kiedy mnie pan zmuszasz do tego, panie Walter... muszę panu powiedzieć... że gdy uczciwy człowiek skompromituje kobietę, to nie ucieka, lecz żeni się z nią.

Wtedy młody człowiek, myśląc, że nie dosłyszał, podniósł głowę, lecz, ujrawszy Katarzynę uśmiechającą się i tkliwie na niego spoglądającą, uczuł radość niebiańską w duszy.

Walter doznał największego szczęścia, jakiego człowiek może doznać na ziemi. Nie wiedząc, jak się to stało, przycisnął Katarzynę do swego serca i ich usta zetknęły się w pierwszym pocałunku. Przy takim szczęściu, wierzajcie mi, każde inne maleje, a kto temu zaprzeczy, ten godzien jest politowania, bo miłość jest darem Boga—ojca dobrego i litościwego dla swych dzieci. On powiedział: „Kochajcie się i mnożcie! Napelniajcie ziemię i władajcie nią, panujcie nad rybami morza i ptakami powietrza i wszelkiem stworzeniem, które na ziemi jest“. A ponieważ Bóg to uznaje za dobre, któż byłby tak bezrozumny, by to znajdował złem?

Walter i Katarzyna patrzyli na siebie przez kilka chwil, myśląc tylko o szczęściu widzenia się, gdy jakiś cień od okna zdziwił ich. Zwróciwszy oczy, ujrzeli wszystkich przyjaciół z „Pod karpia“, patrzących na nich z nosami długimi na łokieć i oczami zaokrąglonemi, jakby z wielkiego przestachu.

— Al! al! — zawołał stary Rebstock głosem rozjątronym, stukając palcem w szybę — oto jak się prowadzi panna Katarzyna Koenig?

Katarzyna, z początku trochę oburzona, zapano-



wała nad sobą i, otworzywszy okno, odpowiedziała, śmiejąc się:

— Tak, panie Rebstock, to jest niespodzianka, którą dla pana przygotowałam; widzi pan teraz dlaczego chciałam być dziś ładną—pragnęłam się podo-  
bać panu Walterowi. Wyście mu wydarli przez złość jego lichą posadkę, otóż ja mu daję lepszą.

Ponieważ nikt nie odpowiedział na to, bo wszyscy stali osłupiali, Walter i Katarzyna, wzięwszy się pod rękę, wyszli z sali i udali się, opromienieni szczęściem, do oberży.

— Salomeo! — powiedziała Katarzyna głosem radości — oto twój pan! Teraz idziemy do proboszcza dać na zapowiedzi i zaraz wracamy na obiad. Staraj się, żeby wszystko było gotowe.

Mógłbym jeszcze długo mówić o szczęściu Waltera i Katarzyny, lecz każdy człowiek góbrej woli domyśli się sam reszty. We trzy tygodnie odbył się ślub, a ponieważ w tym dniu mer Rebstock był słaby, zastąpił go adjunkt Baumgarten. Żaden z wielbi-  
cieli Katarzyny nie był na ślubie, co nie przeszkodziło wcale zabawie weselnej, na której goście ochoczo spełniali zdrowia państwa młodych.

## DOKTOR MATEUSZ

### I

W małej wiosce Graufthal, leżącej wśród lasów, na granicy Wogezów i Alzacji, mieszkał przed kilku laty jeden z tych zacnych wiejskich lekarzy, którzy noszą peruki, staroświeckie fraki z odwijanemi połamami, krótkie spodnie i trzewiki ze srebrnemi sprzączkami. Zacny ten człowiek, nazywający się Franciszek Mateusz, otrzymał po swoich przodkach najstarszy dom w wiosce z owocowym ogrodem, kawałek ornej ziemi w górach i kilka morgów łąki w dolinie; jeżeli do tej skromnej spuścizny dodacie jajka, mleko, sery, niekiedy chudą kure, przynoszone, jako wdzięczność, panu doktorowi przez poczciwych wieśniaków, będziecie mogli z łatwością obliczyć cały dochód lekarza, wystarczający na utrzymanie jego samego, starej służącej Marty i konia Brunona.

Pan Mateusz był to ciekawy typ owych starych *doctores medicinae, theologiae* lub *philosophiae* z dawnej szkoły niemieckiej. Twarz jego miała najłodszy wyraz spokoju i safandulstwa, a największą jego namiętnością była metafizyka. Wszystkie wolne chwile obracał na rozmyślania nad dziełem Barucha Spinozy *Tractatus theologico-politicus* lub *Monadologią* Leib-

nitza, a dla rozrywki robił doświadczenia fizyczne i chemiczne.

Doktor Mateusz, nasypawszy raz mąki żytniej do flaszki z wodą, spostrzegł, że po dwóch miesiącach w tej mieszaninie narodziła się masa robaków; uniesiony radością, wyprowadził zaraz wniosek, że kiedy z mąki żytniej można robić robaki, to z mąki pszennej zrobi się ludzi. Lecz po głębszej rozwadze, uczony doktor zdecydował, że to przekształcenie musi się odbywać powoli i stopniowo, że z mąki powstają robaki, z robaków ryby różnego rodzaju, z ryb płazy, z płazów czworonogi i ptaki, i tak dalej, aż do człowieka, podług naturalnego postępu! Postęp ten nazwał stopniowaniem (drabiną) jestestw. A ponieważ doktor Franciszek studjował język grecki, łaciński i inne, napisał więc głębokie dzieło w szesnastu tomach pod tytułem: *Palingenaza psychologiczno-antropo-zoologiczna*, objaśniając w niem tworzenie się materji, przekształcenie jej i peregrynację dusz, powołując się na Brahme, Wisznu, Sziwę, Izys, Ozyrysa, Thalesa z Miletu, Heraklita, Demokryta i wszystkich filozofów, piszących o kosmologii, tak nowożytnych, jak starożytnych.

Pewną liczbę egzemplarzy swego dzieła rozesłał do uniwersytetów niemieckich i, rzecz dziwna, wielu filozofów oświadczyło się za jego systemem; został członkiem-korespondentem instytutu chirurgicznego w Pradze, królewskiego towarzystwa naukowego w Getyndze i radcą weterynarji przy stadzie w Würtzburgu.

Mateusz, ośmielony powodzeniem, zdecydował się zrobić drugie wydanie swojej „Palingenezy“, wzbogacić cytatami hebrajskimi i syryjskimi, lecz jego stara służąca, mająca dużo zdrowego rozumu, przekonała go, że sława, jaką nabył, kosztuje go już połowę mienia i że będzie zmuszony sprzedać dom, ogród, rolę i łąkę, by wydrukować notaty syryjskie.



blagała więc, by zajął się trochę więcej rzeczami ziemskimi, a poskromił zapal antropo-zoologiczny.

Te sprawiedliwe uwagi wcale nie przypadły do smaku doktorowi, lecz nie mógł zaprzeczyć, że Marta miała słuszość; westchnął więc ciężko i zamknął w sercu żądę sławy.

Wszystko to przeszło oddawna. Mateusz prowadził życie spokojne, dosiadał konia bardzo rano i objeżdżał swych chorych, wracał późno, zmordowany; wieczorem, zamiast zamykać się w bibliotece, wychodził do ogrodu i obcinał winne latorośle, oczyszczał drzewa i pełł sałatę. Po wieczery przychodził do niego Jan Kludjusz Wachtmann, nauczyciel wiejski, Chrystjan, dozorca, i kilka kumoszek z wrzecionami. Zasiadano dookoła stołu i rozmawiano o deszczu i pogodzie; Mateusz opowiadał o swych chorych, potem każdy szedł na spoczynek, by nazajutrz znów to samo rozpocząć, i tak przechodziły dnie, miesiące, lata.

Lecz takie spokojne życie nie mogło pocieszyć doktora po zaniedbanem przedsięwzięciu; często w swych długich przejażdżkach wyrzucał sobie swoją haniebną bezczynność:— „Franciszku, mówił do siebie, twoje miejsce nie w Graufthal; wszyscy, w których Najwyższa Istność złożyła skarb nauki, dłużni są ludzkości... Co odpowiesz Bogu, Franciszku, gdy nadejdzie czas zdania rachunku, gdy cię zapytają głosem piorunującym:— „Franciszku Mateuszu! dałem ci wielką inteligencję, odkryłem ci rzeczy boskie i ludzkie, przeznaczyłem cię od wieków do rozpowszechnienia światła zdrowej filozofji... gdzież są twoje dzieła?... napróżno chcesz się tłumaczyć potrzebą ratowania chorych, te proste obowiązki nie do ciebie należały, inni byliby je wypełniali za ciebie... Precz, Franciszku, precz! nie jesteś godzien zaufania, jakie w tobie położyłem, skazuję cię na zejście nadół po drabinie jestestw!”

Nieraz poczuwlec zrywał się w nocy, krzycząc:

— Franciszku! Franciszku! jesteś bardzo winny!  
Stara służąca przybiegła przestraszona.

— Co się stało? mój Boże!

— Nic, nic! — odpowiadał Mateusz — miałem przykry sen.

Taki stan moralny doktora nie mógł trwać zawsze; ciśnienie jego dążeń metafizycznych było zbyt silne.

Jednego wieczora, wracając do wsi brzegiem rzeczki Zintel, spotkał roznosiciela Biblii i kalendarzy, który w interesie swego handlu aż w góry zaszedł. Doktor Mateusz miał zawsze upodobanie w książkach; zsiadł więc z konia i zaczął przeglądać towar handlarza. Jakimś dziwnym trafem handlarz ten posiadał jeden egzemplarz „Antropo-zoologii”, którego nie mógł się pozbyć od piętnastu lat, a widząc, że doktor patrzy na książkę z ojcowską miłością, nie zaniedbał powiedzieć mu, że teraz najwięcej się sprzedaje to dzieło, że cały świat pragnie je czytać, a ponieważ nie wyszło drugie wydanie, dzieło staje się coraz większą rzadkością. Serce doktora biło gwałtownie, ręce mu drżały.

— O! wielki duch! — szepnął — teraz poznaję twoją nieskończoną mądrość. Ty przez usta prostaczków przypominasz wielkim ludziom ich obowiązki!

Przybywszy do Graufthal, był bardzo wzruszony, chodził po mieszkaniu niespokojnie, tysiące różnych myśli tłoczyło się do jego umysłu, sam nie wiedział co robić; czy osiąść w Getyndze, czy jechać do Pragi, czy wydać powtórna edycję „Palingenezy” z uwagami.

Wszystko to poruszało go, drażniło, zdawało mu się zbyt długim, a niecierpliwość jego nie dozwalała na opóźnienie. Wkońcu zdecydował się iść drogą starożytnych proroków, to jest własnymi ustami rozpowszechniać w świecie swoje doktryny.



Jak tylko Franciszek Mateusz zdecydował się na szlachetne postanowienie rozszerzania światła po całym świecie, jakiś nie nany spokój i błogość opanowały jego duszę. A stało się to w wigilję Ś go Bonifacego, koło szóstej godziny wieczorem; słońce wspaniale oświetlało dolinę Graufthalu; doktor siedział w staroświeckim fotelu przy oknie o małych szybach, wzrok jego przebiegał po cichych chatkach i zatrzymywał się aż na zamglonych górach.

Wieśniacy kosili trawę na skraju ciemnego lasu, kobiety, a pomiędzy nimi i stara Marta, uzbrojone w grabie, przewracały siano, śpiewając stare pieśni krajowe.

Zinzel łagodnie szemrała w zarosłym trzciną korycie, roje kaczek pływały po rzece, przerywając od czasu do czasu ciszę swym głosem nosowym, kury spały w cieniu, pod ścianami, na drabinach wozów, pomiędzy narzędziami rolniczymi, gdzie niegdzie pyzate dzieci wiejskie bawiły się na progu chałupy, nawet psy domowe, chroniąc się od upału, spały, wsuwając pyski pomiędzy łapy.

Ta cisza nieznacznie usposobiła Mateusza do tkliwości; ciche łzy zwilżyły jego pocziwe policzki, zwiesił siwiejącą głowę na ręce i, oparłszy się łokciami o okno, zaniósł się od płaczu, jak dziecko.

Tysiące wspomnień przyszły mu na myśl: wiejskie mieszkanie — siedziba jego ojca, mały ogród, w którym sadił drzewa i krzewy, meble dębowe, zczerniałe przez czas, wszystko to przypominało mu jego ciche szczęście, przywyknienia, przyjaciół, dziecięce lata, i każdy z tych przedmiotów, można powiedzieć, przemawiał do jego serca, prosząc ażeby został i wypowiadając żal za porzucenie go bez opieki. Serce doktora było echem tych wszystkich



głosów i nowe łyzy za każdym wspomnieniem dobywały się z jego oczu.

Gdy znów pomyślał o tej błędnej wsi, której pod pewnym względem był opatrzącością, gdy spojrzał przez łyzy na drzwi, przed którymi się nieraz zatrzymywał dla udzielenia rady lub pociechy, dla dania pomocy lub ulgi w cierpieniach ludzkich, gdy sobie przypominał ręce, ściskające go, i wejrzenia, pełne szacunku i miłości, błogosławiące go, wtedy czuł się przygniecionym ciężarem swego postanowienia i nie śmiał nawet myśleć o chwili wyjazdu.

— Co powie Chrystjan Schmitt—myślał sobie—któremu wyprowadziłem żonę z ciężkiej choroby i który nie wie, jak mi za to okazać wdzięczność? Co powie Jakób Zimmer, którego wybawiłem od nędzy, gdy nie miał grosza na odbudowanie stodoły? Co powie stara Marta, która mię pielęgnuje, jak najczulsza matka, która mi przynosi co rano kawę ze śmietanką, naprawia spodnie i pończochy, i nie położy się spać, nie włożywszy mnie szlafmicy na oba uszy i dobrze nie otuliwszy? Biedna, biedna Marta! wczoraj jeszcze robiła dla mnie ciepłe pończochy i dała do szycia tuzin koszul nowych, na które sama płótno przedła! Co powie Jerzy Brenner, który mi przywiózł drzewa na nadchodzącą zimę i to z przywiązania do mnie, bo pocziwiec nie chciał przyjąć wynagrodzenia! Tak, co powie Jerzy Brenner, gdy się dowie, że tem drzewem kto inny będzie ogrzewał sobie mieszkanie? Niewątpliwie rozgniewa się, bo jest z tych ludzi, którzy nie słuchają nigdy rozsądku; ten nie pozwoliłby mi nigdy wyjechać.

Takie uwagi robił sobie Franciszek Mateusz i gdyby nie miał postanowienia silnego, niewzruszonego, tyle przeszkód odebrałoby mu odwagę. Lecz w miarę, jak słońce chyliło się ku Falbergowi i chłód nocy następował po skwarze dziennym, doktor uczu-

wał spokój, powracający do jego duszy. Wzniósł oczy do nieba, a gdy ostatnie promienie słońca oświełtliły jego natchnione czoło, zdawało się, że jest pogrążony w cichej modlitwie. Tymczasem on marzył o nieobliczonych korzyściach, jakie spłyną z jego systemu dla przyszłych pokoleń i zaledwie przybycie Marty zdołało przerwać bieg rozbujających myśli.

Słyszał, jak stara służąca weszła do kuchni, postawiła grabie w kącie przy drzwiach i zabierała się do przygotowania wieczerzy. Ten szmer, do którego jego ucho było przyzwyczajone, chód Marty, któryby poznał w tysiącu, śpiew żniwiarek i kosiarzy, wracających wesoło do domu, małe okienka, błyskające światłem jedno po drugim, wszystko wzruszało pocziwca; nie śmiał poruszyć się w swem krześle i z rękami skrzyżowanymi, ze zwieszoną głową przysłuchiwał się pomieszany głosom tłumu. — „Słuchaj tego głosu przyjaznego — mówił sobie — bo może go już nie usłyszysz nigdy nigdy...”

Wtem Marta otworzyła drzwi, a nie mogąc dojrzeć swego pana, zawołała:

— Czy jest pan tu, panie doktorze?

— Tu, Marto — odpowiedział Mateusz drżącym głosem.

— Ależ, mój Boże! dlaczegoż pan siedzi pociemku? zaraz przyniosę światło.

— Nie przynos... wolę pomówić z tobą pociemku... Chodź, posłuchaj mnie!

Mateusz nie mógł wyrzec więcej ani słowa, serce mu biło silnie i myślał sobie: — „Gdybym zobaczył jej twarz, po tem co mam powiedzieć... miałbym twardy orzech do zgryzienia”.

Marta z głosu doktora poznała, że się coś niedobrego święci.

— Panie doktorze — rzekła — co panu jest? głos pana drży!



— To nic... to nic, moja pocziwa, dobra Marto...  
Usiądź przy mnie, chcę z tobą pomówić.

„Lecz wyrazy skonały mu na ustach. Po kilku chwilach milczenia, znów zaczął:

— Nie weźmiesz mi tego za złe... nie trzeba mi tego brać za złe...

Stara służąca w wielkim strachu pobiegła po lampę; gdy wróciła, ujrzała Mateusza bladego, jak śmierć.

— Paniel — zawołała — pan jesteś chory, pan cierpił ja to dobrze widzę!

Lecz znakomity doktor miał czas zebrać myśli; genialny projekt przyszedł mu do głowy: „Jeżeli mi się uda nakłonić Martę do uznania mego systemu, wszystko pójdzie dobrze; będzie to bowiem znakiem, że ludzkość cała nie zdoła się oprzeć wymowie Franciszka Mateusza”.

I, przejęty tą myślą, podniósł się i powiedział:

— Marto! patrz mi prosto w oczy.

— Panie doktorze — odpowiedziała służąca — patrząc na pana...

— Więc widzisz przed sobą Franciszka Mateusza, doktora medycyny fakultetu strasburskiego, członka korespondenta instytutu chirurgicznego w Pradze i królewskiego towarzystwa nauk w Getyndze, radcę weterynarji stada w Würzburgu i niegdyś, szczególnie zbiegłym okropnych okoliczności, starszego chirurga bandy Schinderhannesa.

Tu doktor przybrał dumną postawę i zamilkł, by d e Marcie czas do ocenienia tych wszystkich tytułów, następnie powiedział:

— Franciszka Mateusza — jedyne wynalazcę sławnego systemu psychologiczno-antropo-zoologicznego, którym poruszył świat, rozproszył ciemności i zadziwił ogół! Franciszka Mateusza, któremu powierzono przyszłość ludzkości i filozofji kosmolo-



gicznej, opartej na trzech królestwach natury! Franciszka Mateusza, który od piętnastu lat kona w bezczynności, czując wyrzuty sumienia za każdy dzień, stracony dla systemu, pozostawionego przypadkowi i sofizmatom szkolnym!

Marta drżała, bo nigdy jeszcze nie widziała swego pana w takim zapale. Doktor, ze swej strony, widział z zadowoleniem osłupienie służącej i, podwajając zapal i wywołując, prawił dalej:

— Dopókiż, Franciszku Mateuszu, będziesz brał na swoją głowę straszną odpowiedzialność? Dopókiż zapominasz o wielkiej misji, zleconej ci przez twój genjusz? Czyż nie słyszysz głosu, wciągającego na ciebie? Czyż nie wiesz, że aby wejść na szczyt drabiny jestestw, trzeba cierpieć, i że cierpieć jest zasługą? Ciemnota i sofizm napróżno powstają przeciw tobie! Naprzód! Naprzód! Franciszku Mateuszu! zasiewaj na twej drodze dobroczynnej ziarna antropo-zoologii, a twoja sława, nieśmiertelna, jak prawda, wzrastać będzie od wieku do wieku, okrywając swym zawsze zielonym liściem przyszłe pokolenia! Dla tego to, Marto, dziś wie zorem przygotujesz moją walizę, powiesz szewcowi Nicklowi, żeby naprawił siodło Brunona, dasz pocziwemu zwierzęciu podwójną miarę owsa, a jutro przed świtem ja — Franciszek Mateusz — wyjadę w celu rozszerzania mej doktryny po świecie.

Na takie zakończenie Marta o mało nie padła zemdlną; zdawało się jej, że pan stracił zupełnie rozum.

— Jakto, panie doktorze? — bełkotała — chcesz pan nas opuścić, odjechać? Ochl nie... to być nie może!... pan, tak dobry! pan, który masz tylko przyjaciół! we wsil pan żartuj! pan nie myśli o tem!

— Muszę — odpowiedział stanowczo Mateusz — muszę koniecznie, to mój obowiązek!

Marta nic nie odpowiedziała i zdawała się poddawać losowi. Według zwyczaju nakryła stół i podała doktorowi wieczerzę, składającą się tego dnia z potrawy z kury z ryżem i na deser orzechów, które Mateusz bardzo lubił. Służąca otoczyła go wszystkim, co lubił, sama rozebrała kurę i podała mu najsmaczniejsze kaski, napełniła szklankę po same brzegi i patrzyła smętnie, jakby go żałowała. Po wieczerzy odprowadziła Mateusza aż do pokoju sypialnego, rozebrała łóżko i położyła szlafmycę pod poduszkę. Pościel była biała, czysta i dobrze ułożona, na stoliku porcelanowa miednica, obok miednicy karafka ze świeżą wodą, małe lustro pomiędzy oknami. Tamże znajdowała się szafka z książkami, zawierająca szesnaście tomów „Antropo-zoologii”, kilku autorów łacińskich i kilka ksiąg medycznych, starannie utrzymanych; wszędzie znać było oko skrzętnej gospodyni.

Przekonawszy się, że wszystko było na swoim miejscu, Marta otworzyła drzwi, życząc spokojnej nocy swemu panu, głosem tak rzewnym, że znakomity filozof zadrżał aż do głębi duszy. Zrazu chciał skoczyć, uściskać pocziwاً kobietę i powiedzieć jej: „Marto, moja dobra Marto! nie wiesz ile Franciszek Mateusz ceni twoją odwagę i rezygnację! on ci przypowiada wysokie przeznaczenie w przyszłość!” Lecz, obawiając się zbyt czulej sceny, uspokoił wzruszenie i poprzestał na przypomnieniu jej łagodnie, żeby dała Brunonowi podwójną miarę owsa i obudziła go przed świtem.

Dobra kobiecina wyszła powoli, a uczony doktor Mateusz, uszczęśliwiony pierwszym zwycięstwem, położył się spać. Długo nie mógł zasnąć, rozważając wszystkie wypadki tego dnia pamiętnego i nieobliczone skutki systemu antropo-zoologicznego; obrazy, idee, figury, wiązały się jedne z drugimi w jego



jasnym umyśle, aż wreszcie powleki zaczęły mu się kleić i zasnął twardo.

### III

Blady promień jutrzeńki zaledwie oświetlił włoskę Graufthal, gdy Franciszek Mateusz otworzył oczy, przebudzony pianiem czerwonego koguta sąsiadki Krystyny Baur, właśnie w chwili, gdy mu się śniło, że Sokrates i Pitagoras wkładali mu na głowę wieńiec nieśmiertelności.

Ten szczęśliwy sen wprowadził go w dobry humor; śpiesznie ubrawszy się, otworzył okno, by odetchnąć świeżem powietrzem. Lecz wyobraźcie sobie jego zdziwienie, gdy ujrzał o kilka kroków od domu Jana Klaudjusza Wachtmanna, nauczyciela wiejskiego, przechadzającego się z jakimś papierem w rękę i robiącego poruszenia, oznaczające coś niezwykłego. Zdziwienie doktora wzrosło, gdy się przekonał, że Jan Klaudjusz ubrany był w odświeżone suknie, miał na głowie ogromny trójkątny kapelusz, a na nogach trzewiki ze srebrnymi sprzączkami.

— Panie Janie—zawołał—coż tu robisz tak rano?

— Odczytuję—odpowiedział z powagą nauczyciel—mowę przeze mnie ułożoną, która wzruszyłaby serce ze skały.

Postawa, ruchy i pełne namaszczenia spojrzenie nauczyciela, wzniciły obawę w duszy doktora.

— Panie Janie — powiedział głosem wzruszonym — znam twoje talenta i naukę pozwól mi przeczytać mowę.

— Usłyszysz ją, panie doktorze, niech się tylko wszyscy zbiorą — odpowiedział Klaudjusz Wachtmann, chowając papier do wielkiej kieszeni czarnego surduta — chcę wobec wszystkich przeczytać to znakomite dzieło—owoc głębokich studjów i ciężkiej bo-  
leści.



Mówiąc to, nauczyciel przybrał postawę majestatyczną, a Franciszek Mateusz zbladł, czując się zbitym z tropu.

— Marto! Marto! — mrucał — coś ty zrobiła? Nie dość ci było, żeś osłabiła moją odwagę swemi łzami, skorzystałaś jeszcze z mego spoczynku, aby zbuntować całą wieś przeciwko mnie!

Niestety! znakomity doktor nie mylił się; wiariolomna służąca rozgłosiła jego wyjazd w całej okolicy. Wkrótce przybył Jerzy Brenner, drwał, spojrzał dziko na dom doktora i zasiadł na kamiennej ławce przy drzwiach; po nim nadszedł Chrystjan, młocarz, rysy jego wyrażały przerażenie; potem przyszła Kasia Schmitt, siostra młynarza; następnie zwała się cała wieś: kobiety, starcy, dzieci, jakby na pogrzeb.

Mateusz, ukryty za firaną, drżał, widząc zgromadzone się chmury; z początku przyszła mu myśl oświecać ten ciemny tłum, nie mający najmniejszego pojęcia o trzech królestwach natury, wskazać mu w sposób dotykalny, że Franciszek Mateusz należy do ludzkości, że jego wielki genjusz nie może zagrzebać się w Graufthalu nie popełniwszy strasznej zbrodni względem całego rodu ludzkiego, lecz później pozostała reszta zdrowego rozsądku nasunęła mu myśl mniej wielką, lecz więcej praktyczną; słowem, zdecydował się wyjść pocichu do kuchni, z kuchni do stajni, osiodłać Brunona i uciec tylnemi drzwiami.

Ten dowcipny pomysł wywołał uśmiech na usta pocziwca; wystawiał sobie osłupienie Jana Klaujusza, spodziewającego się podejść lisa w jamie, gdy tymczasem lis będzie już daleko. Zaraz też wziął się do wykonania projektu: wdział zupełnie nowe welniane pończochy, długi surdut, wielkie podróżne buty, uzbrojone tak wielkimi ostrogami, jak kółka od zegara, włożył na głowę kapelusz pilsniowy z szerokimi skrzydłami, który mu dodawał powagi, i z wiel-

ką ostrożnością otworzył drzwi... Lecz, przechodząc przez kuchnię, przypomniał sobie o „Antropo-zoologii”, wrócił więc śpiesznie i wpakował jej pierwotny szkic w kieszeń; żałował bardzo, że nie mógł zabrać wszystkich szesnastu tomów in quarto, lecz pocieszał się tem, że w głowie ma całe dzieło ze wszystkimi dodatkami, uwagami, objaśnieniami, odsyłaczami i spostrzeżeniami nowo zdobytemi, ale jeszcze niewydanemi.

Nareszcie, rzuciwszy ostatnie pożegnalne spojrzenie na swoją bibliotekę, wśliznął się drżący do stajni, jak nieszczęśliwy więzień, uciekający z rąk nieprzyjaciół.

Jasne promienie dnia oświeciły już stajnię i widok Brunona ożywił odwagę doktora. Brunon był to dzielny rumak, szeroki w piersiach, silny w nogach, słowem, godny towarzysz lekarza wiejskiego. Każdy, widząc Mateusza, jadącego na Brunonie, na pierwsze wejście mówił sobie: — „To najlepszy koń i największy filozof miejscowy”.

Franciszek Mateusz po zaokrąglonym brzuchu konia poznał zaraz, że ten zjadł podwójną miarę owsa i dlatego, bez żadnego wahania, włożył na niego wielkie skórzane siodło, w jedną olstrę wpakował rękopis swego dzieła i z wielkim pośpiechem, dowodzącym gorącego pragnienia uniknięcia słuchania mowy Wachtmanna, wyprowadził konia ze stajni, otworzywszy obie połowy drzwi.

Lecz któż zdoła opisać gniew i rozpacz doktora, gdy nagle ujrzał mieszkańców całej wsi, uszykowanych przy drzwiach stajni, z Janem Kludjuszem Wachtmannem na czele, z prawej jego strony Huberta leśniczego, a z lewej Krystynę Baur. Rumienice wystąpiły na szanowne oblicze myśli cięła, a oczy jego, zwykle spokojne i myślące, rzuciły błyski szlachet-



nego gniewu. Nic nie mówiąc, wsiadł na konia i zawołał:

— Usuniecie się!

Lecz tłum nie poruszył się wcale; nawet zdawało się doktorowi, że wszystkie usta uśmiechnęły się szyderczo.

— No, moi przyjaciele! — zawołał powtórnie tonem łagodniejszym — usuniecie się, bo nie mam czasu, muszę jechać do moich chorych w góry.

To kłamstwo, przeciwne jego sposobowi myślenia, kosztowało go dużo, a jednakże wieśniacy, którzy znali jego dobroć, nie cofnęli się ani na krok.

— Wiemy o wszystkim! — zawołała gruba Katarzyna, udając, że płacze — wiemy o wszystkim! Marta nam powiedziała, pan opuszcza naszą wieś!

Mateusz chciał odpowiedzieć, gdy Wachtmann jednym skinieniem nakazał wszystkim milczenie, a stanąwszy naprzeciw doktora, by go przygnieść swym wzrokiem, wydobyl majestatycznie okulary z futerału, nasadził je na ogromny nos, rozwinął poważnie papier, przebiegł wzrokiem po tłumie, dla wzbudzenia uwagi, i zaczął czytać uroczystie swe arcydzieło, zatrzymując się na punktach i przecinkach i gestykulując, jak kaznodzieja włoski:

— „Gdy wielki Antiochus, król Niniwy i Babilonu, przedsięwziął ambitny zamiar opuszczenia królestwa, dla podbicia pięciu części świata w nagannym celu okrycia się chwałą, jego przyjaciel Cyneasz powiedział mu: — „Wielki Antyochu, znakomita latarośli tylu królów, cesarzy i władców Babilonu, Niniwy, Mezopotamji i całej ziemi, leżącej nad Tygrysem i Eufratem! wspaniała i niewyciężony wojownik, racz nakłonić waleczne ucho i wysłuchaj słów twego przyjaciela Cyneasza, człowieka rozumnego, który pada ci do nóg i pragnie udzielić najlepszych rad... Cóż to jest sława? Czyzy dym, podobny do cienia, nie-



mającego żadnego fundamentu, na którymby można się oprzeć... Sława, to klęska ludzkości, zawierająca w sobie chorobę, wojnę i głód, zgrozę i zniartwieniał! ty, wielki Antyochu, chcesz opuścić swoją żonę, a naszą najjaśniejszą królową, panią, pełną cnót wszelakich i wasze biedne dzieci, gryzące sobie palce z bólu i tarzające się w prochu? Czyż będziesz miał duszę, dość twardą i przewrotną, ażeby rzucić w przepaść rozpacz ten lud, który cię uwielbia? Spójrz na te urodziwe kobiety, na tych dojrzałych mężczyzn, na te dzieci przy piersi i na tych starców z białemi, jak wie zchołki gór, głowami, ty jesteś jakby ich ojcem... Usłysz ich krzyki, ich łzy... ich..."

Nauczyciel nie mógł mówić dalej, bo tłum jakby na komendę uderzył w płacz; kobiety łkały, mężczyźni wzdychali, dzieci pisały, powietrze napelniło się jękiem. Klaudjusz Wachtmann podniósł się na palcach i powiódł swym dużym nosem od prawego do lewego ramienia dla zapewnienia się, czy wszyscy spełniają swój obowiązek. I ujrzał małego Jakóba Purrus, niepoprawne dziecko, wążące po drabinie na dach za kotem Marty; nauczyciel pogroził mu palcem, a malec, przypomniawszy sobie rozkazy mentora, wrzasnął przeraźliwie, jak trąba ostatecznego sądu.

Wachtmann triumfował, bo nigdy nic podobnego najstarsi ludzie nie słyszeli. Na twarzy Franciszka Mateusza malowało się niezadowolenie, lecz gdy usłyszał, jak Cyneas mówił do wielkiego Antyocha, uśmiech nieznaczny opromienił jego oblicze, postąpił krok naprzód, tak, że głowa Brunona była zewnątrz koła ludzi.

Jan Klaudjusz wznosił rękę do góry i tłum umilkł, jak zaklęty.

— Sławny doktorze Franciszku Mateuszu — rozpoczął znów nauczyciel — podobni do mieszkańców Babilonu...

Lecz w tej chwili Franciszek Mateusz, nie słuchając końca, uderzył Brunona ostrogami, koń pomknął, jak huragan, przez płoty, ogrody, zboża, krzaki, tratując tu kapustę, tam rzepe, tu zboże, tam owies, pędząc, jak szalony.

Dochodziły go tylko krzyki tłumu, lecz nie odwrócił ani razu głowy i już przejeżdżał przez łąkę wspólną, gdy Jan Klaudjusz z wyciągniętą i żółtą, jak воск, twarzą, podniósł obie ręce do góry i krzyknął:

— Jeszcze nie skończyłem, nie przeczytałem jeszcze o przeistoczeniu się Nabuchodonozora w wołu z orlemy skrzydłami! Słuchajcie więc!... Jakóbiel... Huberciel... Krystynol...

Lecz nikt nie słuchał. Wszystkich oczy biegły za Mateuszem, krzyczano, wrzeszczano, psy szczekały, zdawało się, że nastaje koniec świata.

Wkrótce ujrano doktora, wjeżdżającego galopem na Falberg. Zinsel przebył wpław, pochylił się na szyję konia, a poły długiego surduta wiatr uniósł do góry. Doktor leciał, jak opętany. Nareszcie zniknął w lesie, a wieśniacy spojrzeli po sobie zdumieni.

Jan Klaudjusz chciał kończyć orację, lecz każdy odwracał się od niego, mówiąc:

— Naco się zdała oracja, kiedyśmy stracili naszego doktora? Ah! gdybyśmy wiedzieli, że ucieknie, zatrzymalibyśmy konia za cugle!

Oto jakim sposobem uczony doktor Franciszek Mateusz, dzięki swemu heroizmowi, przytomności umysłu i dzielności nóg Brunona, wy dostał się na wolność.

#### IV

Łatwo wyobrazić sobie radość Mateusza, gdy się ujrział wybawionym z rąk Jana Klaudjusza i całej wsi. Po krzyku wieśniaków wkrótce nastąpiła poważna cisza



lasu. Wtedy poczełwiec, podziękowawszy Boga za wszystko, opuścił cugle na kark konia i podązał powoli ku Saverne.

Słońce już było wysoko, gdy wyjechał na gościniec, lecz, pomimo znużenia, pomimo, że pot lał się zeń strumieniem, a Brunon zatrzymywał się od czasu do czasu dla skubnięcia trawy przy ścieżce, wielki filozof nie myślał o odpoczynku. Widział się już na scenie swoich triumfów, wyobrażał sobie, jak, idąc od miasta do miasta, od wsi do wsi, pionuje na sofistów i zasiewa zdrowe ziarna antropo-zoologii.

„Franciszku Mateuszu — mówił do siebie — jesteś prawdziwym wybrańcem! Tobie dana jest w udziale chwała zabezpieczenia szczęścia rodu ludzkiego i rozproszenia odwiecznej ciemnoty! Patrz na te obszerne kraje, na te miasta, wsie, folwarki, chałupy — wszystko to oczekuje twego przyjścia! Wszędzie daje się czuć potrzeba nowej doktryny, opartej na trzech królestwach natury, wszędzie jęczą ludzie w niepewności i wątpieniu! Franciszku, mówię ci bez próżności, ale i bez fałszywej skromności, istność istności ma oczy, zwrócone na ciebie.. Naprzód! naprzód! a imię twoje, jak imię Pitagorasa, Mojżesza, Konfucjusza i tylu innych wielkich prawodawców, będzie brzmiało po wszystkie wieki!”

Szanowny doktor rozumował w ten sposób w szczereści swego ducha, zjeżdżając z pochyłości Falbergu w cienie jodeł, gdy odgłosy radości, wybuchy śmiechu i dźwięki skrzypiec wyrwały go z zadumy.

Znajdował się właśnie naprzeciw karczmy Leche-frite, o dwie mile od Graufthal odległej, do której mieszkańcy parafji Sant-Jean-des-Choux przychodzą na tańce i jajecznicę ze słoniną. W karczmie było dużo ludzi. Kosiarze, z zawiniętymi od koszul rękawami, i wieśniaczki w krótkich spódnickach tańczyły wokoło altany, krzycząc wniebogłosy.

Kuku Piotr, skrzypek, sławny Kuku Piotr, syn Yokela Piotra z Lutzstein, pożądany we wszystkich szynkowniach, piwiarniach i garkuchniach całej Alzacji, dobry, wesoly Kuku Piotr, siedział na beczce piwa, ubrany w kurtkę z grubego sukna, zapinaną na stalowe guzy, duże, jak talary, z rozjaśnioną twarzą, rumianą i tłustą, w pilśniowym kapeluszu, ozdobionym piórem koguciem, i wyrzynał od ucha na skrzypicy starego walca krajowego, zastępując sam jeden całą orkiestrę. Wino, piwo, wiśniówka płynęły, a ogniście pocałunki, jawnie rozdawane, wywoływały powszechną weselość.

Pomimo ciężkich myśli o przyszłość i cywilizację świata, Mateusz nie był w stanie powstrzymać się od popatrzenia na ten wesoly obraz. Stanąwszy za altaną, śmiał się całem sercem z całusów i miłosnych scen, jakie widział z za drzew. Lecz, gdy pocziwiec robi spostrzeżenia, skrzypek nagle zeskakuje z beczki i woła donośnym głosem:

— Al al al doktor! pocziwy doktor Franciszek! za pozwoleniem! puście mnie! przyprowadzę wam męża, który zbadał przechodzenie dusz i odkrył sposób przemienienia ludzi w kartofle.

Trzeba wiedzieć, że nasz filozof zrobił niedorzeczność, poznajomiwszy Kuku Piotra ze swymi poglądami psychologiczno-antropo-zoologicznymi, gdyż nie obawiał się, by ten skompromitował system nieprzyzwoitymi uwagami.

— Ach! doktorze Mateuszu! — zawołał Kuku Piotr — w sam czas przybywasz, niech żyje weselość!

I, rzuciwszy w górę kapelusz, przeskoczył rów i schwycił Brunona za uzdeczkę. Rozległo się głośnie hural bo wszyscy znali Mateusza.

— Wstap, doktorze, na szklanek wina lub wiśniówki. Tędy, doktorze!

Jeden go wziął za rękę, drugi za szyję, trzeci za



połę surduta, krzycząc i śmiejąc się przyprowadzili do altany. Biednemu doktorowi trzeszczało w głowie.

Konia umieszczono w cieniu, dano mu miarę owsa i we dwie minuty potem głęboki filozof siedział pomiędzy Piotrem Bentz, strażnikiem leśnym, i Tobjaszem Müller, szynkarzem, a przed nimi tańczył Kuku Piotr, skacząc to na jednej, to na drugiej nodze, z zapalem, trudnym do pójścia.

— Pij, pan, z mojej szklanki! — wołał Tobiasz.

— Panie doktorze — mówiła mała Zuzia z drugiej strony — pan weźmie mój kieliszek, nieprawdaż?

A jej usta, otwierając się do słodkiego uśmiechu, dozwalały widzieć drobne ząbki, białe, jak śnieg.

— Dobrze, moje dziecko — odpowiadał pocztowiec, którego oczy błyszczały radością, — dobrze, z przyjemnością!

— Czy jadłeś pan już śniadanie, panie doktorze?

— Nie, mój przyjacielu.

— Hej! ojciec Tobiaszul — jajecznicę na słoninie dla doktora!

W kilka minut znowu wszyscy zajęli swoje miejsca; młode dziewczyny wzięły się za ręce ze swymi ukochanymi, starzy ojcowie zasiedli przy kuflach, a matki pod altaną.

Kuku Piotr dał znak rozpoczęcia na nowo tańców i wkrótce dały się słyszeć dźwięki ładnego walca.

Mateusz chciał zaraz rozpocząć wykład swej nauki, lecz zrozumiał, że młódzieź, cała oddana zabawie, nie byłaby w stanie słuchać jego słów z potrzebnem nateżeniem ducha.

W przerwie tańców, pomiędzy dwiema galopadami, Kuku Piotr przyszedł wypróżnić swoją szklankę i powiedział:

— No! doktorze, nogi panu zdrętwieja! weź pan jedną z tych ładnych kokoszek i poskacz przecie choć raz! Spójrz tylko na małą Małgosię, jak się

kreci, co za ruchy powabnej co za kibić! jakie oczy! jaka nóżka! Małgosiu! chodźno tutaj!... Czyż serce panu nie bije?

Młoda wieśniaczka zbliżyła się z uśmiechem; wyglądała cudownie w czarnym czepeczku na głowie i aksamitnym staniku, naszytym świecidelkami.

— Co chcesz, Kuku Piotrze? — zapytała wesoło.

— Co ja chcę? — odpowiedział skrzypek, biorąc ją za podbródek zaokrąglony, różowy i świeży, jak brzośkwinia — co ja chcę?.. ehl gdybym miał dwadzieścia lat, ojciec Mateuszul...

I poklepał doktora po brzuchu, westchnąwszy. Wieśniaczka spuściła oczy i wyszeptwała zawstydzona:

— Żartujesz ze mnie, Kuku Piotrze...

— Żrtować! żartować! powiedz raczej, śliczna Małgosiu, że chcę płakać... Ah! gdybym miał dwadzieścia lat, jakżebym żartował, jakbym śmiał się!...

Małgosiu, jakbym ja się śmiał!...

Unikł na chwilę i westchnął melancholijnie, a odwracając się do doktora, po uszy zarumienionego, zawołał:

— Za pozwoleniem, doktorze Franciszku, gdzie pan jedziesz tak rano? Musiałeś wyjechać przed świtem, kiedyś stanął tutaj przed południem.

— Jadę nauczać mojej doktryny — odpowiedział Mateusz głosem zwyczajnym i zupełnie naturalnym.

— Pańskiej doktryny? — zawołał Kuku Piotr, robiąc wielkie oczy — pańskiej doktryny?

Chwilę pozostał w zamyśleniu, lecz potem, wybuchając głośnie śmiechem, wykrzyknął:

— Cha! cha! cha! dobry żart! doskonały żart! cha! cha! cha! nie miałem cię nigdy, doktorze, za żartownisia.

— Cóż w tem widzisz śmiesznego? czyż nie mówiłem ci sto razy w Graufthal, że prędzej czy później wyjadę? Zdaje mi się, że to rzecz bardzo naturalna.

— Więc naprawdę jedziesz pan nauczać ludzi?



— Naprawdę!

— Jędziesz pan nauczać o przechodzeniu dusz i przekształcaniu się drzew w zwierzęta, a zwierząt w ludzi?

— Tak, mój kochany! będę mówił o wielu innych rzeczach, mniej lub więcej godnych uwagi, lecz teraz nie mam czasu na obznajmienie cię z niemi.

— A czy zaopatrzyłeś pan przynajmniej swój trzosa na drogę? bo to rzecz bardzo ważna, dodająca wiele powagi nauce.

— Co?! — krzyknął Mateusz, uniesiony szlachetną dumą — ja?... nie wziąłem z sobą ani jednego grosza!... Kto jest w posiadaniu prawdy, ten zawsze dość bogaty.

— Zawsze dość bogaty... — powtórzył skrzypek — to wierutne głupstwo... niedorzeczne głupstwo...

Wieśniacy zaczęli się zbliżać do nich; nie rozumiejąc o co idzie, domyślali się z miny Kuku Piotra, że się prz. gotowuje coś niezwykłego. Nagle skrzypek podskoczył i zaczął tańczyć, machać radośnie kapeluszem i krzyzczeć:

— Hel hel rozumieć!... to mi się podoba!

A obróciwszy się do zdziwionego tłumu, zawołał:

— Patrzcie na mnie! ja jestem prorok Kuku Piotr!... nie spodziewaliście się tego? ja także nie! Oto mój mistrz.. idziemy w świat nauczać... Ja będę szedł naprzód — deń! deń! deń! ludzie zgromadzają się, my oznajmiamy im o przechodzeniu dusz — to pochwlebia publiczności i... hopsas! jemv dobrze, pijemy, obracamy wodę na nasze koło i hopsas! tu śpimy, tam się bawimy! hop! hop! hopsas!

Mówiąc to, skakał, śmiał się, kręcił się, jak szalony.

— Ojciec Mateusz! idę za tobą wszędzie i nie opuszczę cię nigdy!

Mędrzec nie śmiał tych wyrazów brać na serio, lecz nie wątpił o ich prawdzie, gdy ujrzał skrzypka, włożącego na beczkę i krzyczącego na całe gardło:

— Oznajmiamy wam, że, zamiast ulatywać w niebo, jak to dawniej bywało, dusze mężczyzn i kobiet będą teraz wchodzić w zwierzęta, a ze zwierząt po ich śmierci w rośliny, drzewa i jarzyny, co zależeć będzie od ich prowadzenia się i że, zamiast przychodzić na świat podług systemu Adama i Ewy, jak to wielu utrzymuje, będziemy najprzód kapustą, potem rzepą, potem marchwią, potem rybą lub innem zwierzęciem, dwu lub czteronożnem, co jest daleko prostszem i łatwiejszem. Oto znakomity doktor Franciszek Mateusz, mój mistrz, który odkrył te rzeczy, a wy zrobicie nam wielką przyjemność, gdy opowiecie o nich swym przyjaciółom i znajomym.

Po tych słowach Kuku Piotr uklonił się kapeluszem naokoło, zszedł z beczki i usiadł poważnie przy Mateuszu, mówiąc:

— Mistrzu! opuszczam wszystko i idę za tobą!

Mateusz, rozczulony białem winem, uрониł kilka słodkich łez.

— Kuku Piotrze! — zawołał — ogłaszam cię w obliczu nieba moim pierwszym uczniem! Będziesz węgielnym kamieniem nowego gmachu, który się wzniesie na trzech królestwach natury. Słowa twoje znalazły odgłos w mem sercu i uznaje cię godnym do poświęcenia życia dla szlachetnej sprawy.

I ucałował go w oba policzki.

Wieśniacy byli zachwyceni tem wdowiskiem. Jednakże, gdy ujrzeli skrzypka, chowającego swój instrument do torby, szmer niezadowolenia rozległ się ze wszystkich stron i, nie uważając na względy, należne Franciszkowi Mateuszowi, zaczęto głośno objawiać niezadowolenie. Wtedy myśliciel powstał i przemówił w te słowa:

— Moje dzieci! przebyliśmy z sobą wiele lat, wielu z pomiędzy was wyrosło pod moimi oczami, inni oddawna byli memi przyjaciółmi. Wiecie, że robiłem



dla was wszystko, co mogłem, nie szczędziłem nigdy ani trudów dla oddania wam przysługi, ani starań, ani szczupłego mienia — owocu ciężkiej pracy mego ojca! Dziś ludzkość mnie wzywa... należę do ogółu... rozstańmy się więc dobrymi przyjaciółmi i pomyślcie czasem o Franciszku Mateuszu, który was tak kochał...

Wymawiając ostatnie wyrazy, rozrzewnił się tak, że łzy stłumiły mu głos, a tak był wzruszony, iż trzeba go było podprowadzić do konia.

Wszyscy płakali i żalowali dobrego doktora — ojca biednych i pocieszyciela nieszczęśliwych.

Długo patrzano, jak odjeżdżał wolnym krokiem z głową, zwieszoną na piersi; nikt nie wymówił ani jednego słowa z obawy powiększenia jego bóleści i wszyscy czuli, że ponoszą stratę niepowetowaną.

Kuku Piotr z kapeluszem, na ucho nasadzonym, z torbą przez ramię, szedł za doktorem, dumny jak kogut. Odwracał się od czasu do czasu, jakby chciał powiedzieć: — „Teraz drwię z was... jestem prorokiem! prorok Kuku Piotr! hop! hop! hopsas!”

## V

Widząc Franciszka Mateusza i jego ucznia, zjeżdżających z Steinbachu przez las jodłowy, niktby nie zgadł, że to są dwaj niepospolici ludzie, idący na zdobycie świata. Nie można zaprzeczyć, że głęboki myśliciel, sztywno siedzący na Brunonie, z głową, wzniesioną do góry, i nogami, kołyszącymi się, miał w sobie coś majestatycznego, lecz zato Kuku Piotr nic a nic nie był podobny do proroka. Ze swą twarzą jowialną, dużym brzuchem i koguciem piórem, wyglądał raczej na wesołego biesiadnika, gotowego oddać wszystko dla zabawienia się i nie myślącego o tem, co później będzie.

Zauważył to i Mateusz, lecz tłumaczył sobie, że,

gdy Kuku Piotr wejdzie na drogę psychologiczno-antropo-zoologiczną i przesiąknie zasadami jego systemu, przybierze fizjognomję przyzwoitszą.

Kuku Piotr zaś z innego punktu zapatrywał się na przedsięwzięcie.

— Toż to będą ludzie zdziwieni, ujrawszy we mnie proroka — mówił sobie. — Chał chał chał zawsze go się żarty trzymają — pomyślał sobie. Lecz ciekawy jestem do czego nas doprowadzi nauczanie ludzi o przemianie ciał i przechodzeniu dusz? K. lendarz strasburski na rok przyszły niezawodnie będzie mówił o nasł to rzecz pewna... i ja z memi skrzypcami będę wyrysowany na jednej całej stronicy z podpisem wielkimi literami: „Kuku Piotr, syn Jokela Piotra z Lutzelst inu, przekształciciel świata”. Chał chał chał dopiero to będziesz używał, kochany proroku! będziesz jadł za czterech, pił za sześciu, nakazując innym wstrzemięźliwość! A kto wie? na stare lata może zostaniesz rabinem od przechodzenia dusz, będziesz się wylegiwał na pernatach, zapuścisz brodę i włożysz okulary na nos! Kochany Kuku Piotrze! nie spodziewałeś się, że możesz stanąć tak wysoko!...

Jednakże, jakby naprzekór, jakieś wątpliwości przychodziły mu na myśl; piękne nadzieje wydawały się zwodniczymi, przewidywał zawady i przeszkody.

— Powiedz mi, mistrzu Franciszku — mówił, wyciągając nogi — język mnie świerzbi od pewnego czasu, chciałbym się ciebie, mistrzu, zapytać o niektóre rzeczy.

— Mów, mój synu — odpowiedział filczok — mów śmiało. Czyżby zwątpienie zachwiało twem szlachetnem postanowieniem?

— Rzeczywiście, niepokoje się cokolwiek. Czyż jesteś pewny, mistrzu, twego przechodzenia dusz? bo, mówiąc szczerze, ja nie przypominam sobie, że-  
bym żył przed urodzeniem!



— Jakiż czy jestem pewny? — zawołał Mateusz — sądzisz więc, nieszczęśliwy, że ja chcę świat oszukać, rzucić rozpacz pomiędzy ludzi, wywołać przesstrach po miastach i zakłócić sumienia?

— Nie mówię tego, mistrzu, przeciwnie, jestem najzupełniej oddany doktrynie, ale jest wielu innych, którzy nie będą chcieli wierzyć i powiedzą: — „Co on nam, u diabła, plecie o duszach, wchodzących w ciała zwierząt? czyż bierze nas za zwierzęta? Dusze, podróżujące i schodzące po drabinie jestestw! dusze, chodzące na czterech nogach, i dusze, rodzące liście.. ten jegomość zwarzował!” Nie ja to mówię, mistrzu, ale inni. Ja wierzę we wszystko, lecz chciałbym wiedzieć, jak odpowiesz im na taki zarzut?

— Jak odpowiem? — zapytał Mateusz, blady ze zgorzelenia.

— Tak, co odpowiesz, mistrzu, tym bezbożnikom? Myśliciel zatrzymał się wśród drogi, wzniósł się na strzemiönach i zawołał donośnym głosem:

— Podli sofiści! — powiem — zwolennicy błędu i fałszywych zasad! wasze haniebne wykrety i wasze scholastyczne maksymy nie zwyciężą mnie... Napróżno chcecie zaćmić słońce, błyszczące na sklepieniu nieba, to słońce, bezbożnicy, które świeci dla was, ogrzewa was i ożywia naturę!... pomimo waszych kłamstw, pomimo waszej niewdzięczności, nie przestanie ono obsypywać was dobrodziejstwami! Naco widzieć duszę, która mnie natchnęła najszlachetniejszymi myślami? Czyż nie jest ona obecna w moim jestestwie? Czyż nie jest mną samym? Utnijcie te ręce i te nogi — czyż Franciszek Mateusz nie pozostanie tą samą istotą pod względem intelektualnym i moralnym? Ciało jest tylko powłoką, dusza sama jest nieśmiertelna! Ach! Kuku Piotrze! połóż rękę na sercu, spojrzuj na to ogromne sklepienie, pomyśl o wielkości harmonji świata, a potem... odważ się zaprzeczyć by-

towi Najwyższej Istności, pierwszemu początkowi i przyczynie wszechrzeczy!

Podczas gdy Mateusz improwizował, Kuku Piotr patrzył na niego, przymrużywszy złośliwie oczy, nareszcie zawołał:

— Oto tak to potrzeba mówić do chłopów, a we wszystko uwierzą.

— Więc wierzysz w przechodzenie dusz?

— Tak, tak.. wierzę! zapędzimy w kozi róg wszystkich naszych kaznodziej; ani jeden z nich nie byłby w stanie mówić tak długo, jak ty, mistrzu, bez odetchnienia. Inni potrzebują nos wytrzeć, odkaslnąć dla zebrania myśli... a u ciebie, panie, wszystko idzie jak z płatka! wybornie! wybornie!

Przybyli wtedy właśnie na rozdroże Trzech Źródeł. Mateusz zatrzymał się.

— Oto trzy drogi — powiedział. — Opatrzność, czuwająca bezustannie nad losem wielkich ludzi, wskaże nam którą powinniśmy iść i natchnie postanowieniem, którego skutki będą nieobliczone dla postępu światła i cywilizacji.

— Prawdę rzekłeś, mistrzu — odrzekł Kuku Piotr. — Opatrzność szepnęła mi do ucha, żebyśmy dziś poszli do Oberbronn; jest to dzień, w którym matka Windling, wdowa po Windlingu, oberżyscie, zabija co rok tłustego wieprza. Przybędziemy akurat na gotowe kielbasy i szumiące piwo.

— Lecz nie będziemy mogli rozpocząć naszej nauki! — zawołał Mateusz, niezadowolony żołądkowymi tendencjami swego ucznia.

— Owszem, jedno drugiemu nie przeszkadza; oberża matki Windling będzie pełna ludzi i zaraz będziemy mogli rozpocząć naukę.

— Spodziewasz się zastać tam dużo ludzi?

— Bezwątpienia, cała wieś zejdzie się na kielbasy.

— No, to chodźmy do Oberbronn.



— Tak — rzekł skrzypek — trzeba być posłusznym Opatrzności.

Około szóstej wieczorem, wielki myśliciel i jego uczeń przebywali majestatycznie jedyną ulicę Oberbronn.

Ruch wieski ożywił Mateusza, bo pocztowiec lubił bardzo życie wiejskie. Zapach trawy i kwiatów, rozlany w powietrzu w czasie sianokosu, wielkie obładowane wozy, stojące przy okienkach strychów, gdy tymczasem zmęczone woły odpoczywają, a z okienek wysuwają się ręce na przyjęcie wiązki siana, podawanej na błyszczących widłach, kosiarze, odpoczywający w cieniu, śmiechy dziewczyn na strychu, twarze starców z siwymi lub łysej głowami w szlafmycach, wyglądające z okien, dzieci, wybiegające z chałup, wesoly szczebiot wróbli, goniących się po dachach, wszystko to było życiem i szczęściem dla pocztowego doktora. Zdawało mu się przez chwilę, że wrócił do Graufthal, nawet Brunon podniósł głowę, a przez całą ulicę Kuku Piotr był ciągle witany radośnie przez przechodzących.

— Hel hel Kuku Piotr przybywa na kielbasyl będziemy się weselić Dzieńdobry, Kuku Piotrzel!

— Dzieńdobry Karolul dzieńdobry Henrykul dzieńdobry Chrystjaniel dzieńdobryl dzieńdobryl

I witał na prawo i na lewo. Lecz wszystkich oczy zwracał na siebie Mateusz, którego poważna i uroczysta mina, sukienny surdut i dobrze wypasiony koń wzbudzały głęboki szacunek.

— Czy to proboszcz? Czy dentysta? — zapytywano się pocichu Kuku Piotr a, lecz ten nie miał czasu odpowiadać i śpieszył za doktorem.

Wkońcu przybyli na zakręt ulicy. Franciszek Mateusz przeczuł zaraz, że tu właśnie oberża matki Windling. Przez otwarte drzwi widać było ogromnego wieprza, wiszącego za tylne nogi, rozciątego od ogona

do głowy, naleźycie wymytego i wygolonego; pod nim duży pieś owczarski wylizywał z podłogi ściekłą krew. Okna staroświeckiej formy, dokoła domu topole, ogromny dach gontowy, przykrywający swemi skrzydłami drwalnię, wytłocznię wina, kurnik, w którym gdakały piękne kury, i gołębnik przy wejściu do którego gruchały, odymając gardła, dwa poważne niebieskie gołębie, wszystko to nadawało oberży matki Windling fizjonomję bardzo gościnną.

— Hej! Jan! Karol! Ludwik! prędzej, leniuchy!—zawałzał zdaleka skrzypek. — Cóż to? trzymacie za drzwiami sławnego doktora Mateusza? śpieszcie się, trutnie!

Cały dom napełnił się krzykiem, myślano, że przyjechał jakiś dygnitarz, jenerał, a przynajmniej podprefekt, tak krzyczał Kuku Piotr, przybrawszy minę uroczystą.

Nikel, stróż oberży, ukazał się przestraszony na progu stajni, mówiąc:

— Cóż się takiego stało, mój Boże!.. poco tak krzyczeć?

— Co się stało, nieszczęśliwy? czyż nie widzisz wielkiego doktora Mateusza; wynalazcy przechodzenia dusz, czekającego, byś mu przytrzymał strzemie? No! daj! śpiesz się! weź konia do stajni, lecz uprzedzam cie, że będę zaglądał do żłobu, a jeżeli znajdę choć jedno źdźbło siewki w owsie, odpowiesz mi za to głową.

Mateusz zsiadł z konia, służący pośpieszył z usługą.

Sławny doktor nie wiedział, że, by się dostać do wielkiej sali, trzeba przejść przez kuchnię; był więc przyjemnie zdziwiony widokiem, jaki się przedstawił jego oku. Robiono właśnie w kuchni kiełbasy. Ogień buchał na kominie, półki błyszczały się jak słońce. Michał mieszał w rondlu regularnie, jak maszyna, Katarzyna Windling, z zawiniętymi rękawami poza łokcie, nad ceberkiem, napełnionym mlekiem, krwią, mając



rankiem i siekaną cebulą, nalewała z wolna kłszki, stopniowo wypełniając je smaczną mieszaniną.

Kuku Piotr stanął oniemiały na ten rozkoszny obraz, przymrużał oczy, rozdymał nozdrza i napawał się zapachem rondli, aż wreszcie roznamietnionym głosem zawołał:

— Wielki Boże! co za ucztę będziemy mieli co za ucztę!

Pani Katarzyna odwróciła głowę i krzyknęła radośnie:

— Ach! to ty, Kuku Piotrze! czekałam cię właśnie, bo wiedziałam, że nie zapomnisz przyjść na kielbasę.

— O hol hol jeszczebym o tem miał zapomnieć! nie! nie! matko Katarzyno!.. jestem niezdolny do podobnej niewdzięczności; zanadto mi smakują, żebym miał o nich zapominać!

I, przystąpiwszy bliżej, wziął wielką łyżkę drewnianą, zanurzył ją w ceberku i przez kilka sekund patrzył badawczem okiem na mieszaninę z miną prawdziwego znawcy. Katarzyna, skrzyżowawszy czerwone ręce, zdawała się czekać na jego wyrok. Po chwili Kuku Piotr podniósł głowę i rzekł:

— Matko Katarzyno, nie obrażając was trzebaby dodać jeszcze trochę mleka, bo to widzicie mlekiem się nie przesadzi, a mleko dodaje delikatności, jest duszą kielbasy.

— To samo i ja mówiłam — odrzekła matka Winding. — Nieprawdaż, Zuziu, mówiłam ci, że mleko nie zaszkodzi?

— Tak, pani mówiła.

— Otóż teraz jestem zupełnie pewną siebie, idź po dzieżę z mlekiem. Ile łyżek, jak myślisz, Kuku Piotrze?

Skrzypek zbadał na nowo mieszaninę i rzekł:

— Tylko łyżki, matko Katarzyno, dobrej miary, a nawet dodałbym cztery.

— Dobrze, wlejemy cztery, to pewniejsze.

W tej chwili Katarzyna spostrzegła Mateusza, niemego świadka narady gastronomicznej.

— Ach! mój Bozel—zawołała—nie widziałam tego pana! Kuku Piotrze, czy ten pan przyszedł z tobą?

— To jest mój przyjaciel—odpowiedział skrzypek — sławny doktor Mateusz z Graufthalu, mój szczerzy przyjaciel! Podróżujemy razem dla przyjemności i rozszerzania światła cywilizacji.

— Ach! panie doktorze!—rzekła matka Windling—przebacz pan! zanadto zajęłam się kielbasami! racz pan wejść! daruj pan!...

Wielki myśliciel uklonił się uroczyście, jakby chciał powiedzieć: „To nic, to nic!” a w duchu pomyślał: „Ta kobieta jest z familji kūr, lubi rozkosz i dobre jadlo; jej żywe oczy, tłuste i różowe policzki, nos, lekko zadarty, chociaż duży, dowodzą tego najwyraźniej.”

I rzeczywiście doktor nie mylił się, bo matka Windling była w swoim czasie kobietą nielada; opowiadała o niej historie... i rzeczy niezwykle i dziś, pomimo czterdziestu lat, robi jeszcze bardzo miłe oczy.

Mateusz wszedł do wielkiej sali i, usiadłszy na rogu jodłowego stołu, pogrążył się w dumania. Tymczasem Kuku Piotr, wypłukał kieliszki i posłał Zuzię po butelkę wolxheimu dla ochłodzenia mistrza.

Jak tylko służąca zeszła do piwnicy, Katarzyna zbliżyła się do skrzypka i, położywszy mu rękę na ramieniu, zapytała pocichu:

— Kuku Piotrze, ten pan, to twój przyjaciel?

— Mój najlepszy przyjaciel, matko Katarzyno.

— Przystojny mężczyzna! — dodała, przewracając oczy.

— Ehl ehl — zawołał Kuku Piotr, patrząc na nią z uśmiechem — tak myślicie, matko Katarzyno?



— Tak! tak! człowiek... Jak się należy.

— Hel hel spodziewam się... człowiek, który ma grunta na słońcu, uczony, doktor, co się nazywa.

— Doktor i ma grunta!—powtórzyła Katarzyna. Ejl ty mi nie mówisz wszystkiego, Piotrze, widzę to z twej twarzy. POCO on tu przyszedł?

— Hel—odrzekł Kuku Piotr, przymrużając oczy—jesteś domyślna, matko Katarzyno, widzisz daleko... hel hel hel gdybym się odważył wszystko powiedzieć... lecz są rzeczy...

Później, wycierając szklanki, mówił jakby odniechcenia:

— Powiedz mi, matko Katarzyno, czy młynarz Tapihaus zawsze was odwiedza?

— Tapihaus!—zawołała matka Windling—nie wspominaj mi o nim! drwię sobie z niego! on chciałby się ożenić z moim domem, ogrodem, łąką... kutwał

— To nie jest mąż dla was, wierzcie mi... to...

W tej chwili służąca wchodziła na schody od piwnicy, a Katarzyna promieniała radością.

— Dobrze, bardzo dobrze—odrzekła, biorąc butelkę od służącej—sama podam temu panu! a ty, Zuziu, dodaj cztery łyżki mleka do kiszek. Kuku Piotrze spojrzij, czy nie mam czego na twarzy, czy włosy mi się nie potargały?

— Wyglądasz, jak róża, matko Katarzyno!

— Tak myślisz?

— Z pewnością, jesteś pełną, jak poziomka.

— Nól nól figlarz!

Matka Windling obtarła ręce serwetą, wiszącą przy drzwiach, wzięła butelkę i weszła do sali, podrygując, jak młoda dziewczyna.

Franciszek Mateusz siedział przy otwartym oknie i przyglądał się pszczołom starego Baumgartena, którego pasieka była naprzeciwko; znakomity filozof,

zastłuchawszy się brzęczenia pszczoł, utonął w marzeniu.

W tej chwili weszła matka Windling, a za nią promieniejący radością wtoczył się Kuku Piotr, niosąc w ręku trzy kieliszki.

— Rozgość się, doktorze Mateuszu!—zawołał—jesteś zmęczony, upał nieznośny, daj mi swój surdut, powieszę go na gwoździu.

— Tak, tak—dodała oberżystka—nie krepuj się pan, bądź pan tak, jak u siebie Kuku Piotr powiedział mi p r ũ s k e nazwisko — doktora Mateusza znają wszędzie, wielki to honor dla mego domu mieć go u siebie.

Mateusz, rozrzuwniony takim przyjęciem, podniósł oczy i rzekł:

— Jesteś pani zbyt dobra; żałuję bardzo, że nie przywiozłem egzemplarza mojej antropo-zoologii, by ofiarować ci go w dowód mojej wdzięczności.

— O! ja kocham ludzi uczonych—odpowiedziała matka Windling—i umiem ich cenić, jak na to zasługują!

Mówiąc to, patrzyła na niego tak czule, że aż doktor się tem zażenował.

— To nie Tapihaus, człowiek do niczego, młynarz—ciągnęła dalej—złe języki rozsiewają po wsi, że myślimy o pobraniu się, dlatego, że przychodzi codzień wieczorem wypić tutaj kieliszek wina. Ach! niech mnie Bóg broni poślubić człowieka, umiętego ty ko sapać... dość raz być wdową!

— Nie przeczę—odpowiedział Mateusz—lecz bądź pani spokojna: plotki nie wywierają na mnie żadnego wpływu, to byłoby przeciwne zasadom mojej filozofji.

Skrzypek napełnił kieliszki i rzekł:

— Dalej, pani Katarzyno, trzeba się trącić z doktorem. Pańskie zdrowie, doktorze!



Matka Windling nie gardziła wolxheimem, wypita więc zdrowie doktora jak prawdziwy huzar, następnie zdjęła z niego surdut i powiesiła, wraz z kapeluszem, na gwoździu.

— Chcę, by panu było wygodnie— mówiła—widzę, że sie pan żenujesz, a ja nie lubię ceremonij! No, Kuku Piotrze, jeszcze jeden kieliszek i wracam do kuchni przygotować wam wieczerze. Ach! doktorze, powiedz mi pan, co pan lubi i co może panu zrobić przyjemność? pieczeń? potrawka z kury?

— Pani, zapewniam cię—odpowiedział doktor—że mi to wszystko jedno.

— Nie! nie! tak być nie może, przecie musi pan mieć apetyt do czegoś?

Kuku Piotr mrugnął na nią, jakby jej dając poznać, że zna gust doktora.

— Już my urządzimy wszystko jak będzie można najlepiej!

Wychyliła gracko kieliszek, uśmiechnęła się do Mateusza i wyszła, obiecując rychło wrócić. Kuku Piotr wyszedł za nią dla powiedzenia jej, żeby zrobiła pewen przysmak, który bardzo lubił, spodziewając się, że i doktorowi zrobi tem przyjemność, a Franciszek Mateusz w rozkoszonym spokoju pozostał przy oknie. Słyszał głos matki Windling, wydającej rozkazy, ruch w kuchni, w sieni i całą tę uprzejmość przypisywał rozgłosowi swego znakomitego dzieła i winszował sobie szlachetnego przedsięwzięcia oświecania świata.

## VI

Była już noc, gdy pani Katarzyna, wyświeżona, uprzejma i uśmiechnięta, pokazała się w wielkiej sali z okazalym lichtarzem w rękę, błyszczącym, jak złoto.

Mateusz, oczekując przybycia wieśniaków, wypróżniał butelkę wolxheimu i układał świetną mowę,

opartą na niezłomnych zasadach mądrego Arystotelesa, lecz przybycie matki Windling zmieniło odrazu kierunek jego świetnych myśli. Katarzyna przywdziała swoją najpiękniejszą suknię w wielkie kwiaty, na szyję włożyła czerwoną jedwabną chusteczkę, a na głowę świąteczny czepeczek z szerokimi wstęgami morowemi, ułożonemi w kształcie skrzydeł motyla.

Filozof, olśniony, przyglądał się w milczeniu jej obnażonym rękom, zaokrąglonej szyi, ożywionym oczom i rzeczywiście wdzięcznej postaci.

Katarzyna spostrzegła odrazu w nieśmiałych oczach myśliciela wrażenie, jakie na niego wywarła, i na jej ustach wiśniowych zaigrał uśmiech zadowolenia.

— Długo pan czekał, panie doktorze—odezwała się, przykrywając koniec stołu białym obrusem—tak, bardzo długo—powtórzyła, rzucając czule spojrzenie, którem przeniknęła aż do głębi niewinnej duszy doktora.

— Strzeż się, Franciszku, strzeż się!—mówił sobie filozof. Pamiętaj o swojej wielkiej misji i nie pozwól uwieść się tej czarodziejskiej istocie!

Lecz czuł jakiś nieopisany dreszcz, przebiegający po ciele i mimowolnie przymknął powieki.

Katarzyna nie posiadała się z radości.

— Jak nieśmiały—myślała—jak się rumieni! Ach! gdybym mogła dodać mu odwagi! Ale to nie! jeszcze dziarski i dobrze zbudowany! No! no! wszystko pójdzie dobrze!

W tej chwili wszedł Kuku Piotr, wybuchając głośnym śmiechem; niósł dymiące kielbasy na fajan-sowym półmisku, z miną tak wesołą, że weselszej nie można zobaczyć.

— Ach! doktorze!—zawołał—co za zapach! co za smak! sama krew, słonina i śmietanka! wystaw sobie, ojcze Mateuszu, że spróbowałem już jej pół łokcia... ale to tylko wzbudza apetyt!



I, mówiąc to, postawił półmisek na stole, a sam zasiadł pod ścianą, rozwiązał krawat, rozpiął kurte, popuścił pasa i napawał się zapachem. Zuzia niosła za nim talerze, świeży chleb pszenny i nakrycie; gdy ułożyła wszystko w należnym porządku, wtedy Kuku Piotr, uzbrojony się w wielki nóż, oprawny w róg, zawołał:

— Dalej, matko Windling! siadaj przy doktorzel  
Ach! ach! dobre spotkanie!

Zawinął rękawy, przekrajał kielbasę I, wzięwszy kawał widelcem, umieścił go na talerzu Mateusza.

— Mistrzu! wprowadź to w swój organizm, a później powiesz, jak ci smakowało!

W tej chwili spostrzegł, że butelka była póżna i zawołał zdziwiony:

— Zuziu, czyż nie wiesz, że kielbasa lubi pływać?

Służąca, zawstydzona swym zapomnieniem, pospieszyła do piwnicy, lecz w kuchni spotkała młynarza Tapihaus i powiedziała mu tonem szyderczym:

— Ach! ach! biedny Tapihaus! kukulka śpiewa w domu; lepiej zrobisz jeżeli sobie poszukasz gniazda gdzie indziej...

W tejże chwili prawie, Tapihaus, blady i żółty, jak cytryna, z haczykowatym nosem, długimi uszami, w bawelnianej czapce na czubku głowy, zgarbiony, z rękami w kieszeniach szarego surduta, pokazał się na progu.

— Ach! to ty Tapihaus! — zawołał Kuku Piotr — w sam czas przybywasz, by widzieć nas jedzących z apetytem.

Mały człowieczek postąpił na środek sali, popatrzył chwilę na uczujących, a szczególnie na doktora i wdowę, która nawet nie odwróciła głowy; nos jego przedłużał się widocznie, wkońcu, otwierając zaciśnięte usta, powiedział:

— Dobry wieczór, pani Katarzyno!

— Dobry wieczór! — rzekła gospodyni, połykając kawał kielbasy.

Młynarz nie poruszał się z miejsca, utkwivszy wzrok w doktora, który patrzył na niego także, myśląc sobie: „Ten człowiek należy do rodzaju lisa, z natury jest niedelikatny i w dodatku toczy go jakiś złowieszczy robak; jego blada cera, wystające policzki i świdrujące oczy nie wróżą nic dobrego“. Po tych uwagach wychylił kieliszek wolxheimu, który mu smakował wybornie.

— No i cóż, jeszcze się nie ożenił, Tapihaus? — zapytał Kuku Piotr w przerwie.

Mały człowieczek nie odpowiedział, zacisnął tylko mocno usta.

— Jeszcze kawałek kielbasy, panie doktorze — prosiła z czułym wejrzeniem wdowa — jeszcze kawałek!

— Jesteś pani bardzo łaskawa — odpowiedział mędrzec, widocznie wzruszony czułą delikatnością i uprzejmością zachwycającej istoty.

Katarzyna, napelniając kieliszek, spoglądała z czułością i od czasu do czasu, opierając rękę na jego kolanie, pochylała się, szepcząc:

— Ach! doktorze... jakże jestem szczęśliwa z poznania ciebie!...

Na co mędrzec odpowiadał:

— I ja również, kochana panie! wierz mi, że nie jestem obojętny na twoją serdeczną gościnność; rzeczywiście jesteś zbyt dobra i gdybym mógł odwzajemnić ci się, zrobiłbym to z całego serca.

Te ciche rozmowy gryzły Tapihaus, który wreszcie usiadł w kącie sali przy piecu i uderzył w stół, krzycząc, jak opętany:

— Szklanekę wina!

— Zuziu, przynieś szklanekę wina temu człowiekowi — powiedziała wdowa obojętnie.

— Temu człowiekowi! — powtórzył młynarz. — Czy



to o mnie w ten sposób się mówi, matko Winding? Temu człowiekowi... wczoraj nazywaliście mnie Tapihaussem... czyż już przestaliście mnie znać?

— Kiedy chcesz, będę cię nazywać Tapihaussem, ale daj mi pokój!

Tapihaus zamilkł, wypił trzy szklanki jedna po drugiej, krzycząc za każdą:

— Jeszcze jedną! jeszcze jedną! prędko!

— Powiedźże, stary—zaczął Kuku Piotr, podnosząc głos—nie ożeniłeś się jeszcze?

— Co chcesz, Kuku Piotrze—odpowiedział młynarz z gorzkim uśmiechem—nie możemy gonić po świecie, jak golcy, nie mający co jeść w domu; trzeba pilnować majątku, uprawiać rolę, zbierać zasiewy i nasze żony muszą siedzieć w domu, ale kobiety wolą narzucać się pierwszemu lepszemu włóczędze, człowiekowi, którego nie znają, albo raczej, którego znają zbyt dobrze. Rozumiesz mnie, mój przyjacielu? Jesteśmy godni pożałowania i jedyną naszą pociechą jest, że możemy powiedzieć: to moja łaka! to mój młyn! to moja winnica!

Kuku Piotr, zbity z tropu, prędko odzyskał zwykłą pewność siebie i odpowiedział:

— Łaka, młyn, winnica—to ładne rzeczy, Tapihaus, bardzo ładne, ale to nie dość, do tego potrzeba jeszcze ładnej twarzy... w mężu szuka się twarzy czystej, świeżej, rumianej, coś w moim rodzaju—dodał, gładząc się po policzkach i wodząc oczami szyderczo—bo przecież nie trzyma się młyna przed nosem!

— Cha! cha! figlarzu—odezwała się matka Winding, klepiąc go po ramieniu—pobudzasz mnie do śmiechu!

W tej chwili Mateusz, skończywszy jedzenie, wypił kieliszek wina wolxheimu i, otarłszy usta, zwrócił się do Tapihausea:

— Mój przyjacielu—rzekł—uważaj, co ci powiem!

nie na łaki, ogrody i domy trzeba zważać, poślubiając kogoś. Najważniejszą rzeczą tutaj jest rasa, czyli pochodzenie, które może być mięsożerne, owocożerne, trawożerne, ziarnożerne, owadożerne, wszystkożerne i tem podobne, co trudno tu wyliczać, ale na co trzeba uważać w życiu. Uważ tylko, że gołąb nie łączy się z wroną, ani lis z kotem, ani koza z ptakiem; więc tak być powinno i pomiędzy ludźmi, bo, patrząc ze stanowiska psychologiczno-antropo-zoologicznego, jako jedynie prawdziwego, bo powszechnego, poznasz, że tyle jest rodzajów ludzi, co zwierząt. To jest rzecz prosta, bo wszyscy pochodzimy od zwierząt, jak tego dowiodłem w dwudziestym trzecim rozdziale ósmego tomu mojej „Paligenezy”... przeczytaj to dzieło, a będziesz przekonany. Otóż trzeba łączyć rasy z przynależną uwagą. Zróbmy porównanie: naprzykład sarna i zając mogą się z sobą zgodzić, gdy tymczasem wilk i owca splodziłyby potwora głupiego i okrutnego, podłego i straszego. A, niestety! ileż takich smutnych związków widzimy na świecie! dziś uważają tylko na majątek... to bardzo źle. Co do ciebie zaś, mój przyjacielu, nie radziłbym ci żenić się... twoje zdrowie...

Ale Tapihaus, błąd z gniewu, nie dał mu skończyć.

— Jakto? mówisz, że jestem podobny do wilka?  
— krzyknął — mówisz...

I, uniesiony gniewem, rzucił szklanką w Mateusza z całej siły. Szczęściem głęboki filozof, ze zwykłą mu przezornością, usunął się prędko, a szklanka uderzyła w brzuch Kuku Piotra, który ciężko jęknął.

Nim Mateusz ochłonął ze strachu, Tapihaus otworzył drzwi i uciekł, Katarzyna schwyciła miotłę i słyszano ją, krzyczącą na ulicy:

— Ahi ty łotrzel... trutniul... spróbuj tylko wrócić!... nędzniku!... ubliżać ludziom w mojej obergerzy! Wiedziano kiedy takiego wisielca?

Potem wróciła, podbiegła do Mateusza, zmusiła go



do wypicia kieliszka wina, przyłożyła mu zimnej wody na skronie i pocieszała, jak mogła.

Kuku Piotr wzdychał i jęczał boleśnie:

— Moje ciało jest chore... bardzo chorem Zuziu moja droga Zuziu, napełnij butelkę, bo zemdleję!

Po kwadransie Mateusz zupełnie przyszedł do siebie i mrucał:

— Ten człowiek widocznie należy do rasy drapieżnej—zdolny jest wrócić z siekierą, kosą lub innym podobnym narzędziem!

— Niech tylko spróbuje!—groziła wdowa, ściskając pięście—niech tylko wróci!..

Lecz to nic nie pomogło. Franciszek Mateusz zwracał bezustanku oczy na drzwi, a wrodzona lękliwość nie pozwalała mu widzieć wdzięku Katarzyny.

Kuku Piotr, nie mogąc wynaleźć żadnego powodu do napełnienia na nowo butelki i czując ból w brzuchu, radził iść spać. Wszyscy zgodzili się na to, bo było już późno i cała wieś uciszyła się.

Matka Windling wzięła świecę ze stołu, kazała pozamykać drzwi i zaprosiła Mateusza by się udał za nią.

Weszli na schody. W głębi kuchni, wszędzie widać było porządek i gospodarność, w korytarzu stały duże szafy, a w tych, jakby naumyślnie pootwieranych, leżały stosy bielizny, porządnie poukładanej, obrusy z czerwonymi brzegami, serwety i t. d., dalej w wielkich salach pełno było ziarna, roślin pastewnych i zboża—prawdziwy róg obfitości.

Nareszcie matka Windling weszła do obszernego pokoju, dobrze umeblowanego, w którym zwracały na siebie uwagę dwie komody, a na nich wspaniałe fajanse lunewilskie i szkła z Walergsthal. Znajdowało się tam także łóżko z baldachimem, wysokim, jak wieża Babel, i dwa lustra z Saint-Quirin.

Rzucając ostatnie spojrzenie na Mateusza i ściskając mu rękę, powiedziała z nieśmiałą miną, spuszczaając oczy:

— Śpij pan dobrze, panie doktorze i niech się panu nie przyśni co złego...

Popatrzyła z uśmiechem na filozofa, zamknęła drzwi i zeszła ze schodów.

Kuku Piort, podług swego zwyczaju, poszedł spać na strych.

## VII

Franciszek Mateusz nie mógł zmrużyć oka przez całą noc. Przewracał się ciągle z boku na bok i od czasu do czasu wymykał mu się z ust okrzyk zwycięstwa. Heroiczna ucieczka z Graufthalu, cudowne nawrócenie Kuku Piotra, gościnne przyjęcie u matki Windling—zawróciło mu głowę. Nietylko, że nie czuł potrzeby snu, lecz owszem czuł potrzebę pracy, ruchu i zajęcia umysłu, a przytem piernaty tak go grzały, że pot wystąpił kroplami i dlatego wstał nad ranem, ubrał się i zeszedł pocichu na podwórko, odechnąć świeżem powietrzem.

Wszystko spoczywało. Słońce złociło zaledwie wierzchołki topoli, cisza głęboka panowała w powietrzu, Mateusz, usiadłszy, zachwycał się spokojem tego domu wiejskiego i spoczynkiem natury.

Ten poczerniały dach, długie belki, połączone umysłem człowieka, wysokie topole, ciemne okna, a w głębi furtka ogrodowa, wychodząca na wieś, gdzie zaczęły już przerzedzać się ciemności, te niepewne kształty drzew w półcieniu, wszystko to zachęcało wielkiego filozofa do marzeń.

Powoli zaczęło się rozjaśniać i przedmioty rzucały długi niepewny cień, następnie gdzieś daleko Mateusz usłyszał śpiew skowronka, później ujrzał koguta,



który wytknął najprzód głowę przez okienko kurnika, postąpił krok naprzód, zatrzepotał skrzydłami, nabrał powietrza w piersi i zapiał ostro i przeciągle, a pianie jego odezwało się echem w otaczających lasach. Za nim wyszły kury, przywołując jedna drugą, skacząc z grzędy na grzędę, ostrząc dzioby, gdacząc i krzycząc swoim sposobem, rozbiegły się pod ścianą i zbierały robaki po rosie; gołębie latały w różnych kierunkach. Nareszcie błysnął jasny promień słońca, zabeczkała powoli jedna owca, inne odpowiedziały jej. Mateusz otworzył drzwi, by wpuścić owcom świeżego powietrza. Zajmujący widok przedstawiał się wtedy oczom myśliciela: światło dzienne wciskało się jasnymi promieniami do wnętrza stajni, oświetlając przybite do ścian czarne belki drabiny i wypłóznione żłoby. Duże woły, ze spuszczonei głowami i nogami, skrzyżowanemi pod piersi, spały jeszcze, otwierając zaledwie do połowy oczy, lecz biała jałowica już zupełnie się przebudziła, a oparłszy swój wilgotny pysk o grzbiet krowy, obok niej stojącej, przyglądała się Mateuszowi zdziwionemi oczyma, jakby chciała powiedzieć:—„Cóż ten znów chce od nas? nigdy go jeszcze nie widziała“.

Był tam i koń roboczy, wydający się bardzo zmęczonym, co mu jednak nie przeszkadzało skubać od czasu do czasu koniczynę, za drabinę zarzuconą, którą jadł powoli, jakby z łaski, i czarna koza, wspinająca się do drabiny po świeżą trawę, lecz najwięcej zwrócił na siebie uwagę uczonego badacza okazały buhaj—duma i chwała matki Windling.

Doktor podziwiał tę głowę szeroką i kędzierzawą, ozdobioną rogami krótkimi i świecącemi się, a silnemi, jak z żelaza, i gardło, wiszące od dolnej szczęki aż do kolan.

— O szlachetne i dzielne zwierze!—mówił głosem rzewnym — nie spodziewasz się ile głębokich myśli

nasuwa mi twój widok! Ty niedosięgłeś jeszcze do potęgi intelektualnej i moralnej, któraby cię wzniosła do wysokości poczucia psychologiczno-antropo-zoologicznego, lecz kształty twoje, pomimo to, są nie mniej cudowne; one świadczą swą harmonją o wielkości natury, bo niech, co chcą, mówią materjaliści — istoty, pozbawione zdrowej logiki, do takich kształtów nie można przyjść odrazu, przez jeden dzień; trzeba było tysiąca wleków, ażeby to doprowadzić do tego stopnia doskonałości estetycznej. Tak, na przejście z formy mineralnej do roślinnej i z roślinnej do zwierzęcej trzeba długiego czasu, pomijając już formy pośrednie, boć przecie jest ogromna różnica pomiędzy krzemieniem a dębem, ostrygą a bykiem. Otóż Franciszek Mateusz podziwiał w tobie tę siłę wewnętrzną, którą nazywają duszą, życiem lub innem mianem i która pracuje bezustannie nad udoskonaleniem typów i wprowadzeniem indywidualności w materję.

Badacz umilkł i pogrążył się w głębokim zachwycie.

Podczas, gdy Mateusz robił te uwagi głośno, otworzyła się deska, zakrywająca otwór w pułapie do zrzucania siana, a w otworze pokazała się zaspana twarz Kuku Piotra. Można sobie wyobrazić zdziwienie skrzypka, gdy ujrzał mistrza, przemawiającego do byka.

— Nol nol zdaje mi się, że go chce nawrócić.

I w tej chwili przyszła mu szczególna myśl do głowy.

— Ha! ha! To się dopiero uśmiejemy! — mówił sobie — zaczekaj, byk ci będzie odpowiadać!

I, zwinawszy ręce w trąbkę koło ust, zawołał:

— Och! och! wielki doktorze Mateuszu!... ja jestem bardzo... bardzo nieszczęśliwy!

Na te słowa filozof cofnął się, zdziwiony.

— Co to jest? — bełkotał, wodząc oczami naokoło siebie — co to? co słyszałem?

Lecz nie mógł nic dojrzeć, bo Kuku Piotr ukrył



się za wiązką siana i śmiał się, trzymając za boki; potem znów przemówił, przybierając głos, podobny do ryku wołu:

— Och! och! och! jestem bardzo nieszczęśliwy!... Byłem kiedyś wielkim Nabuchodonozorem, myślałem tylko o piciu i jedzeniu, i dlatego straciłem moje stanowisko na drabinie jestestw! och! och! jestem bardzo nieszczęśliwy!

Lecz doktor, z początku zdziwiony, wkrótce poznał głos skrzypka.

— Kuku Piotrzel — zawołał — ośmielasz się szydzić z najdoskonalszej filozofji? Czyż uważasz mnie za tak naiwnego, że przypuszczasz, iż uwierzę w jakieś przywidzenia?

Wtedy Kuku Piotr zszedł ze strychu, śmiejąc się.

— Cha! cha! cha! doktorzel — wołał — co za żarciki doskonały żarciki! gdym pana zobaczył, mówiącego do wołu, śmiech mię opanował...

Sam Mateusz nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— Wiem dobrze — mówił — że dusze nie mogą być degradowane z jednego królestwa do drugiego. To jest niepodobne i przeciwne memu systemowi; zdziwiłem się więc bardzo, lecz po chwili poznałem się na podejściu, bo dusza ludzka nie może istnieć w ciele zwierzęcia — nie znalazłaby tam dostatecznego dla siebie pomieszczenia.

I pocziwiec nie mógł sobie długo wyperswadować pierwszego zdziwienia, a Kuku Piotr trzymał się za brzuch od śmiechu.

Śmieli się tak, stojąc, gdy matka Windling, w krótkiej wełnianej spódniczce w czerwone pasy, z gołymi po łokcie rękami, zawsze świeża i pełna wdzięku, otworzyła drzwi, wychodzące na podwórze, i zaszła małemi schodkami, aby dać jeść kurom.

— Al dzieńdobry, panie doktorzel — zawołała, spo-

strzegłszy Mateusza — już pan wstał, tak rano? jakże się spało?

— Bardzo dobrze, kochana pani, bardzo dobrze, — odpowiedział z pośpiechem.

— Powiedźcie, pani Katarzyno — wtrącił skrzypek — czyby to nie dobrze było, gdybym rozniecił ogień na kuchni?

— Dobrze, Kuku Piotrze, idź, roznieć, a ja tam zaraz przyjdę. Patrz pan, panie doktorze, jakie śliczne kury, to prawdziwe błogosławieństwo... cipl cipl cipl mam trzy, które codzień znoszą jajka! cipl cipl cipl cipl duże, jak pięść! cipl cipl cipl cipl

Kury rzuciły się do ziarna, nadbiegły kaczki, gęsi pędziły z rozpostartymi skrzydłami, a wszystko krzyczało, gdakało, gęgało, wybiegając z różnych dziur.

— Ach! jakie to wszystko piękne! — mruczał filozof. — O! naturo! naturo! płodna matko! bogini obfitości i życia! twoje bogactwo i różnorodność nie mają granic!

Matka Windling rosła i uśmiechała się, biorąc do siebie te pochwały.

— Prawda, panie doktorze — mówiła — że moje kury są tłuste i dobrze żywione? Dają im też co mam najlepszego. Patrz pan na tę dużą białą — od trzech tygodni codzień znosi po jajku, albo ta szara z żółtymi piórami przy oczach, to prawdziwy skarb w gospodarstwie! Wystaw pan sobie, że często znosi dwa jajka na dzień, jedno rano a drugie na wieczór... i chowa się z niemil! Albo ten mały, czarny kogut, to prawdziwy djabeł! onegdaj wyczubił dużego przez zazdrość o tę żółtą, w której się kochał! Patrz, pan, już się chcą złapać za czuby! ach! wy trutnie! zaraz mi zgodą! żarłok!... a to istne chlopy!

Lecz, pomimo krzyków i rozkazów gospodyni, rywale porwały się do siebie i z wyciągniętymi dziobami, nastroszonymi piórami, skakały jeden ku drugie-



mu z zajądłością, starając się schwycić dziobami. Szczęściem nowa garść ziarna położyła koniec walce.

— Dziwny ten kurzy rodzaj — mówił Mateusz — nieśmiały, a często ożywia się aż do dzikości! Co to może zazdrość!... ta krwawa namiętność!

Matka Windling patrzyła na niego ukradkiem, mówiąc sobie: — „Biedny człowieku, myślisz o Tapihausie, lecz nie masz się czego obawiać... nie! nie! to za brzydki kogut, żeby mógł wejść do domu!”

Wkońcu wysypała resztę ziarna z fartucha, a patrząc czule na Mateusza, zapytała z uśmiechem:

— Czy pan doktor lubi jaja?

— Bardzo, kochana pani, szczególnie w łupinie — to jest pożywienie bardzo zdrowe i delikatne.

— Kiedy tak, to pójde poszukać świeżych. Powinno ich być dość na pańskie śniadanie.

I, mówiąc to, zaczęła wchodzić bez ceremonji na drabinę, a chociaż filozof odwrócił prędko głowę, ujrzał jednak niebieskie pończochy.

Pani Katarzyna wśliznęła się do kurnika i wkrótce powróciła uradowana, niosąc w fartuchu tuzin jaj, które pokazała doktorowi z miną triumfującą.

— Patrz pan! — wołała, stojąc na drabinie — tyle ich mam codzień!... A co za jaja?! ani jedna kura we wsi takich nie niesie. No! ale pomóż mi, panie doktorze... sama boję się zejść z drabiny.

Doktor więc musiał przytrzymywać drabinę jedną ręką, a drugą podać Katarzynie, która śmiała się, udając przestraszoną.

— Dziękuję, panie doktorze! Jestem pewna, że biała zniósła w drwalni, trzeba posłać Nikla, żeby poszukał.

Wzięła filozofa pod rękę i oboje weszli do domu.

Gdy Katarzyna z Mateuszem stanęli w kuchni, Kuku Piotr siedział na stołku przed kominem i dmuchał z całej siły przez blaszaną rurę na ogień. Węgle

buchały płomieniem, woda w garnku kipiła, na pa-  
telni szałyl się okazały kotlet, wydający przyjemny  
zapach.

Matka Windling zatrzymała się na progu, mówiąc:

— Ach! łotrze Kuku Piotrze, radabym wiedzieć  
skąd wziąłeś ten kotlet.

Kuku Piotr, nie odwracając się, wskazywał na  
szafę.

— On, jak kot, widzi wszystko, ale, przecież, ja  
mam klucz w kieszeni!

— Miej go sobie, pani Katarzyno — odpowiedział  
skrzypek poważnym tonem — ja klucza nie potrze-  
buję, dla mnie dość żdźbła słomy do otworzenia  
wszystkich zamków na świecie.

— Tak! łotr skończy na galerach! — odrzekła Ka-  
tarzyna, śmiejąc się.

Mateusz chciał robić wymówki swemu uczniowi,  
lecz uczeń przerwał mu:

— Mistrzu, lubię kotlety, a przecież nie sprzeci-  
wiał się to w niczem naszemu systemowi. Co zaś nie  
jest zabronionem, to musi być dozwolonem, niepraw-  
daż, matko Windling?

— Ale tak, tak... zawsze masz rację — to rzecz  
wiadoma. Ale usuń się, bo chcę ugotować jajka.  
Jeżeli pan doktor łaskaw przejsz do sali, ja tam za-  
raz przybędę, jedno Ojciec nasz — i wszystko będzie  
gotowe... A ty, Kuku Piotrze, może napoisz tymcza-  
sem konia pana doktora, bo Nikel poszedł odwrócić  
wodę z łaki.

— Z przyjemnością, matko, z przyjemnością!

Skrzypek wyszedł do stajni, a doktor do sali.

Nigdy Franciszek Mateusz nie czuł się spokojniej-  
szym, szczęśliwszym i więcej zadowolonym z siebie  
samego i z natury. Świeże powietrze obudziło w nim  
apetyt, słyszał gotującą się wodę w garnku na ko-  
minie, kot odmawiał pacierze pod stołem, a Katarzy-



na, zamlatając przed progiem, śpiewała starą piosnkę Karola Rittera:

„Kochaj mnie, a będę wzajemną!”

Filozof to przyglądał się staremu zegarowi norymberskiemu, złotemu i spróchnialemu, z fajansowym cyferblatem, malowanym w kwiaty, i z drewnianą kukulką, wyśpiewującą godziny, to stawał przy oknie i patrzył na mały plac Oberbronn.

Tu, przy strumyczku, zasilanym wodą, spadającą z wydrażonej belki, zebrały się wszystkie dziewczyny ze wsi, z zawiniętymi rękawami, w krótkich spódniczkach i boso. Prały one bieliznę, krzycząc i nawołując się wzajemnie. Poczciwe doktorzysko uśmiechał się naiwnie, patrząc na nie.

Brunon pił ze strumyka i od czasu do czasu odwracał głowę, jakby dla pozdrowienia Mateusza. Kuku Piotr trząsał z bicia i prawił komplementy hożym praczkom, śmiejącym się z jego mowy, ale mu się zachciało, zapewne przez zemstę, pocałować najpiękniejszą z nich. Powstał krzyk, śmiechy i wszystkie rzuciły się na niego z kijankami i mokrą bielizną.

Pomimo tego gwałtownego napadu, skrzypek nie puszczał dziewczyny, całując ją i krzycząc wesoło:

— Och! jakie to smaczne! bijciel bijciel drwie sobie z tego! Ach! co za buzia!

Wszystkie okna otworzyły się... stare kobiety krzyczały ze zgrozy... psy szczekały, a Kuku Piotr, zaczerwieniony, zmoczony i zasapany, powtarzał:

— Jeszcze jeden całus, dla miłości przechodzenia dusz!

— A to łotr!—mówił do siebie Mateusz—cóż to mam za ucznia!

Nareszcie, widząc ze wszystkich stron nadbiegających wieśniaków z kijami w rękę, zaciął Brunona, przeskoczył strumyk i uciekł ku stajni, wołając:

— Śliczne dziewczyny w Oberbronn! w ustach słodkie, jak wiśniel

Wpadłszy do stajni, chciał zatrzasnąć bramę, bo widział, że wieśniacy naprawdę byli rozgniewani, lecz Ludwik Spengler, syn leśniczego, którego właśnie ukochaną ucałował, przybiegł prawie razem z nim i włożył kij pomiędzy ścianę i bramę. Wszyscy hurmem wpadli do stajni, a Kuku Piotr krzyczał, jak opętany:

— Moi przyjaciele! kochani przyjaciele! to był żart! tak, ot, by się pośmiać...

Wyprowadzono Kuku Piotra przed stajnię i kije spadły mu gradem na plecy.

— Słodkie, jak wiśnia!—mówił jeden.

— A jakie smaczne!—mówił drugi.

— A co za buzia!—wołał Ludwik Spengler, przypominając mu własne jego słowa do dziewcząt.

Mateusz, świadek tego, krzyczał przez okno:

— Odwagi! odwagi! Kuku Piotr! przyjmij tę próbę antropo-zoologiczną z godnością! filozofa! nawet podziękuj tym młodym ludziom, którzy pracują nad twym moralnem udoskonaleniem! Oddawna już zauważyłem, że należysz do rodziny giliów, żywiących się najdelikatniejszymi pączkami krzewów i kwiatami, ale jak weźmiesz kilka takich lekcji, jak teraz, spodziewam się, że zmienisz usposobienie.

Biedny Kuku Piotr wiał się, patrząc boleśnie na swego mistrza, jakby chciał powiedzieć:—„Chciałbym bardzo widzieć cię na moim miejscu przy twoich zasadach antropo-zoologicznych!”

Jednak przemowa Mateusza sprawiła szczęśliwy zwrot dla skrzypka, bo wieśniacy, uderzeni poważną fizjognomią i sztywnymi ruchami doktora, zbliżyli się do okna, z czego korzystając, Piotr drapnął do stajni.

Półowa wsi znajdowała się wówczas przed Mateuszem; otoczono okno w półkole, wspinano się na



palce, ażeby widzieć doktora—każdy ciekawy był usłyszeć go. Wyobraźcie sobie uniesienie radosne poczuć...Chciał całować wszystkich, nie posiadał się z radości.

— Franciszku—mówił do siebie—nadeszła twoja chwila! widocznie istność istności zgromadziła tych słuchaczy, byś ich nawrócił; trzeba być ślepym, by nie widzieć w tem zrzędzenia opatrności.

Wzruszenie jego było tak wielkie, że przez kilka sekund nie mógł słowa wymówić; wycierał nos, otwierał usta, rozkładał ręce. Argumenty cisnęły mu się do myśli, lecz nie wiedział od czego zacząć, chciał wszystko wypowiedzieć naraz. Nareszcie uspokoił się i dźwięcznym głosem przemówił:

— Szlachetni mieszkańcy Oberbronnu, istoty uprzywilejowane od natury, zacni i szanowni wieśniacy! nie uwierzcie ile mnie to cieszy, że was widzę... nie wiecie o sławie, jaka was czeka i o skarbach, jakie wam przynoszę.

Na wspomnienie skarbów zrobił się ruch w tłumie, patrzano tylko, rychło doktor, zagłębiwszy rękę w worku, rzucił przez okno garść pieniędzy. Dalej stojący cisnęli się bliżej, a kulawa Kasia w pierwszym szeregu krzyczała przeraźliwie—biedna kobieta, widząc innych, podchodzących bliżej, obawiała się by nie rozchwytano części, na nią przypadającej. Gorliwość taka bardzo podnieciła filozofa.

— Tak, moi przyjaciele!—zaczął znów patetycznie—przynoszę wam skarby mądrości, skarby wiedzy i cnoty!

Nowe poruszenie ogólne.

— Niech cię djabli porwą z twymi skarbami mądrości!—zawołał Ludwik Spengler—wyglądasz, jakbyś ich więcej potrzebował od nas...

Mateusz, przejęty zgrozą, umilkł i chciał groźnem

słowem zgromić śmiałka, gdy młynarz Tapihaus zbliżył się do okna, zdjął szlafmycę i zawołał:

— Dzieńdobry, Abrahamiel co tu robisz? Czy chcesz nas przerobić na żydów?

— Nie nazywam się Abraham—odpowiedział głęboki myśliciel—jestem Franciszek Mateusz, doktor medycyny z fakultetu strasburskiego, członek-korrespondent...

— Ehl przecież znam cię dobrze—przerwał młynarz z miną szyderczą—nazywasz się Abraham Speizer! w przeszłym roku sprzedałeś mi kulawego konia, którego się nie mogę pozbyć.. i, jeżeli się nie mylę, jesteś rabinem w Marmoutier!

Zaledwie wymówił te wyrazy, wielki krzyk powstał w tłumie:

— Dalej na rabina! zabić rabina! hura! na żyda!

— Moje dzieci, mylicie się—wołał doktor—wasz instynkt zwierzęcy omylił was. Słuchajcie!

Lecz nikt nie chciał słuchać; stare kumoszki podniosły do góry rękojeściemiotła, mężczyźni widły, a niektórzy szukali kamieni. Mateusz, blady, osłupiały, bełkotał niezrozumiałe wyrazy. Nagle, jakby mu błysnęła szczęśliwa myśl w głowie, odwrócił się i uciekł do kuchni.

Wtedy krzyk i zamieszanie wzrosło, nawet sama Katarzyna była przelekniona.

— Mój Boże! cóż pan narobił, panie doktorze!...

— Nic to, kochana pani!... nic!—mrucał pocziwiec—to młynarz... to...

— Tapihaus?... Ach! nikczemnik! nikczemnik! on chce nas rozłączyć, wieś przeciw nam podburzał ten wisielec! Ale uciekaj pan! mówiła dalej, wsuwając mu kielbasę w kieszeń, uciekaj... zobaczymy się jeszcze... powrócisz pan kiedy indziej.

Filozof nie potrzebował zachęty, przebiegał już podwórze, szepcząc:



— Tak! tak! zobaczymy się w wyższych sferach!  
Wpadł tylnymi drzwiami do stajni, gdzie ujrzał swego ucznia, wkładającego uzdeczkę na konia.

Kuku Piotr przez okienko strychu widział, co się działo na placu i, przewidując niepowodzenie przemowy, wziął się do siodłania Brunona.

— Ehl ehl mistrzu—powiedział—w sam czas przybywasz, bo byłbym odjechał bez ciebie. Zdaje się, że przechodzenie dusz nie będzie prosperować w tej wsi!

— Uciekajmy!—wołał Mateusz, straciwszy zupełnie głowę.

— Tak i ja myślę to najlepsze, co możemy zrobić. Ci wieśniacy nie wznieśli się jeszcze do naszej wysokości. Siadaj pan za mną! nasze sprawy coraz gorzej idą.

Mówiąc to, wskoczył na konia, a doktor usiadł za nim z cudownym pośpiechem. Kuku Piotr pchnął drzwi i, jak opętany, wyleciał na plac.

Krzyk straszny rozległ się naokoło. Mateusz otrzymał trzy uderzenia widłami po plecach. Za każdym uderzeniem uczeń wołał:

— Aj! aj! jeszcze jedna lekcja psychologii!

Myśliciel ani pisał. Zamknął oczy, trzymając w pół Kuku Piotra tak silnie, że ten zaledwie mógł oddychać.

Pani Katarzyna, stojąc na progu oberży, z jajkami w rondelku, patrzyła na to, co się działo z miną żalosną; obawiała się o życie doktora, lecz gdy ujrzała konia, pędzącego cwałem przez plac, obtarła oczy fartuchem i wróciła do kuchni, głęboko wzdychając.

— Biedny kochanku! szeptała pocichu—niechaj cię niebo prowadzi i strzeże.

## VIII

Po półgodzinnym biegu, Franciszek Mateusz, słyszając tylko wyteżony galop konia i śpiew ptaków

w powietrzu, odważył się otworzyć jedno oko... później drugie... i, widząc się wpośród gęstego lasu, zdala od kijów i sofistycznych umysłów wieśniaków, odetchnął, jak wisielec, gdy go odetną, nim się uduś.

Kuku Piotr, zwolniwszy bieg konia, pomacał się po bokach dla sprawdzenia, czy mu żebra nie powylażyły nawierzch, a przekonawszy się, że wszystko jest na swoim miejscu, obrócił się ku wsi, którą widać jeszcze było z za drzew, wyciągnął groźnie rękę i zawołał:

— Wieśniacy z Oberbronnul prorok Kuku Piotr przeklina was!

— Niel nie! nie przeklinaj!—protestował doktor błagającym głosem.—Niestety! nieszczęśliwi nie wiedzą, co czynią!

— Tem gorzej dla nich!—przerwał zagniewany skrzypek—przeklinam ich aż do trzeciego, a nawet do czwartego pokolenia! Ach! lotrze Tapihaus! trutniu Ludwiku Spengler! przeklinam was! Pogardzam wami, jak błotem na moich butach!

Powiedziawszy to, odwrócił się i jechał dalej po wąskiej ścieżce, wiodącej do Eschenbach. Słońce ogrzewało piaszczystą ziemię, tysiące owadów unosiło się nad krzakami, a ich nieokreślony brzęk napełniał powietrze.

Ten spokój, rozlany w naturze, usposobił Mateusza do rzewności. Spuścił więc głowę, zakrył twarz i zaczął płakać.

— Co panu jest, mistzu Franciszku?—zapytał Kuku Piotr.

— Nic, mój przyjacielu—odpowiedział przytłumionym głosem doktor—myślę o tych nieszczęśliwych! myślę ile jeszcze form muszą przejść, nim dojdą do doskonałości moralnej, i żałuję, że mają tak złe serca. Mnie, który pragnę dla nich tyle dobrego, mnie,



który chciałem ich oświecić o ich przyszłym przeznaczeniu, mnie, który ich kocham z całej duszy, wybili, oplwali, znieważyli, zaprzeczyli czystości moich zamiarów!... Nie uwierzysz ile to sprawia przykrości!... pozwól mi więc płakać... te łzy dowodzą, jak ja jestem dobry! Oh! Franciszku! Franciszku! cnotliwy człowieku! płacz nad zaślepieniem twych bliźnich, lecz nie szemraj przeciw najwyższej sprawiedliwości! Ona podniosła cię do wielkości i siły! byłeś cebulą, tulipanem, ślimakiem, zającem i z kolei zostałeś człowiekiem... a nie odrazu stałeś się filozofem! trzeba było wieków na uspienie w tobie instynktów zwierzęcych. Bądź więc pobłażliwym i pomyśl, że jeżeli niższe istoty przeszkadzają ci w twojej myśli, to dlatego, że nie są w stanie zrozumieć cię.

— A to pyszne! dostaliśmy kije, a pan lituje się nad tymi, którzy nas obili—zawołał Kuku Piotr—zdaje mi się, że możemy żałować siebie samych!

— Słuchaj, mój przyjacielu—rzekł Mateusz, ocierając łzy—im więcej myślę, tem więcej się przekonuję, że tak powinno być; wszyscy prorocy cierpieli. Jeddo był posłany do Bethel z zastrzeżeniem, by nic nie jadł i nie pił, lecz na nieszczęście zjadł kawałek chleba i został pożarty przez lwa, a kości jego znaleziono pomiędzy lwem i jego własnym osłem. Jonasz był połknięty przez rybę, prawda że tylko trzy dni zostawał w jej wnętrznościach, lecz zawsze jest to bardzo nieprzyjemnie siedzieć siedmdziesiąt dwie godziny w tak niewygodnej gospodzie. Habakuk był niesiony za włosy do Babilonu. Pomyśl tylko, ile to się trzeba namęczyć w podróży, w ten sposób odbywanej. Ezechiel był ukamienowany. Z pewnością niewiadomo, czy Jeremiasz był także kamienowany, czy też przetrzymany na dwa, lecz Izajasz był przetrzymany niezawodnie. Amos był...

— Mistrzu—przerwał nagle Kuku Piotr—jeżeli sądzisz, że mi dodasz odwagi tem, co mówisz, to bardzo się mylisz; nie taję, że, zamiast być przerzniętym na dwoje, wołałbym napowrót wziąć skrzypce i grać przez całe życie.

— Nol nol nie obawiaj się—odrzekł Mateusz—dziś prorocy nie są męczeni, lecz owsem płacą im grubo, byleby podtrzymać lub nawrócić choć jedną duszę.

— A ponieważ my—zawołał uradowany skrzypek—będziemy nawracać tysiące dusz, to nam powinni dać tysiąc razy większą pensję!

Rozmawiając w ten sposób, głęboki myśliciel i jego uczeń przybywali spokojnie dolinę Zorny.

Mateusz, który lubił wewnątrz lasu, wkrótce zapomniał o niewdzięczności rodzaju ludzkiego. Zaledwie słyszany szmer robaka, gryzącego korę starego drzewa, ptak, przelatujący z gałęzi na gałąź, strumyk, szmerzący po kamykach, chmurka efemerycznych owadów, tańczących nad stojącą wodą, tysiące oznak samotności, wszystko to dostarczało głębokiemu myślicielowi wątku do marzeń antropo-zoologicznych.

Kuku Piotr gwizdał sobie dla rozrywki i od czasu do czasu zaglądał do flaszki z wiśniówką. Brunon często wchodził w łóżysko Zorny aż po piersi dla ochłodzenia się, wtedy mistrz i uczeń przysuwali się bliżej do siebie i podnosili nogi, patrząc na wodę, pieniącą się pod nimi.

Upał wzmagał się, najmniejszy wiaterek nie ochładzał powietrza. Kuka Piotr, zmęczony jazdą, zsiadł z konia, lecz gdy uszedł kawalek, pot oblał go, a Mateusz, który prawie nie spał w nocy, kiwał się na koniu i mruczał:—„Wielki wielki Demi... urgosi!”—nie wiedząc zapewne, co mówi.

Tak przybyli do miejsca, w którym rzeczka płynęła po kamienistym dnie. Brunon, zaledwie wszedł-



szy w wodę, spuścił nagle łeb, by się napić, a doktor, nie spodziewając się tego ruchu konia, już miał zlecieć, gdy, idący z tyłu, Kuku Piotr schwycił go w sam czas za poły surduta i przywrócił równowagę, lecz zaraz wybuchnął tak głośnym śmiechem, że się aż las cały zatrzęsł.

— Kuku Piotrze! Kuku Piotrze! — zawołał obrażony filozof — nie wstydzisz się śmiać, gdy ja ledwo nie upadłem? Czy w taki sposób objawia się twoje przywiązanie do mnie?

— Eh? mistrzu! śmieję się dlatego, że ci się nic nie stało. Gdybym cię nie był zatrzymał, byłbyś się wsunął w wodę, jak żaba.

— Dzień ten jest dniem opłakany — zaczął znów Mateusz — przewiduję wielkie nieszczęścia, jeżeli dalej pojedziemy!

— Tem bardziej, że się panu chce spać, i możesz drugi raz spaść z konia — odpowiedział Kuku Piotr. — Połóż się, mistrzu, na mchu i prześpij się, a opłakany dzień zamieni się na lepszy; ja tymczasem wykąpię się, a jestem pewny, że i Brunon nie będzie przeciwny odpoczynkowi.

Ta rada trafiła do przekonania filozofa.

— Przyjmuję tę miłą propozycję — odrzekł — dalej, kochany uczniu, podaj mi rękę, gdyż jestem bardzo strudzony. Zdejm uzdeczkę koniowi i wykąp się, mój chłopcze, to cię orzeźwi i wzmocni.

Tak gwarząc, mistrz rozciągnął się u stóp dębu. Rzeczywiście potrzebował wypoczynku.

Żaby skrzeczały dokoła, od czasu do czasu większa jaka fala rozbijała się z szumem o kamień, wtedy doktor otwierał oczy i spoglądał na Kuku Piotra. C

Szum drzew i szmer wody usposabiał mędrca do jakiegoś marzenia, przez gałęzie widział niebo i szare wierzchołki gór... powoli myśli mu się poczęły

mieszać, jednakowe dźwięki uderzać w ucho, a ta ich jednostajność równa była głębokiej ciszy. Wkrótce poczwierc nie był w stanie odróżnić krzyku żab od szumu drzew, a jego oddech, spokojny i regularny, oznaczał smaczny sen. Być może, iż wtedy jego umysł, oswobodzony z więzów ziemskich, przeskakując wiek za wiekiem, błędził pod postacią zającą po lasach Galji, a może też marzył o cichym domku swych ojców w Graufthalu i o starej, płaczącej za nim, Marcie.

## IX

Głęboki filozof spał spokojnie od dwóch godzin, gdy Kuku Piotr zawołał:

— Mistrzu! powstań! Oto pielgrzymi z Haslach zstępują z góry, a są tak liczni, jak piasek na brzegu morza. Wstań, mistrzu, i patrz!

Mateusz podniósł się i najprzód ujrzał swego ucznia, siedzącego na dzikiej wiśni i wesoło zjadającego kwaśne owoce, następnie zwrócił wzrok ku sąsiednim góróm.

Przez jodły widać było długi sznur pielgrzymów. Jedni szli boso, niosąc buty na końcu kijów, inni byli obciążeni kobiałkami z żywnością.

Jakaś stara kobieta szła na czele, pośród ogólnego milczenia odmawiając litanję, a wszyscy odpowiadali:— „Módl się za nami!” Ta głośnie modlitwa, odbijając się echem o góry i lasy, przypominała krzyk żorawi, przeciągających pod obłokami.

Doktor patrzył w milczeniu na ten obraz, a tymczasem Kuku Piotr z wysokości drzewa, w miarę jak pielgrzymi przechodzili przez szczyt góry, wymieniał wsie, z których pochodzą.

— Ci są z Walschl — poznają ich po słomianych kapeluszach, krótkich spencerkach i długich spod-



niach, dochodzących aż do pach. Hol to weseli towarzyszeli... odbywają pielgrzymkę dlatego jedynie, by się napić alzackiego wina. Ci, co idą za nimi, w krótkich spodniach a długich surdutach z wielkimi guzami, świecącymi na słońcu, są z Dagsburga—najnabożniejszej i najbiedniejszej okolicy w górach, ci idą rzeczywiście dla ucałowania kości świętego Florjana. Ci znów są z Saint-Quirin, w krótkich bluzach i w czapkach na ucho. Zawsze gotowi do użycia pięści. Szczególnie lubią kłótnie i bójki z Niemcami. Z nimi nie radziłbym ci, mistrzu, dysputować o przechodzeniu dusz. Patrz pan na tych, co zakręcają teraz przy Roche Plate, nazywają ich grubymi Maćkami z gór, ci odbywają pielgrzymkę dla pokazania swego ładnego ubrania. Patrz pan, jak starannie poobwijali kapelusze chustkami, jak powkładali spodnie w cholewy od butów, a idą z nosami w górę zadartemi, to mieszkańcy wsi Aberschwiller. Lecz skąd, u diabła, wzięli się ci, co idą za nimi niepewnym krokiem? Al poznaję to nie górale, to nie z Lotaryngji..., poznaję ich po torbach, napelnionych orzechami i słoniną. Och! jakże wyglądają zmęczeni! Biedne kobiety! żałuję ich z całego serca! Wszystkie prawie kobiety z dolin są świeże, jak róże, gdy tymczasem góralki mają cerę śniadą, jak dojrzałe jarzyny.

Prorok znalazł coś do powiedzenia o mieszkańcach każdej wsi, a Mateusz tymczasem utonął w głębokiem rozmyślaniu.

Nareszcie minęła prawie godzina, gdy idący na końcu procesji zakręcili koło Roche-Plate. Kilka grup podążało jeszcze w pewnem oddaleniu—byli to chorzy i kaleki na wózkach. Zkolei i ci zniknęli za górą i wróciła znów zwykła cisza.

Wtedy mistrz, patrząc poważnie na ucznia, rzekł:  
— Jedźmy do Haslach, tam przywołuje nas Istność

Istności! Oh! Kuku Piotrze, czyż ci serce nie mówi, że wielki Demiurgoś, przed naszym zwycięstwem, chciał pokazać nam na tej pustyni obraz niezmiernej różnicy ras ludzkich? Czy ty pojmujesz, mój przyjacielu, wielkość naszego posłannictwa?

— Tak, ojciec Franciszku, pojmuję bardzo dobrze. Trzeba jechać zjedź pan tylko te oto wiśnie i dalej w drogę!

Jakkolwiek Mateusz nie widział w tych wyrazach całego skupienia ducha, jakiego wymagał od swego ucznia, wziął jednak kapelusz, postawił go na kolanach i jadł wiśnie z apetytem, następnie Kuku Piotr przyprowadził Brunona, który gryzł trawę niedaleko. Mistrz wsiadł na konia, uczeń wziął za cugle i puścili się pod górę po piaszczystej ścieżce, prowadzącej do Roche-Plate.

Słońce zapadało za Losser, a złote jego promienie przedzierały się przez wysokie jodły. Kilka razy Mateusz odwracał się dla napojenia się tym cudnym widokiem, lecz gdy wjechali w las, zrobiło się ciemno, a kroki Brunona rozlegały się pod rozłożystymi dębami, jak w świątyni.

W godzinę wszedł księżyc, a nasi podróżni spostrzegli o kilkadziesiąt kroków niżej grupę pielgrzymów, dążących na odpust. Kuku Piotr poznał od razu Jana Aden, mera z Dabo, jego ośła Schimela i żonę Teresę, siedzącą na ośle, lecz prorok zdziwił się bardzo, ujrawszy puciołowate, starannie ubrane, dziecko na ręku Teresy, bo, odkąd znał Jana Aden, ten nigdy nie miał dziecka. Pielgrzymi wyglądali, jak starożytna rodzina patriarchów. Teresa, z zarzuconą chustką na głowie, patrzyła z niewysłowioną czułością na malca, osiół kroczył pewną nogą, podnosząc swoje wielkie uszy przy najmniejszym szmerze, a wysoki Jan Aden, w długiej za kolana kapocie, w trójkątnym kape-



luszu, z rękami, wsadzonemi w tyne kieszenie, siedł poważnie, wołając od czasu do czasu:

— Nul Schimell nul

Kuku Piotr, nie czekając na Mateusza, zaczął się spuszczać nadół, krzycząc:

— Dzieńdobry, panie Janie Aden! dzieńdobry! gdzież to tak późno idziecie?

Jan Aden odwrócił się powoli, a jego żona podniosła oczy, chcąc zobaczyć kto ich woła w ten sposób.

— To ty, Kuku Piotrze—rzekł Jan Aden, wyciągając rękę—dzieńdobry, mój chłopcze. Idziemy na odpust.

— Na odpust? to dobrze, żeśmy się spotkali—zawołał wesoło Kuku Piotr—my także tam idziemy. Dobra sposobność do odnowienia znajomości. Ale z jakiegoż powodu odbywacie pielgrzymkę, panie Aden? czy macie kogo chorego w waszej rodzinie?

— Niel niel—odpowiedział mer z Dabo—dzięki Bogu wszyscy u mnie są zdrowi; idziemy podziękować świętemu Florjanowi, że uprosił dla nas dziecko. Wiesz, że żyjemy z żoną już pięć lat i dotąd nie obdarzył nas Bóg tem szczęściem. Lecz raz moja żona powiedziała mi: — „Słuchaj, Janie Aden, trzeba odbyć pielgrzymkę, wszystkie kobiety, chodzące na odpusty, mają dzieci!” Mnie się zdawało, że to do niczego nie doprowadzi... — „Bał—odpowiedziałem—naco się to zdało, Tereso? a przytem ja nie mogę opuszczać domu; teraz są żniwa, nie można je zaniedbywać”. — „No, to pójdę sama—odpowiedziała—jesteś niedowiarek, Janie Aden, oj, źle skończył” — „No, to idź sama, Tereso, zobaczymy, kto ma słuszność”. Poszła i... wyobraź sobie, Kuku Piotrze, akurat w dziesięć miesięcy po odbyciu pielgrzymki urodziło się dziecko, duże i tłuste, najpiękniejszy chłopiec

w całej okolicy! Odtąd wszystkie kobiety z Dabe myślały tylko o odpustach.

Kuku Piotr słuchał tego opowiadania ze szczególną uwagą; nagle podniósł głowę, jakby z głębokiego zamyślenia, i zapytał:

— Jak dawno pani Teresa odbywała pielgrzymkę?

— Jest temu równo dwa lata—odpowiedział Jan Aden.

— Dwa lata!—zawołał Kuku Piotr, błędąc i opierając się o drzewo—dwa lata!.. Boże mój! Boże!

— Co ci jest?—zawołał Jan Aden.

— Nic, panie merze... nic... jakiś ból w nogach, którego zawsze dostaję, gdy idę po długim siedzeniu.

Jednocześnie spojrzał na ładną Teresę, która spuściła oczy i zarumieniła się, jak wiśnia. Wydawała się strwożoną, ale dla ukrycia pomieszania, brała właśnie dziecko, by mu dać piersi, gdy Kuku Piotr przystąpił do niej, mówiąc:

— Ach! panie Janie Aden, jakiś ty szczęśliwy! Wszystko ci się udaje! Jesteś pierwszym panem w górach, masz rolę, łaki, a teraz święty Florjan dał ci śliczne dziecko! Ale muszę je zobaczyć—dodał, kłaniając się Teresie—lubię bardzo dzieci!

— Nie żenuj się, Kuku Piotrze—zachęcał mer, rozpromieniony dumą i radością—możesz go oglądać ile chcesz... nie zawstydzimy się...

— Masz go, panie Kuku Piotrze—rzekła Teresa przytłumionym głosem—pocałuj! Wszak ładny, nieprawdaż?

— Czy ładny?—zawołał Kuku Piotr, a dwie łzy stoczyły mu się po policzkach—czy ładny? Boże mój! co za pieść! co za piersi! jaką wesołą twarzyczką!

Podniósł dziecko i spoglądał na nie szeroko rozwartymi oczami; zdawało się, że nie może nasycić się jego widokiem. Matka uśmiechała się, skrycie ocierając łzy. Wreszcie skrzypek położył dziecko i poprawił poduszkę, mówiąc:



— Widzicie, pani Tereso, trzeba uważać, żeby dziecko miało wysoko pod główką.

Zapiął poduszkę, uśmiechając się do młodej matki, gdy tymczasem Jan Aden uciął gałązkę brzeziny.

Mateusz, który wolno jechał po pochyłości góry, połączył się teraz ze swym uczniem.

— Dzieńdobry, pocziwi ludzie!—zawołał doktor, unosząc szerokiego kapelusza—niech wam Bóg błogosławi!

— Amen!—odpowiedział mer.

Teresa pochyliła głowę i zdawała się być pogrążona w miłym marzeniu. Tak szli przez kwadrans, milcząc. Kuku Piotr, ciągle przy osle, patrzył na dziecko z nieudaną przyjemnością, a mistrz Franciszek, myśląc o mających nadejść wypadkach, skupiał się w sobie.

— Panie Kuku Piotrze—zapytała nareszcie nieśmiało wieśniaczka—zawsze obiegasz kraj, jak niegdyś? Nie osiadłeś nigdzie stale?

— Zawsze, pani Tereso, ciągle jestem w drodze, i zawsze zadowolony ze swego losu! Żyję, jak zięba, dla której dość gałązki, by przebyć noc, i która na dzień odlatuje tam, gdzie się spodziewa żer znaleźć.

— To źle, panie Kuku Piotrze, trzebaby coś zaoszczędzić na stare lata, żał pomyśleć, żeby taki dzielny, taki poczcjwy człowiek wpadł kiedyś w nędzę!

— Cóż robić, pani Tereso! Trzeba codziennie żyć, a ja tylko skrzypcami zarabiam! Teraz dopiero jestem czemś więcej, niż się wydaję... jestem prorokiem! sławny doktor Mateusz może to potwierdzić; odkryliśmy przechodzenie dusz i właśnie idziemy nauczyć świat.

Te wyrazy wyrwały mistrza Franciszka z zadumy.

— Kuku Piotr prawdę mówi—odrzekł—godzina się zbliża, przeznaczenie spełni się! Wtedy ci, którzy pracowali w winnicy i zasiewali dobre ziarno, będą wielbieni! Wielkie zmiany zajdą na ziemi, słowa prawdy

przejdą z ust do ust i imię Kuku Piotra zajaśnieje między wielkimi prorokami! Czulość, jaką ten drogi mój uczeń okazał dla dziecka, dla wieku słabego, słodycz i rokosz jego naiwna, dowodzą pięknej duszy i bez wahania przepowiadam mu wielką przyszłość!

Teresa patrzała na Kuku Piotra, który skromnie zwiesił głowę, widocznie kontenta była z pochwał, oddawanych skrzypkowi.

W tej chwili wyszli z lasu i miasteczko Haslach, ze swemi dużemi śpiczastemi dachami, pokreconemi ulicami i starożytnym kościołem, przedstawiło się ich oczom. Wszystkie domy błyszczały światłem.

Podróżni schodzili z góry w milczeniu.

## X

Okolo dziewiątej wieczorem, uczony filozof w gronie nowych towarzyszków wszedł do starożytnego miasteczka Haslach.

Ulice tak były zapelnione ludźmi, wozami i bydłem, że zaledwie można było przycisnąć się.

Stare domy z poodrapywanym tynkiem sterczały nad tłumem, rzucając światło przez swe małe okienka. Pielgrzymi, przybyli z Alzacji, Lotaryngji i gór, cisnęli się koło oberży i zajazdów, przepelnionych; niektórzy pokladli się pod ścianami, inni szukali schronienia na strychach i poddaszach.

Turkot wozów, ryk wołów, rzenie koni i wołania Lotaryngczyków i Niemców sprawiały hałas nieznośny. Co za wyborny przedmiot do rozmyślań dla Mateusza!

Dla Jana Adena i Teresy było prawdziwem szczęściem, że się spotkali z Kuku Piotrem, bo jakżeby sobie dali radę bez niego!

Wesoły i ruchliwy skrzypek rozsuwał tłum, krzyczał „naboki!”, zatrzymując się w miejscach ciasniej-



szych, ciągnął Schimela za udeę, wołał na Mateusza, żeby się pilnował, popędzał Brunona, pukał do drzwi oberży, szukając noclegu, lecz, chociaż mówił o pięknej Teresie, o panu merze, o sławnym filozofie, wszędzie mu odpowiadano:

— Idźcie dalej, dobrzy ludzie, niech was Bóg prowadzi, tu niema miejscal

Skrzypek nie tracił odwagi i krzyczał wesoło:

— Dalej w drogę! Pozwólcie mi działać, pani Tereso, musimy znaleźć jakiś kącik! hel hel mistrzu Franciszku, jak wam się to wydaje? Jutro rozpoczniemy naukę. Panie Janie Aden, ostrożnie przy wozie. No! Schimel! Brunon!

Wszyscy byli, jak ogłuszeni.

Mateusz, widząc, że mieszkańcy Haslach sprzedawali siano, słomę i inne rzeczy biednym, upadającym ze znużenia, pielgrzymom, uczuł wielki ból w duszy.

— Och! serca twarde i małej wiary!—zawołał—nie wiecie, że ta chciwość zysku, zniża was na drabinie jestestw!

Na nieszczęście nikt go nie słuchał, a niektórzy śmieli się tylko z jego prostoty.

— W imię nieba, mistrzu Franciszku—perswadował mu Kuku Piotr—nie rób pan uwag antropo-zologicznych tym niegodnym ludziom, bo gotowi nam nie dać noclegu i narazisz nas, pan, na spanie pod gołym niebem, a może i na co gorszego!

Teresa ścisnęła przez wdzięczność rękę proroka, co jej sprawiało wielką przyjemność.

Pomimo oburzenia, filozof podziwiał przemysł mieszkańców: tu gruby i tłusty rzeźnik, stojąc pomiędzy dwiema świecami, dzielił kawał mięsa świeżego i wyglądającego tak smacznie, że aż ślina szła do ust, a ładne służące z koszyczkami na ręku, z żywymi oczami i zadartymi noskami, wydawały się je-

szcze świeższe i pulchniejsze od kotletów, zawieszonych w jatce; tu znów kowal, z zasmoloną twarzą i zawiniętymi rękawami, pracował gorliwie ze swoją czeladzią w kuźni, młoty biły, miech sapał, iskry syły się na wszystkie strony, wylatując z kuźni aż pod nogi przechodniów; dalej nieco krawiec Konrad śpieszył się z wykończeniem szkarłatnej kamizelki na odpust dla pana adjunkta, a jego szpak w drewnianej klatce wyśpiewywał arję; okazałe pieczywo różnych kształtów patrzyło przez szyby sklepu piekarskiego, a pan aptekarz na ten uroczysty dzień wystawił w oknach dwa duże słoje, z których jeden napełnił wodą czerwoną a drugi niebieską, za słojami zaś umieścił lampy, co sprawiało wspaniały efekt.

— Jakże świat jest wielki!—mówił do siebie Mateusz—codzień cywilizacja robi nowe postępy! Coby powiedziała moja poczciwa Marta, gdyby to ujrzała? Nie wierzyłaby swoim oczom, nie śmiałaby przewidywać mego zwycięstwa nad tym tłumem tak wielkim. Lecz prawda błyszczy wszędzie światłem odwiecznym, ona zwycięża zazdrość i przesady!

Nasza mała karawana, odprawiana z niczem, będąc z ulicy na ulicę, stanęła przed starą oberżą Jakóba Fisзера i Kuku Piotr krzyknął z radości.

Latarnia, kołysząca się nad drzwiami, oświetlała cały front domu, od szyldu z *trzema różami* aż do małej uliczki, na której zatrzymywali się pijacy z głową, opartą o mur, bełkocząc niezrozumiałe wyrazy.

— Mistrzu Franciszku—zapytał Kuku Piotr—czy lubisz placek z serem?

— Dlaczego mnie o to pytasz?—odparł doktor, zdziwiony.

— Bo matka Jakóbową od trzech dni przygotowuje placeki z serem, nie myśląc o niczem więcej... to jest dla niej wszystkiem, gdy nadchodzi odpust, a ojciec Jakób, ściągnawszy wino w butelki, pali faj-



ke, sledząc pod plecem, gdy jego żona krzyczy... pozwala jej krzyczeć ile tylko zechce, wiedząc, że niema s osobu na ucieszenie jej. No! otóż jesteśmy... Co za masa narodu! Pani Tereso! możecie zsiąść, panie Janie Aden, potrzyмай cugle, pójdę poprosić ojca Jakoba, by nas przyjął.

Stali przed oberżą, tłum kręcił się dokoła nich, pijący wchodzili i schodzili ze schodów, zataczając się, szklanki stukwały, butelki bulgotały, rozlegały się wołania o piwo, kapustę, kielbaski, służące uwijały się, matka Jakóbową przygotowywała naczynia, a ojciec Jakób stał przy kurku od beczki.

Kuku Piotr wszedł do oberży, przyrzekając rychło powrócić. Rzeczywiście w kilka chwil zjawił się z samym ojcem Jakóbem, człowiekiem tłustym, o wesołej twarzy i z rękawami, zawiniętymi po łokcie.

— Mój biedny chłopcze—mówił Jakób—chciałbym usłużyć wam, lecz wszystkie pokoje zajęte, pozostała tylko szopa i strych, zobaczcie, czy się to wam przyda na co.

Kuku Piotr spojrzał zrozpaczony na Teresę i rzucił okiem na ulicę, nabitą tłumem.

— Gdyby to o mnie chodziło, ojcie Jakóbie, przyjąłbym, co jest, bez wahania. Biedny skrzypek zawsze sypia na słomie! lecz spojrzycie na tę młodą matkę... na to biedno dziecko i tego pocziwego doktora Mateusza, śmietankę filozofów!... pomyślciemo, ojcie Jakóbie!... przecież trzeba wejść w położenie bliźnich!

— Cóż robić, Kuku Piotrze — odrzekł oberżysta z miną zakłopotaną — nie mogę przecież wypędzić gości, mogę dać tylko...

— Panie Kuku Piotrze, nie róbcie sobie tyle kłopotu z nami—odezwiała się Teresa—nie jesteśmy tak wymagający, jak wam się zdaje.

— Zgadza się, pani Tereso, na wozownię?

— A dlaczegożby nie?—odrzekła, śmiejąc się—nie-

jeden byłby szczęśliwy, gdyby choć takie pomieszczenie znalazł, nieprawdaż Janie Aden?

Kuku Piotr uradowany, nie czekał na odpowiedź mera i poszedł do ogrodu poszukać suchego drzewa, wołając:

— Dziękuję, ojcze Jakóbie!

— A ostrożnie z ogniem w wozowni! — przestrzegał oberżysta.

— Nie obawiajcie się niczego, ojcze Jakóbie! nic się złego nie stanie.

Noc była ciemna. Wkrótce jasny ogień ożywił i rozweselił wozownię! Ach! nie była ona wcale podobna do pokoju w Oberbronn, ozdobionego dwiema komodami i staroświeckiem łóżkiem, wysłanem piernatami, w których się tonęło po uszy. Czarne belki i krokwie wznosiły się piętrami aż do wierzchołka dachu. Zamiast lustra z Saint-Quivin, były małe drzwi, prowadzące do stajni, a z pod ścian odzywały się wieprzaki na dzieńdobry.

Mistrz Franciszek przypominał sobie z rozkoszą, że dawni prorocy mieszkali w podobnych miejscach.

— Cnota — mówił poważnie — przebywa pod strzechą. Cieszymy się, moi przyjaciele, że nie mieszkamy w pałacu!

— Bardzo słusznie — rzekł Kuku Piotr — lecz pomyślmy o noclegu, byśmy nie potrzebowali spać w błocie.

Wszyscy wzięli się do roboty. Jan Aden wlaź po drabinie do stodoły i zrzucił kilka pęków słomy, Mateusz rozkietnął Schimela i Brunona, a Teresa zajęła się dobywaniem zapasów z worka.

Kuku Piotr czuwał nad wszystkim, dał obrok wierzchowcom, rozesał słomę, rozwiesił rzeczy na drabinach, spróbował wina i zwracał ciągle uwagę na dziecko, śpiące w koszyku.

W krótkim czasie wszystko było gotowe i zasiadli na słomie do wieczerzy.



Podobne sceny odbywały się w całym mieście; każda kompanja pielgrzymów miała swoje gniazdo.

Po wrzasku nastąpiła głęboka cisza; pocziwi pielgrzymi, znużeni, rozmawiali z sobą, jak w kółku rodzinnem. Kuku Piotr, Jan Aden, Teresa i Mateusz zdawało się, że się znali od dawnych lat. Gdy zasiedli około ognia i gdy butelka zaczęła krążyć, czuli się, jakby u siebie w domu.

— Wyborne wino alzackie—mówił Kuku Piotr— z której to okolicy, panie Aden?

— Z Ekersthal.

— Znakomita okolica! Podaj mi, pan, kawałek szynki.

— Oto jest, panie Kuku Piotrze.

— Wasze zdrowie, mistrzu!

— Wasze zdrowie, moje dzieci! Co za śliczna noc! Jakże spokojne i ciepłe powietrze! Wielki Demiurgos przewidział, że jego dzieci nie będą miały gdzie schronić głowy. O wielki duchu! Istota istot, przyjmij moje dzięki, pochodzące ze szczerego serca! Nie tylko za nas samych powinniśmy dziękować, moi przyjaciele, lecz i za cały ten tłum, przybyły zdaleka w pocziwym celu złożenia hołdu Bogu!

— Panie Janie Aden, czemu nie siadacie, oto wiązka słomy.

— Dobrze mi tak, Kuku Piotrze.

Koszyk z dzieckiem stał pod murem; skrzypek co chwila zaglądał, czy malec dobrze śpi.

Schimel i Brunon jedli spokojnie obrok.

Około jedenastej Mateusz prosił o pozwolenie położenia się. Wysoki Jan Aden już oddawna spał, rozciągnąwszy się pod ścianą. Teresie i Kuku Piotrowi jeszcze się nie chciało spać, rozmawiali pocichu.

Doktor, zasypiając, słyszał rozlegające się wołanie w ciszy nocnej:— „Już jedenasta na zegarzel” i kroki, oddalające się ulicą. Otworzył oczy do połowy i uj-

rzał cień od uszów Schimela, poruszający się na murze, jak skrzydła motyla.

Służące oberży „Pod trzema różami” zamknęły drzwi, chichocząc jeszcze w sieni—były to ostatnie głosy tego dnia.

## XI

Dzień ozłocił już belki wozowni, gdy Franciszka Mateusza przebudził rozlegający się śmiech i głos Kuku Piotra.

— Chał chał chał patrzcie, pani Tereso... co za urwis mały!... co za figlarz!... chał chał chał powiadam wam, że to będzie urwis!...

Doktor, zwróciwszy oczy w stronę, z której pochodziły te radosne wykrzyki, ujrzał swego ucznia, stojącego z dzieckiem przy kracie, otaczającej oberżę, na której były rozpięte brzoskwinie. Kuku Piotr trzymał jedną z brzoskwiń i pokazywał ją małemu; dziecko wyciągało rączki, chcąc ją uchwycić, a skrzypek przybliżał i oddalał owoc, śmiejąc się do łez.

Teresa patrzyła na dziecko z miłym uśmiechem. Wydawała się szczęśliwą, a jednak jakaś chmurka melancholijna błędziła po jej czole. Jan Aden, oparty o kratę, palił fajkę, patrząc obojętnie dokoła.

Rzadko można zobaczyć coś więcej zachwycającego nad tę ranną scenę. Było w niej tyle szczerego uniesienia, tyle przytem wesołości i naiwnej czułości w rysach Kuku Piotra, że doktor, patrząc na to, mówił sobie:—„Co za pocziwa twarz! bawi się, jak dziecko! jaki szczęśliwy! jak się śmieje serdecznie! jest to bezwątpienia najlepszy człowiek na świecie, jakiego znałem! Co za szkoda, że rozkosze zmysłowe i miłość dobrego jada wyprowadzają go często z granic przyzwyczajenia!”

Mówiąc to, filozof wstał i otrząsnął słomę z ubra-



nią. Potem zbliżył się do towarzyszy i, zdjawszy kapelusz z głowy, powitał ich uprzejmie.

Teresa odpowiedziała skinieniem głowy tylko, bo była jakaś rozmarzona, lecz Kuku Piotr zawołał:

— Mistrzu! spojrzij na to dziecko... Ach Boże! jak ono nas bawi... powiedz nam do jakiej rasy należy?

— To dziecko jest z rasy gilów—odrzekł Mateusz bez namysłu.

— Z rasy gilów?!—powtórzył Kuku Piotr zdziwiony—to nie bardzo pochlebne, lecz... zdaje mi się, że musi mieć ważne powody antropo-zoologiczne, kiedy się urodziło z cechami tej rasy.

Jan Aden skończył fajkę, schował ją do kieszeni i powiedział:

— Śpiesz się, Tereso! trzeba iść na targ, nim się zbierze dużo ludzi.

— Czy pan pójdziesz z nami, mistrzu Franciszku? —zapytał Kuku Piotr.

— Pójdę; gdzie jest Brunon?

— W stodole, ale niema potrzeby brać go. Pani Teresa chce zrobić dużo sprawunków i dlatego bierzemy Schimela z sobą, gdyby nie to i on zostałby tutaj.

To było dostatecznem dla Mateusza i wyszli na rynek.

Całe miasteczko było przepelnione ludźmi. Z rozkazu mera usunięto wozy i bydło, zawieszono girlandy w oknach, ulice wysypano kwiatami i liśćmi, a na placu wzniesiono ołtarz, lecz naszemu filozofowi najwięcej przypadł do smaku zapach świeżych kwiatów i girlandy, powiewające za każdym podmuchem wiatru.

Zachwycił się także młodemi wieśniaczkami, w kapeluszach i gorsecikach, naszytych świecidełkami i ko bietami, ubierającemi ołtarz, w strojach staroświeckich z ciężkiej materji żółtej lub fioletowej i w czepkach ze złotogłowiu.

— Mistrzu Franciszku—mówił Kuku Piotr—dawniej były lepsze wyroby, jak dziś, pamiętam, że moja babka miała suknię po swojej babce, i suknia ta była ciągle nowa; dziś w cztery lub pięć lat wszystko się starzeje.

— Wyjawszy prawdę, mój przyjacielu! prawda zawsze jest młoda. To, co powiedział Pitagoras dwa tysiące lat temu, jest i dziś tak prawdziwe, jakby było powiedziane wczoraj.

— To tak, jak stare skrzypce—odrzekł Kuku Piotr—im więcej się na nich gra, tem mają głos przyjemniejszy, póki nie popękają.

Tak rozmawiając, przybyli na rynek. Ścisk był już wielki, pomieszane głosy świstawek, fujarek, trąbek dzieciennych, raziły uszy. W pootwieranych barakach wystawiono na widok drewniane pałasze, lalki, lusterka i t. p. Ciągle rozlegały się głosy kupców.

Kuku Piotr, chcąc zrobić jaki prezent Teresie, szukał ciągle po swoich próżnych kieszeniach i prze-myślał, jakimby sposobem dostać pieniędzy. Przyszła mu myśl pobiec do oberży i sprzedać pierwsze-mu lepszemu żydowi uzdeczkę i siodło Brunona, lecz, spojrzawszy na Jana Aden, idącego ztyłu, zmienił zamiar.

— Mistrzu Franciszku—powiedział—weź na chwilę cugle Schimela, ja wrócę w tej chwili.

I pobiegł do Jana Aden.

— Panie merze, zapomniałem wziąć swoją sakiewkę, bo ja i mój mistrz mamy nasze pieniądze w siodle Brunona. Pożycz mi dziesięć franków, oddam je panu, jak powrócimy.

— Z przyjemnością—odrzekł Jan Aden, krzywiąc się — z przyjemnością.

I dał dziesięć franków.

Kuku Piotr, dumny jak kogut, wziął Teresę za rękę i zaprowadził przed najokazalszy stragan.



— Pani Tereso — powiedział — wybierzcie, co się wam podoba. Chcecie ten szal, tę wstążkę albo tę chusteczkę? chcecie cały sklepik?... nie żenujcie się.

Lecz Teresa wybrała tylko skromną wstążkę różową, a skrzypek zmuszał ją do przyjęcia najpiękniejszego szala.

— O! panie Kuku Piotrzel zostaw mi tę wstążkę!

— Weź pani wstążkę i szall! Weź pani to dla mojej miłości — dodał pocichu — gdybyś wiedziała ile mi to zrobi przyjemności.

Kupił także dla dziecka pieska z cukru, połączonych orzechów, bębenek i nie przestał kupować, dopóki nie wydał całych dziesięciu franków do ostatniego centyma. Minę miał napuszoną, a Jan Aden cieszył się, widząc, że Kuku Piotr robi grzeczności jego żonie.

Widok tłumu egzaltował w dziwny sposób naszego filozofa, chciał zaraz rozpocząć nauczanie i wołał co chwila:

— Kuku Piotrzel zdaje mi się, że czas rozpocząć dzieło. Patrz, co tu ludzi!... jaka wyborna sposobność do głoszenia doktryn!

— Nie rób tego, mistrzu — odpowiadał prorok — strzeż się! oto żandarm przechodzi, natychmiastby cię aresztował, bo tylko szarlatanom wolno nauczać na publicznych placach.

W ten sposób trzy razy obeszli wkoło rynek. Teresa kupiła wszystko, czego potrzebowała do gospodarstwa: szciotkę do szorowania, kilka łyżek cynowych, warząchew i tem podobne rzeczy. Jan Aden kupił kosę, wydającą czysty i przeciągły dźwięk, saboty i zgrzeblo.

Koło dziesiątej godziny, koszyk Schimela był napełniony, tłum zwiększał się i wznosiły się tumany kurzu, zdala dolatywały dźwięki walca.

Gdy wracali do oberży, wypadło przechodzić koło

*Madame Hütte*, a uszy ich uderzyła tak wesola i raźna muzyka, że nawet Jan Aden zatrzymał się, by jej trochę posłuchać.

Chorągiew powlewała na baraku, dziewczęta i chłopcy cisnęli się do drzwi, mieszkanki Kokesbergu ze wstążkami, wplecionymi w warkocze, w morowych chustkach, zarzuconych na ramiona, w czerwonych spódnickach i trzewikach na wysokich obcasach, górale w kapeluszach o szerokich skrzydłach, ozdobionych dębowymi liśćmi, alzatczycy w trójgraniastych kapeluszach, krótkich surducikach, spodniach i czerwonych kamizelach, wszystko to tworzyło piękny widok i pociągało ku sobie.

Teresa miała wielką chęć tańczyć, ręka jej drżała w rękę Kuku Piotra, który czule na nią spoglądał i namawiał:

— Teresol wykręcmyno jednego walca!

— Chciałabym bardzo, ale dziecko..., boję się je opuścić... a przytem... coby powiedział Jan Aden?

— El co tam na to zważać, pani Teresol jeden walc to nie długo... o dziecko niema się co obawiać, śpi tak dobrze!

— Nie, panie Kuku Piotrze, nie śmiem!... Jan Aden krzywiłby się...

Tak sprzeciali się, spoglądając jedno na drugie i Teresa możeby poszła tańczyć, gdy rozległ się głos dzwonka kościelnego.

— Teresol—zawołał Jan Aden—trzeci raz dzwonią, wracajmy do oberży, bo się spóźnimy na nabożeństwo.

— To się nanic nie zdało, panie merze — odezwał się Kuku Piotr — możecie stąd zaraz iść do kościoła, ja odprowadzę Schimela do stajni i będziemy czekać na was z obiadem, bo zrobicie mi tę przyjemność i przyjmiecie obiad, panie merze i pani Tereso?

Jan Aden znajdował Kuku Piotra bardzo uprzej-



mym, a Teresa, wyjąwszy z kosza piękny szal, świeżo nabyty, zarzuciła go na ramiona, uśmiechając się wdzięcznie do skrzypka, który czuł, że mu łyzy nabiegają do oczów, następnie wzięła dziecko, bo nie chciała się z nim rozłączać, tem bardziej, że błogosławieństwo świętego Florjana nie mogło mu zaszkodzić. Uszykowawszy się w ten sposób, rozłączono się na placu kościelnym.

Kuku Piotr, by uniknąć spotkania z wiernymi, idącymi ulicą Tonnelet-Rouge, udał się dołem. Mateusz szedł za nim powoli, podnosząc błędny wzrok po górze. Dźwięk dzwonów, drżenie powietrza, słońce, roztaczające promienie na tłum pobożny, wszystko to wprawiało w zadumę naszego myśliciela, a nadzieja rychłego rozpoczęcia wykładu swych zasad usposobiła go do widzenia wszystkiego różowo.

Szli wzdłuż ogrodów, leżących na pochyłości góry, od czasu do czasu słyszeli wystrzał i widzieli kłęby dymu, rozchodzące się w powietrzu; wrzawę tłumu coraz mniej było słychać, a świeża zieloność zajęła miejsce kurzu ulicznego.

Na zakręcie, przy studni, w miejscu, gdzie stało bydło, ujrzeli strzelców, strażników leśnych w zielonych kurtkach i znaczną liczbę wieśniaków, kłócących się o barana.

Tarcza umieszczona była na drugim końcu doliny, pod wielkim dębem. Strzelający stali za płotami ogrodów, gdzie próbowali swej broni, to przykładali się do niej, to podnosili głowy. Jedni robili zakłady, drudzy nachylali się, jakby grając w kregle, a każdemu zdawało się, że jest zręczniejszy od poprzednika, który chybił.

Franciszek Mateusz, drżący przy każdym wystrzale, przyspieszał kroku, by się prędzej dostać na ulicę. Wszyscy mieszkańcy Haslach byli w kościele, na ulicach zatem i w domach panowała uroczysta cisza.

Po ostatnim dzwonku strzelanie zawieszono, a w oddaleniu rozległ się głos organów.

Mistrz i jego uczeń wyszli na ulicę Tonnelet-Rouge, wprost oberży „Pod trzema różami”.

## XII

Gdy Kuku Piotr zajął się umieszczeniem w stajni Schimela, Mateusz, strudzony przechadzką po rynku, wszedł do oberży „Pod trzema różami”. Nasz filozof był bardzo zdziwiony widokiem, jaki uderzył jego oczy: od jednego końca sali do drugiego zastawiony był stół, nakryty białym obrusem. Przeszło czterdzieści osób mogło się tu pomieścić, a dla każdej osoby była świeża serweta, złożona w kształcie czółna lub biskupiej infuły, i butelka wina alzackiego; w pewnych odstępach stały kryształowe karafki, odbijające w sobie okna, niebo i inne przedmioty. Podłoga sali, czysto wymyta, posypana była drobnym piaskiem, świeże powietrze wchodziło przez uchylone okna, a przez drzwi kuchenne dolatywał miły zapach pieczenia i słychać było szcęk talerzy, skrzyp różna i trzask ognia w kominie, słowem wszystko oznajmiało wspaniałą ucztę i to za czterdzieści sous od osoby. Można sobie wyobrazić z jakim apetytem doktor usiadł przy małym stoliku, oczekując godziny obiadowej.

Nikt nie przerywał ciszy, panującej na sali, bo wiadano dobrze, ile gości będzie dziś miała oberża „Pod trzema różami”, tak, że nie zwróconoby nawet uwagi na żądającego szklankę wina. Przez pewien czas nasz filozof rozkoszował się miłą a poważną ciszą, później wydobył z kieszeni notatki antropozoologii i zaczął szukać tekstu, odpowiedniego do okoliczności.

Matka Jakóbową, usłyszawszy, że ktoś wszedł,



wyjrzała z kuchni, a zobaczywszy poważnego człowieka, czytającego książkę, popatrzała na niego chwilę, później dała znak Marysi, żeby się zbliżyła i, wskazawszy na mędrca, wspartego łokciem na oknie i pogrążonego w głębokiem dumaniu, zapytała pocichu, czy nie uderzyło ją podobieństwo tego człowieka do proboszcza Zacharjasza, zmarłego pięć lat temu.

Marysia odpowiedziała głośno, że to on sam.

Mała Kasia przybiegła z brytwanną w rękę, by zobaczyć, co się dzieje i zaledwie powstrzymała krzyk, tak przestraszyła się, ujrawszy Mateusza. W kuchni zrobił się wielki rumor—każdy wścibiał nos do sali i mówił: „to on!” albo „to nie on!”

Nareszcie matka Jakóbową, przyjrawszy się uważnie, kazała Kasi wrócić do komina i, wsadziwszy włosy w czepek, weszła do sali.

Nasz myśliciel tak był zatopiony w medytacjach, że nic nie słyszał, co się koło niego działo i matka Jakóbową musiała aż zapytać czego sobie życzy, by zwrócić na siebie jego uwagę.

— Czego sobie życzę, dobra kobieto?—powiedział Mateusz zwolna—Tego, czego sobie życzę, nie możesz mi dać. Ten tylko, który na nas patrzy i rządzi nami z wysokości, Ten, którego niewzruszona wola jest prawem dla całego świata, może mi zesłać w tej uroczystej chwili natchnienie, którego pragnę i oczekuję... Zaprawdę powiadam wam..., wielkie rzeczy się przygotowują. Ci, którzy się czują winni przez słabość lub niewiadomość, niech się upokorzą, niech uznają swoje błędy, a otrzymają przebaczenie! Lecz sofiści, ludzie dumni i złej wiary, pozbawieni szlachetnych uczuć i sprawiedliwości, sofiści, mówię, i Istoty zmysłowe, pogrążające się coraz więcej w materjalizmie, w którym zatapiają nawet duszę nieśmiertelną, zasady moralności i obowiązki towarzyskie, niech zadrżą, albowiem stoją nad przepaścią!

Matka Jakóbową, która wyrzucała sobie, że od trzech lat nie była na procesji, myślała, że doktor czyta w jej sercu.

— Mój Boże!—zawołała przerażona—wyznaję moją winę! powinienam była iść na procesję, lecz nasza oberża nie może zostać bez dozoru, trzeba doglądać gospodarstwa, pilnować kuchni, żeby wszystko było na czas zrobione!

— Kuchni!...—zawołał zgorszony mędrzec—to dla kuchni zaniedbujesz wielką kwestję przemiany ciała i przechodzenia dusz? O moja kobietol! jesteś godną politowania! Dla kogóż więc zbieracie marne bogactwa za cenę waszych dusz nieśmiertelnych? dla waszych dzieci? wszak ich nie macie... dla siebie samych! nie-stety! życie trwa tylko chwilę i nie będziecie mieli czasu użyć ich! dla waszych spadkobierców? czyż należy rozbudzać w nich zamięłowanie znikomości ziemskich, z którego wyradza się chciwość, skąpstwo, obrzydliwe namiętności, dla zaspokożenia których często życzymy śmierci naszym bliźnim?

— Ten człowiek wie o wszystkim — pomyślała matka Jakóbową—wie, że nie mam dzieci, wie, że łotr, mój siostrzeniec, który służył w karabinierach, oczekuje tylko mojej śmierci, by zagarnąć mój majątek, wie, że od trzech lat nie byłam na procesji... to musi być jakiś prorok!

Tak rozumowała w prostocie ducha gospodyni, gdy tymczasem procesja rozpoczęła się; po ciszy nastąpił hałas, rozległy się śpiewy kościelne, na czele dziewice w bieli niosły relikwie świętego Florjana, później ukazał się krzyż, chorągwie rozwinięte, okoliczni proboszcze w pontyfikalnych ubiorach, śpiewacy w czerwonych komżach, a za nimi niezliczony tłum... Lecz, zamiast iść ulicą Tonnelet-Rouge, procesja zakręciła naokoło miasteczka, podług starego zwyczaju, wprowadzonego przez świę-



tego Florjana, i aleja nappełniła się odgłosem uroczystych modłów.

— Co za wspaniałe widoki!... rzeczywiście godny człowieka!— wołał Mateusz. Cudowne połączenie ludzi, skupiających swe myśli w myśl ogólną, swe duchy z duchem powszechnym! szlachetny i wzruszający obraz przyszłości! Kiedyż nadejdzie ta chwila, gdy prawda ogarnie świat cały, gdy, wznosząc się na skrzydłach logiki transcendentalnej, otworzy niebo i ludzkość ujrzy istność istności, wielkiego Demiurga! Jakież entuzjazm bez granic ogarnie wtedy ludzi, gdy dziś samem tylko przeczuciem prawdy wznoszą się tak wysoko!

Wielki myśliciel, mówiąc to, ożywał się coraz bardziej, lecz matka Jakóbową oddawna już wyszła z sali i, biegając od domu do domu, rozgłaszała, że przybył prorok, że ten prorok wie wszystko, że powiedział jej, kto ona jest, że wie, iż nie ma dzieci, że jej siostrzeniec Yeri Jan zagarnie jej majątek i to w krótkim czasie, że zna nawet najskrytsze myśli i że robi cuda!

Marysia i Kasia opuściły także swe stanowiska i pobiegly za gospodynią, potwierdzając i upiększając jeszcze to, co mówiła.

W kuchni wszystkoby się spaliło, gdyby Kuku Piotr, natchniony zgóry, nie zajął tam i nie spostrzegł opuszczonych rondli. W świątobliwym uniesieniu, podlał pieczeń, zajął do garnków, odszumował rosół, zaprawił sosy, odwrócił rożny, wyjął ciasto z pieca, słowem przyprowadził wszystko do należącego porządku, wołając, krzycząc, przyzywając na pomoc... lecz nikt nie odpowiadał i nie przychodził. Nareszcie, po półgodzinnej pracy, wyszedł na podwórz, by umyć ręce i twarz, bo w takim stanie, w jakim był, nie chciał się pokazać pięknej Teresie.

W tejże prawie chwili przyszła matka Jakóbową

i sąsiadki, a znalazłszy wszystko w porządku i gotowe do podania na stół, pocziwa kobieta wzniosła ręce do nieba, krzycząc, że się stał cud.

Kuku Piotr powrócił, słysząc krzyk, i niemało się zdziwił, gdy gospodyni przyprowadziła go do drzwi sali, pokazała Mateusza i opowiedziała jego cuda.

Tylko co nie wybuchnął głośnym śmiechem, lecz pomiarkowawszy się zrobił poważną minę i rzekł, jakby zdziwiony:

— Nie może być więc to nie przywidzenie, co widziałem?!

Wszystkie kumoszki otoczyły go, dopytując się, co widział. Wtedy Kuku Piotr odpowiedział im z powagą, że, przechodząc przypadkiem koło kuchni, widział jakiś cień biały, jakby anioła, obracającego rożen.

— Widziałem go, tak, jak panią widzę — dodał, zwracając się do matki Jakóbowej.

Kobiety spoglądały jedna na drugą w niemem zachwyceniu, żadna nie miała odwagi słowa wymówić, wyszły po cichu, a w kilka chwil cud rozgłosił się po całym miasteczku.

Gdy przyszło do podawania obiadu, matka Jakóbową zaleciwie czuła się godną dotknąć pokryw rondli; w głowie się jej kręciło, wyobrażała sobie, że anioł stoi za nią. Obie służące były równie wzruszone.

Oto jakim sposobem Kuku Piotr otumanił całe miasto, chcąc przygotować je do doktryn Franciszka Mateusza, którego pchnął swoim kłamstwem na drogę nadzwyczajności i cudów.

### XIII

W południe procesja skończyła się.

Ksieleża, śpiewacy, kobiety, dzieci, mieszczenie



i pielgrzymi rozsypali się po mieście; jedni, ażeby zasiąść do dobrego obiadu, zakropionego białem winem, piwem i kawą, inni, by się posilić zapasami, jakie z sobą przynieśli, zasiadłszy przy jakiej studni lub na kamiennej ławce przed oberżą.

Nasz filozof czuł, że nadchodzi godzina rozpoczęcia nauki; nie zwracał uwagi na nic, co się koło niego działo, tylko skupiał ducha.

Kuku Piotr, wszedłszy do sali, powiedział do niego:

— Mistrzu, siadaj na pierwszym miejscu przy stole, ja usiądę z prawej strony przy tobie, dla podtrzymywania doktryny.

Mateusz zajął miejsce, wskazane mu przez ucznia, naprzeciw okien.

Wkrótce sala zappełniła się przybyłymi ze wszystkich punktów Alzacji i Lotaryngji wieśniakami, stojącymi w oberży „Pod trzema różami“, którzy nie dbali o czterdzieści sous, byle zjeść przyzwoity obiad. Byli tam też górale, do których należał Jan Aden i Teresa, a których Kuku Piotr posadził obok siebie z prawej strony, z lewej położył przy sobie duży nóż i widelec z rogowymi trzonkami do krajania mięsa.

Podano zupełny obiad rozpoczął się w cichości.

Teresa, z dzieckiem na kolanach, wydawała się bardzo uszczęśliwiona z tego, że siedzi przy skrzypku, który czuwał nad nią bardzo troskliwie i podawał najlepsze kawałki.

Wiadomość o przepowiedniach i cudach Mateusza obiegła już całe miasto; ze wszystkich stron zaglądano do oberży przez okna, dopytując się o proroka. Matka Jakóbową, stojąc przed drzwiami, opowiadała wszystko, co zaszło, poleciwszy dwom służącym wydawanie obiadu, Kasia biegła naokoło stołów, obnosząc półmiski, odmieniając talerze, butelki próżne zastępując pełnemi, Marysia przynosiła potrawy z kuchni.

Wielka sala ożywiła się coraz więcej, uczujący, nie wiedząc o wielkiem posłannictwie naszego myśliciela, rozmawiali pomiędzy sobą o rzeczach obojętnych, o targu, zbiorach, zbliżającym się winobranii. Jedzono, śmiano się, pito, wołano na służące, uwijające się bezustannie po kręconych schodach i przynoszące półmiski z kapustą, gorącymi kielbasami, pieczoną baraniną, potrawą z kaczek i prosiętami o rumianej i chrupiącej skórce.

Wpółśród ogólnego ożywienia i weselości, doktorowi przywidziało się, że słyszy prorocze wyrazy: „Chwalał sławał wielkiemu Mateuszowi Chwała wieczna wynalazcy przechodzenia dusz...” i w ekstazie oparł się plecami o poręcz krzesła, upuścił widelec i nastawił uszy na te oddalone, wielbiące go, głosy, które, mówiąc prawdę, były skutkiem wolxheimu i szmeru, panującego w sali.

Okolo drugiej godziny, przy deserze, w chwili, gdy wszyscy mówią razem, a nikt nie słucha, gdy każdy czuje w sobie dowcip, i to jeden, to drugi, sam nie wiedząc dlaczego, wybucha śmiechem, głęboki filozof powstał i począł mówić tonem poważnym o przechodzeniu dusz i przekształcaniu się ciał. Mówił zwolna i spokojnie:

— Sprawiedliwość jest prawem świata; istota każda od początku wieków podlega prawu sprawiedliwości... wszystko, co jest na świecie, jest przez nią i niema nic, co by nie przez nią było. Ona jest życiem, a życie jest to wola. Wola ożywia materję, z której powstają rośliny, zwierzęta i ludzie. Był niegdyś człowiek, zesłany przez Boga, nazywał się Pitagoras... przyszedł na świat, a świat go nie zrozumiał... i jego zasady zostały zapomniane!..

Tak mówił filozof, a wszyscy słuchali, zdziwieni jego mądrością. Lecz w liczbie słuchaczy znajdował się anabaptysta, nazwiskiem Pelsly, człowiek bardzo



bogobojny, który zgorszył się mową sławnego filozofa, podniósłszy więc palec do góry, zawołał z miną natchnioną:

— Niestety! Pismo wyraźnie mówi, że przyjdzie czas, w którym wielu opuści wiarę i pójdzie za błędem i szatańską nauką, słuchając szalbierzy i hipokrytów, których sumienie zbrudzone jest czarnymi zbrodniami.

Powiedziawszy to, umilkł. Widocznie chciał wyprowadzić w pole Mateusza.

Nasz mędrzec zbladł, bo słyszał szepty naokoło, a Kuku Piotr siedział, jak na rozżarzonych węglach. Lecz po chwili doktor, zebrawszy siły, odpowiedział:

— O szalbierze i ludzie złej wiary!... czyż śmiecie zaprzeczyć, że sprawiedliwość panuje na świecie?... czyż wszystkie jestestwa nie są sobie równe podług swych zasług?... a gdyby nie istniały przed ostatniem przyjściem na świat, czyż byłaby pomiędzy nimi jaka różnica? dlaczego jedne rodzą się w postaci rośliny, drugie w postaci człowieka lub zwierzęcia? dlaczego jeden się rodzi bogatym, drugi ubogim, jeden mądrym, drugi głupim? Gdzież byłaby sprawiedliwość, gdyby te różnice nie wynikały z zasług lub występków w życiu poprzedniem?

Anabaptysta nie dał się zbić z tropu temi jasnymi argumentami i, wzniosłszy znów wgórę swój chudy wskazujący palec, odrzekł:

— Unikajcie nieprzystojnych i dziecinnych baśni, a ćwiczcie się w pobożności; pobożność potrzebną jest wszystkim i wszystkie dobra doczesne i wieczne od niej zależą. To, co ja wam mówię, jest niezbitą prawdą i każdy winien się temu poddać z pokorą.

Zgromadzenie zdawało się poruszone temi wyrazami i spojrzenia groźne skierowały się znów na Mateusza. Mędrzec w tak krytycznem położeniu wznosił oczy do góry i zawołał:

— Istoto istoti wielki Demiurgosiel którego potężna wola i niewzruszona sprawiedliwość rządzi duszami wszystkich, racz... racz oświecić ten umysł, zaćmiony błędem i przesądem!...

Lecz Pelsly, rozgniewany temi słowami, krzyknął:

— Czyż to nie ty, duchu ciemności, starasz się zaćmić nasze pojęcia? czyż nie jest napisano: jeżeli ktokolwiek wprowadza naukę różną od tej i nie przyjmuje nauki według pobożności, jest nadęty dumą i nic nie umie... jest chory na umyśle i wskutek tego walczy wyrazami, z czego wyradza się zazdrość, spory, przekleństwa i podejrzenia.

Doktor nie wiedział, co odpowiedzieć na to, gdy Kuku Piotr wmieszał się do dysputy; handlując niegdyś bibljami i kalendarzami, znał on pismo święte nie gorzej od Pelslyego.

— Ale! — zawołał, uderzając w stół pięścią i patrząc na anabaptystę wielkimi roziskrzonymi oczyma — nie ma nic tak skrytego, czego by nie można odkryć, ani nic tak tajemnego, czego by nie można poznać. To, co robicie w ciemności, wyjdzie najaw, a to, co mówicie do ucha w izbie, będzie ogłaszane z dachu. Powiadam ci, Pelsly, że jesteś hipokrytą, umiesz się doskonale poznać na tem, co przepowiada niebo i ziemia, a nie chcesz uznać tego, co się dzieje. Czyż nie możesz się poznać na tem, co jest sprawiedliwe?

Zaledwie Kuku Piotr domówił tych wyrazów, gdy powstał ogromny gwar w sali i uczujący, spoglądając na siebie, pytali:

— Co to jest? co to za hałas?

Była to stara sparaliżowana Małgorzata, żona Nikła Schuler, płóciennika, która, słysząc o cudzie znakomitego filozofa, przyszła, by ją uleczyć.

Biedna kobieta przybyła, niesiona przez czterech pielgrzymów, w ogromnym fotelu, którego od dwóch lat nie opuszczała. Tłum cisnął się koło niej, wołając:



— Śmiało, Małgorzato, śmiało!

Stara uśmiechała się przez łzy, bo wierzyła w moc proroka i czuła już w sobie powracające życie.

Ujrawszy ją, niesioną do obojętnej, pod trzema różami, matka Jakóbową zdaleka otworzyła bramę na rozcień i obie połowy drzwi, prowadzących do wielkiej sali.

Biedna Małgorzata, w stanie, do jakiego ją przyprowadziła choroba, blada, wynędzniała, wzniosła błagalnie długie ręce, wołając:

— Ocal mnie, proroku! racz wejrzeć łaskawie na twą niegodną służkę!

Tłum, cisnący się w sieni, w oknach i na sali, powtarzał jej wyrazy, zamieszanie było trudne do opisanie.

Kuku Piotr, widząc, co się dzieje, chciał drapnąć, bo nie wierzył wcale w cudowność doktryny i obawiał się, by mistrza i jego samego nie ukamienowano w razie niepowodzenia kuracji.

Tymczasem nasz medrzec był bardzo daleki od zwątpienia. W przekonaniu o świętości swego posłannictwa, pomyślał sobie, że istność istności umyślnie zsyłała tę nieszczęśliwą kobietę, by mógł świetnym czynem dowieść świata prawdziwości antropo-zoologii. Przenikniony tą ufnością, powstał i zbliżył się do Małgorzaty, patrzącej na niego wielkimi oczami. Tłum rozstał się przed nim, a doktor, przystąpiwszy do sparaliżowanej, popatrzył na nią łagodnie i pośród ogólnej ciszy zapytał:

— Kobieto, masz ufność?

A Małgorzata, wzniosłszy oczy do góry, odpowiedziała słabym głosem:

— O ty! który czytasz w sercach ludzkich, wiesz najlepiej, czy ufam.

— Otóż! — zawołał Mateusz głosem pewnym — ufność cię zbawia, wstań, jesteś wyleczona!

Na te słowa przytomnych przeszedł dreszcz aż do szpiku. Małgorzata uczuła jakąś siłę, wstępującą w jej członki, zrobiła wysilek i wstała, później upadła na kolana przed Mateuszem i załżała się łzami.

— Jestem ocalona! — zawołała — ocalona!...

Doktor podniósł kobietę, uśmiechnął się do niej z dobrocią i, pocałowawszy w wychudłą twarz, powiedział:

— Dobrze... dobrze... wróć do domu.

Co też zrobiła zaraz, wołając:

— Moje biedne dzieci!... moje biedne dzieci!... nie będę wam już ciężarem!...

Mateusz, obróciwszy się do zgromadzonych, powiedział spokojnie:

— Bóg tak chciał!... któż ośmielił się zaprzeczyć jego mocy?

Słowa te wywołały powszechne uwielbienie. Kuku Piotr tak był zdziwiony tem, co widział i co słyszał, że w swym osłupieniu nie mógł się poruszyć z krzesła i bełkotał drżącym głosem:

— Mistrzu, ty jesteś wielkim prorokiem! miej litość nad swym uczniem Kuku Piotrem... istotą zmysłową i pełną błędów, a która wątpiła o tobie!...

Sam tylko Pelsly był niepokonany; rozdarł na sobie ubranie i wyszedł z sali, mówiąc:

— Nadszedł czas, w którym powstają fałszywi prorocy, którzy będą przepowiadać i robić rzeczy zadziwiające, mogące otumanić, jeżeliby to być mogło, nawet wybranych!

Lecz tłum nie słuchał go już wcale, nie mogąc dość nawielbiać Mateusza.

#### XIV

W taki sposób znakomity doktor Mateusz, znając siłę woli, okazał wielkość istoty istot.



Małgorzata wróciła do siebie, a tłum siedział za nią, rozgłaszając cud po całym mieście. Sąsiedzi i ci, co ją widzieli przedtem, mówili:

— Czyż to ta sparaliżowana Małgorzata, która siedziała przed domem dla ogrzania się na słońcu?

Jedni odpowiadali:— „Tak to onal” — drudzy przeczyli:— „Nie, to nie ona, to tylko jakaś do niej podobna!” Lecz Małgorzata sama objaśniała:— „To ja sama! Prorok z oberży „Pod trzema różami” uzdrowił mnie!”

Zbiegano się ze wszystkich stron, by zobaczyć i usłyszeć proroka.

Franciszek Mateusz, stojąc w jednym z okien wielkiej sali, patrzył na zbiegowisko, ciesząc się niewymownie.

— O wielki duchu!—wołał—dzięki ci! dziękuję ci! żeś mi dozwolił dożyć do tej chwili! Teraz Franciszek Mateusz może umrzeć... widział zwycięstwo antropozoologii!

Tymczasem Pelsly udał się do mera, w zamiarze denuncjowania naszego myśliciela.

Pan mer Jerzy Brenner był właśnie przy stole, otoczony przyjaciółmi, obchodząc odpust i jarmark uczą.

Anabaptysta opowiedział spokojnie i dokładnie o rzeczach nadzwyczajnych, które się stały w oberży.

— Ci ludzie—mówił—błądzą w swych czcnych rozumowaniach i serca ich pełne są ciemności. Są to szaleńcy, nazywający się rozumnymi, porównywają człowieka ze zwierzętami i płazami. Dlatego ich serca są pełne pragnienia niezaspokojonego.

Gdy Pelsly to mówił, mer przerwał mu, uderzwszy w stół:

— Co pan mówisz?... czyż podobna?—zawołał.

— Chodź pan i zobacz sam!

Mer wstał od stołu, z wielkim gniewem opuszczając żonę, dzieci i przyjaciół, bo od powrotu z pro-

cesji nie mógł ani chwili odpocząć i już kilka osób mówiło mu o cudzie... nie o cudzie, zdziałanym na sparaliżowanej, lecz w kuchni matki Jakóbowej.

Przybywszy na ulicę Tonnelet-Rouge, zaledwie mogli się przecisnąć, tak była zapchana ludźmi.

— Chwała!... chwała prorokowi!—wołano.

Zdaleka widać było znakomitego doktora, stojącego w oknie, a przy nim Kuku Piotra, Jana Aden i wszystkich gości oberży; doktor przemawiał wymownie do zgromadzonych.

Mer przeciskał się przez tłum do oberży i Kuku Piotr widział go, wchodzącego na schody. Był to straszny cios dla skrzypka, który zrozumiał od razu, że doktrynie grozi wielkie niebezpieczeństwo.

Mistrz mówił jeszcze, gdy mer wszedł do sali i gdy anabaptysta, wskazując palcem na filozofa, oskarżał go w tych słowach:

— Ponieważ tobie, panie merze, zawdzięczamy spokój i porządek, istniejący wskutek wykonywania kilku rozporządzeń bardzo mądrych i zbawiennych, któremi dowiodłeś, że umiesz przewidywać wszystko, oskarżam zatem przed tobą tego człowieka, jako naczelnika sekty szkodliwej, wprowadzającej nauczaniem fałszywych doktryn i robieniem cudów, rozdwojenie i zamieszanie w społeczeństwie.

Franciszek Mateusz, usłyszawszy te wyrazy, wypowiedziane głośno i uroczyście, odwrócił się od okna i zmieszał, ujrawszy mera, przepasanego szarfą.

— Kto panu pozwolił robić cuda i miewać mowy publiczne?—zapytał mer.

Nasz myśliciel z początku nie wiedział, co odpowiedzieć, lecz po kilku chwilach nabrał odwagi i odrzekł z głębokiem oburzeniem:

— Odkądże to trzeba pozwolenia dla nauczania prawdy? O, zniewago straszna! godna najsurowszej kary i potępienia w najpóźniejsze wieki! Czyż Pita-



goras, Sokrates, Platon i tylu innych potrzebowali pozwolenia na wykład swoich doktryn? czyż nie mieli uczniów? czyż nie byli otoczeni szacunkiem i podziwem ludu?

Mer, ogłuszony potokiem wyrazów mędrca, popatrzył na niego w milczeniu kilka sekund i powiedział:

— Szczęście pańskie, że niema u nas aresztu, bobyśmy kazał pana natychmiast uwięzić, ażeby nauczyć mówić z uszanowaniem do urzędnika, przybranego w oznaki swej władzy. Daję panu dwadzieścia minut czasu do opuszczenia miasta, a jeżeli zostaniesz choć jedną sekundę dłużej, każę cię odprowadzić przez żandarmów do Saverne.

Wszyscy obecni osłupieli. Kuku Plotr, zwróciwszy się do anabaptysty, z kolei triumfującego, powiedział mu tonem wyniosłym i wzgardliwym:

— Napisano jest: „Wydadzą was w ręce oprawców, by was męczyć i będziecie wygnani dla sprawiedliwości!“

Obecni, równie oburzeni, jak uczeń Mateusza, rzuciliby się na Pelslyego, gdyby nie obecność mera.

Nasz filozof miał czas zebrać myśli, a ponieważ serce wzdęło mu się z bólu na myśl, że odrazu traci owoc tylu poświęceń i wysileń, postanowił bronić się.

— Panie merze—przemówił, starając się zachować zimną krew—panie merze, chcę usprawiedliwić się przed panem i czynię to z ufnością, bo wiem, że już od wielu lat zarządzasz tą okolicą. Zapewne panu wiadomo, że dopiero wczoraj przybyłem do Haslach i ten anabaptysta nie widział mnie, dysputującego z kimkolwiek, ani zbierającego lud, bądź to w kościele, bądź na placu publicznym... jak również nie może mi dowieść, że jestem naczelnikiem jakiejś sekty, o co mnie głównie oskarża. Prawdą jest, i wyznaję to przed tobą, panie merze, że, podług tej

filozofji, którą on nazywa szkodliwą, ja służę Bogu Pitagorasa, pracuję nieustannie nad zachowaniem w czystości mego sumienia, by mi nie robiło wyrzutów, a ponieważ sumienie nakazuje mi rozsiewać światło wszelkimi możebnymi sposobami, porzuciłem dach rodzinny, moich przyjaciół i wszystko, co mam najdroższego na świecie, poświęciłem wielkiemu celowi. Pozwól mi pan zostać tu jeden tylko dzień jeszcze—nie potrzeba mi więcej czasu do nawrócenia całego miasta ku prawdom antropo-zoologicznym...

— Jeden powód więcej, żeby pan opuścił miasto jak najprędzej—przerwał mer—zamiast dwudziestu minut, zostawiam panu tylko dziesięć.

A obróciwszy się do anabaptysty, dodał:

— Pelsly, idź po żandarmów!

Na te wyrazy Franciszek uczuł w sobie naturę zającą, biorącą górę nad innemi skłonnościami.

— O panie merzel... panie merzel... — zawołał, mając oczy pełne łez—potomność osądzi cię surowol...

I, powiedziawszy to, wyszedł w milczeniu. Obecni byli wzruszeni tą sceną.

Kuku Piotr wodził po stole pochmurnym wzrokiem i nie wiedział sam, co robić; nagle zerwał się, krzycząc, jak opętany:

— Potomność zemści się na was!... panie merze... tem gorzej dla ciebie!...

Nasunął kapelusz na ucho, założył wtył ręce i wyszedł majestatycznie temi samemi drzwiami, co Mateusz.

Po wyjściu Kuku Piotra powstał ogromny hałas. Jakób Fischer, człowiek chciwy na pieniądź, przypomniał sobie, że Mateusz i jego uczeń najeli wozownię, że wzięli dla Brunona dwie miary owsa i że nie tylko obydwaj jedli obiad po czterdzieści sous, ale nadto Jan Aden i Teresa figurowali na ich rachunku. Pobiegł więc za skrzypkiem, wołając:



— Stójciel stójciel przecież tak się nie edjeżdżał trzeba wprzód zapłacić, co się należał

Obecni biegli za oberżystą, ciekawi, co się dalej stanie.

Przybywszy na podwórze, ujrzeni doktora, wychodzącego z wozowni i trzymającego konia za uzdeczkę. Kuku Piotr szedł za nim z siodłem i zawiniątkiem, śpiesząc się, bo wiedział, że mogą być zatrzymani.

Jakób Fischer krzyczał, zeskakując po cztery stopnie ze schodów.

— Stójciel stójciel aresztuję konia!

W uniesieniu chciał zatrzymać Brunona, lecz Kuku Piotr odepchnął go silnie i, złapawszy za kij, stojący przy drzwiach stajni, zawołał:

— A zasię! niema nic wspólnego między namil

Jakób Fischer puścił cugle, a Mateusz powiedział łagodnie:

— Porzuć kij, kochany uczniu, postaw go na swoim miejscu.

Kuku Piotr nie zdawał się być bardzo skłonnym do posłuszeństwa, lecz gdy zobaczył tłum, ze wszystkich stron przybywający, przypomniał sobie lekcję psychologii w Oberbronn i rzucił kij. Tłum otoczył konia, filozofa i ucznia. Każdy opowiadał wypadek po dług siebie. Mateusz doznawał głębokiego wzruszenia, słysząc te krzyki, zdania i objaśnienia, gdyż jedni byli za nim, a drudzy ganili jego postępek głośno.

W tłumie był Jakób Fischer i jego żona, gruba Marysia i mała Kasia, Jan Aden i Teresa, Kasper Siebel syn Ludwika, Siebel kowal, Pasauf strażnik leśny w wielkim kapeluszu żandarmskim, Pelsly i mer w trójkolorowej szarfie.

Nareszcie, na rozkaz pana mera, uciszono się i Jakób Fischer wytoczył sprawę.

— Ci ludzie—mówił—dłużni mi są za wynajęcie wozowni, za cztery obiady po czterdzieści sous, i za

dwie miary owsa, co czyni razem dwanaście franków. Jeżeli odjadą — gdzie ich będę szukał?... Kuku Piotr nie ma nigdy szeląga przy duszy, tego pana nie znam wcale; żądam więc, żeby zostawili konia, póki nie zapłacą.

Mateusz odpowiedział:

— Od wieków jest we zwyczaju, że prorocy jadają i piją bezpłatnie wszędzie, dokąd przybędą; gdzie ich nie przyjmą, tam otrząsają proch ze swych trzewików i idą dalej. A ja wam powiadam, że ludzie twardzi godni są pożałowania, lepiejby było dla nich aby się nie rodzili, gdyż nie dręczyliby nas widokiem swej niegodziwości.

Pomimo tych wymownych słów, mer i oberżysta bynajmniej się nie wzruszyli, lecz owszem oberżysta powtarzał swój rachunek:

— Tyle za konia, tyle za filozofa, tyle za ucznia, tyle za zaproszonych, razem dwanaście franków!

A mer, widząc, że tłum powiększa się, rzekł:

— Jakóbie, możesz wziąć konia w zastaw, niech idą pieszo!

W tej chwili oberżysta wyrwał cugle z ręki Mateusza. Poczciwiec, nie spodziewający się wstrząśnienia, byłby upadł na ziemię, lecz zatrzymał się o szyję Brunona, którą objął rękami i płakał, jak dziecko.

— Brunon! mój biedny Brunon! — wołał — chcę cię rozłączyć ze mną, ciebie, towarzysza moich trudów... mego najlepszego, jedyne go przyjaciela! O! nie bądźcie tak okrutni!... mój biedny Brunon!... co się z tobą stanie?... będą się z tobą źle obchodzić!... nie będą mieli względu na twoje długoletnie zasługi.

Łzy starca siwowłosego wzruszały słuchaczy.

— To rzecz okrutna odbierać konia temu starcowi — mówili pomiędzy sobą — to poczciwy człowiek, patrzcie, jak płacze, musi mieć dobre serce, kiedy tak żałuje swego konia!



Niektóre kobiety odeszły, nie mogąc patrzeć na tę scenę.

Kuku Piotr, stojący za Brunonem, pochylił smutnie głowę; wyrzucał sobie, że on jest przyczyną wszystkiego i dwie wielkie łzy stoczyły się po jego czerstwych policzkach.

Teresa płakała także, a gdy wszyscy otoczyli konia, ona przycisnęła się do skrzypka i wsunęła mu w rękę trzydzieści franków.

— Weź to, panie Kuku Piotrze—powiedziała—przyjmij, dla mojej miłości!

Kuku Piotr, łkając, schował pieniądze do kieszeni kamizelki, a po kilku chwilach, podniósłszy głowę, zawołał:

— Panie Jakóbie, nie spodziewałem się tego po tobie! Myślałem, że poczciwy człowiek znajdzie u ciebie kredyt! Lecz, ponieważ jesteś taki... masz oto twoje pieniądze, bierz i puszczaj konia, bo ci łeb rozwałę!

Mówiąc to, schwycił za kij, stojący przy drzwiach, a wszyscy obecni pragnęli bardzo, żeby nim przemierzył oberżystę.

Skrzypek zwrócił także dziesięć franków Janowi Aden, spoglądając czule na Teresę, wzruszoną do głębi duszy, później ucałował dziecko, które ona trzymała na ręku, i głosem silnym zawołał:

— Dalej w drogę, ojcze Franciszku! Ludzie są trutnie!

Mateusz siadł na konia, Kuku Piotr otworzył drzwi, wychodzące na pole, mer jednak nie uspokoił się, aż dopiero, gdy zobaczył ich, znikającymi w zaroślach.

W mieście mówiono tylko o proroku i lud domagał się cudów.

## XV

Nie jestem w stanie opisać zmartwienia Fran-

ciszka Mateusza i jego ucznia po wyjeździe z Haslach.

Kuku Piotr nie posiadał się z gniewu, wywijał kijem i wykrzykiwał co chwila:

— Łotr anabaptysta! łotr mer! łotr Jakób Fischer! ha! wy wszyscy łotry! gdybym was dostał w moje ręce!... toż tobym wam wyprawił taniec! Ani jednego kudła nie zostawiłbym na łbach! Wypędzać takiego człowieka! człowieka, robiącego cuda! człowieka, który jest więcej wart, jak wy wszyscy aż do dwudziestego pierwszego pokolenia! Ach! łotry! łotry! dam ja wam, niech tylko się z wami spotkam!

Mówiąc to, od czasu do czasu oglądał się, czy żandarmi ich nie gonią.

Mędrzec, pogrążony w bólu, milczał jak ryba, i dopiero oprzytomniał trochę gdy dojeżdżali do wioski Tiefenbach, położonej w wąwozie gór. Wtedy zdjął kapelusz, otarł spocone czoło i odezwał się z dziwnym spokojem:

— Drogi uczniu! przeszliśmy przez ciężką próbę, złożmy dzięki wielkiemu Demiurgosowi, który nas osłonił, jak zawsze, swoją tarczą. Napróżno sofisci prześladują nas, stawiają przeszkody i tamują drogę, wszystko to dowodzi tylko, że istność istności opiekuje się nami.

— Masz rację, mistrzu—odrzekł Kuku Piotr—gdy kto robi cuda, jak my, może się niczego nie obawiać. Nim upłynie sześć miesięcy, spodziewam się wjechać do Haslach w biskupiej infule, na białym koniu; dwoje dzieci w bieli będzie niosło ogon mego płaszcza i będą mi kadzić pod nos, lecz, nim to nastąpi, wartoby pomyśleć, gdzie pojedziemy.

— O tem niema co myśleć, mój przyjacielu—odpowiedział doktor—zawsze będziemy mieli dość przestrzeni przed sobą. Dotąd nie powodziło się nam, gdyż nie mieliśmy obszernego pola działania, lecz



widocznie Opatrzność, mimo naszej woli, prowadzi nas ku wielkim miastom. Jedźmy do Sawerny.

— Do Sawerny! niech Bóg bronil uchowaj Boże! to miasto przepelnione jest adwokatami i żandarmami.

Apostoł mówił to dlatego, że w Sawernie mieszkała jego żona, a jeszcze więcej dlatego, że zadłużony tam był u wszystkich winiarzy, oberżystów i wszelkiego rodzaju szynkarzy, lecz myśliciel nie dał się zbić z tropu.

— Żandarmi są straszni dla złodziei — odrzekł — a nie dla filozofów. Dalej! naprzód! Kuku Piotr! każda chwila naszego istnienia należy do ludzkości!

Przebywali wtedy cichą ulicą Tiefenbachu. Większa część mieszkańców tego miasteczka była w Haslach, z tego powodu chatki z zamkniętymi drzwiami i ogródki, otoczone przezroczytymi płotami, miały pozór melancholijny, zupełnie różny od gwarne go odpustu.

Kuku Piotr zdawał się marzyć.

— Powiedz mi, mistrzu — przerwał — czy rabini mogą być żonaci.

— Dlaczegożby nie mogli, mój przyjacielu, to jest nawet obowiązkiem, nakazany przez Mojżesza, dla rozmnożenia rodu ludzkiego.

— Tak, ale ja mówię o wielkim rabinie od przechodzenia dusz.

— A cóż żona może przeszkadzać? Małżeństwo jest rzeczą naturalną i nie widzę w niem nic nieprzyzwoitego.

Kuku Piotr rozweselił się, odżył.

— Panie doktorze — mówił — niesłusznie martwiłem się. Jak przyjedziemy do Sawerny, pójdziemy do mojej żony, od pięciu miesięcy nie widziałem jej, przez ten czas powinna była zebrać jakieś oszczędności.

— Jakto do twojej żony?

— Nol tak, do mojej żony, Małgosi Baltzen, zaślubionej Kuku Piotrowi przed merem i proboszczem tego miasta.

— Nic nie mówiłeś mi nigdy o tem.

— Boś się pan o to nigdy nie pytał.

— I nie mieszkacie razem?

— Niel zanadto chuda dla mnie, ja lubię kobiety tłuste. Co pan chcesz? różne są gusta na świecie!

— Ale dlaczegoż się z nią ożenił?

— Bo, żeniąc się, panie doktorze, nie znałem jeszcze swego gustu, byłem wtedy w wieku niewinności i ta kobieta oczarowała mnie. Nareszcie... widząc, że codzień chudnie, powiedziałem sobie: Kuku Piotrze, ty i twoja żona jesteście nie z jednej rasy, źle jesteście dobrani, lepiej rozłączcie się. Zabrałem, co znalazłem w szafie, i poszedłem. Sumienie przedewszystkiem! — obawiałem się, żeby nie mieć zbyt chudych dzieci i zrobiłem poświęcenie.

To wyznanie zdziwiło naszego filozofa, lecz był zachwycony delikatnością sumienia swego ucznia i przeczuciami antro-po-zoologicznemi.

— Mój przyjacielu — powiedział — najzupełniej uznaję powody twego postępowania, jednakże, jeżeli twoja żona czuje się nieszczęśliwą...

— Ale gdzie tam! mistrzu! pewno rada, że się mnie pozbyła; nie mogliśmy nigdy porozumieć się... gdy ja powiedziałem biało, ona mówiła czarno, i kończyło się zawsze na kiju... a zresztą cóż jej brakuje? służy u pana pastora Schweitzera, mego dawnego kolegi ze Strasburga, gdy byłem terminatorem u piwowara, a on wtedy chodził na teologję. Ileż to razy brałem go do piwnicy i robiliśmy przegląd beczek z piwem marcowem, owśianem, dubeltowem i musującym. Chal chal chal nie mogę się wstrzymać od śmiechu, gdy myślę o tem. Lecz, wracając



do mojej żony, pobiera ona dwanaście franków miesięcznie, ma stół, mieszkanie i zajmuje się tylko gospodarstwem, naprawianiem bielizny, a wieczorem czyta jeden albo dwa rozdziały z biblij, gdy pastor zajęty jest paleniem fajki i szklanką piwa w klubie. Któż kobieta nie byłaby zadowolona z takiego bytu, tem bardziej, że pan pastor jest wdowcem i nie chce drugi raz żenić się.

— Bardzo słusznie—odrzekł Mateusz roztargniony, — bardzo słusznie, powinna być szczęśliwa.

Znajdowali się wtedy na drugim końcu wsi. Znakomity filozof zauważył grupę kobiet, energicznie gestykulujących i otaczających jakiś przedmiot, leżący na ziemi.

Młynarz, mały człowieczek o obwisłych policzkach, w szarej czapeczce i cały ubielony mąką, stał oparty o drzwi młyna i mówił z wielkim ogniem. Pomimo turkotu kół i szumu wody, buchającej grubym strumieniem z pod śmig, słyhać było, jak krzyczał:

— Niech sobie idzie do diabła co to do mnie należy!?

Mateusz i Kuku Piotr zbliżyli się, by zobaczyć co się stało. Gdy byli o parę kroków, kobiety rozstały się i Mateusz ujrzał starą cyganek, leżącą pod ścianą, bliską śmierci. Staruszka była tak pokryta zmarszczkami i zgrzybiała, że zdawała się mieć ze sto lat; nie mówiła nic, lecz młody cygan, klęczący przy niej, błagał młynarza by ją przyjął do swej stodoły.

Przybycie Mateusza złagodziło trochę gniew młynarza.

— Nie... nie—mówił tonem łagodniejszym—stara z pewnością umrze... kosztą pogrzebu spadłyby na mnie.

Doktor, wzruszony takim widokiem, podszedł do

młynarza i, nachyliwszy się ku niemu, powiedział ze słodyczą:

— Mój przyjacielu, jak możesz odmawiać przytulku tej nieszczęśliwej? Pomyśl, że ona może umrzeć z braku pomocy, a w takim razie na ile wyrzutów narazisz się? Czyż nie dasz się wzruszyć prośbami tego dziecka?

— Panie proboszczu—odpowiedział młynarz, zdejmując czapkę—gdyby to byli chrześcijanie, to nie mówię... ale bałwochwalcy, dziękuję!

— Co tu znaczy ich opinia filozoficzna?—zawołał doktor—czyż nie jesteśmy wszyscy braćmi? czyż nie mamy tych samych potrzeb? tych samych namiętności? i czyż nie z jednego źródła pochodzimy? Wierzaj mi, dobry człowieku, daj wiązkę słomy tej biednej istocie—spełnisz swój obowiązek, a istność istności wynagrodzi cię za to.

Kobiety przyłączyły się do Mateusza i młynarz, z obawy skandalu, otworzył stodołę, lecz tak kląć włóczęgów, zmuszających ludzi do ich żywienia za życia i grzebania po śmierci, że czynu jego nie można było uważać w żaden sposób za miłosierny.

Kuku Piotr przyglądał się wszystkiemu z rękami w kieszeniach, nie wyrzekłszy ani słowa, lecz, gdy Mateusz pożegnał kobiety ukłonem i chciał odjechać, zawołał:

— Mistrzu, czy sądzisz, że ta stara jest bardzo chora?

— Obawiam się—odrzekł doktor, podnosząc głowę, że nie przeżyje tej nocy.

— Jednak widziałeś pan... sama podniosła się gdy otworzono stodołę.

— To prawda, zdziwiło mnie to; widać, że cygani mają twarde życie! pochodzi stąd, że są wstrzemięźliwi i przebywają wśród lasów, nie znają nad-



miaru w jedzeniu, piciu i pracy, tak zgubnego dla nas. Tak żyli nasi ojcowie.

Kuku Piotr nie mógł wstrzymać śmiechu.

— Mistrzu — rzekł — bez urazy pańskiej, znam dosyć cyganów i wiem, że nie brzydzą się dobrym kąskiem i piją daleko więcej wódki, niż my. Co do pracy, masz pan zupełną słuszość: wolą nic nie robić, aniżeli być użytecznymi ludziami, nie tak, jak my, co pracujemy dla przyszłych pokoleń. Wiesz pan, co myślę o tej starej?

— Cóż myślisz, mój przyjacielu?

— Ja myślę, że ona jest tak chora, jak pan lub ja. Zdaje mi się, że, przekonawszy się, iż wszystkie drzwi we wsi są zamknięte, i widząc, że nic nie można złapać, udała chorą, ażeby się dostać do młyna; w nocy wstanie pocichu z chłopakiem, wlezie do kurnika, poukręca szyje kurom, indykom, kaczkom... i przed świtem zniknie, dobrze się obłowiwszy. Oto, co ja myślę.

— Jak możesz robić podobne przypuszczenia? — zawołał filozof. — O! Kuku Piotrzel Kuku Piotrzel bardzo jest nierozsądnie objawiać takie zdania przeciw całemu narodowi dlatego, że ten ma skórę żółciejszą, grubsze wargi i żywsze oczy, jak my!

— Nie, mistrzu, nie dlatego, ale że ten naród należy bezzaprzeczenia do familji lisów — odrzekł Kuku Piotr z powagą.

— Ależ dobra wołał czyż przy dobrej woli nie można poprawić ich złych skłonności? — zawołał Mateusz, zbity swoim własnym systemem. — Czyż ludzie nie doskonalą się? czyż można cyganów uważać za bydło? Nie ulega wątpliwości, że cygani mają zwierzęcą naturę swego pochodzenia, lecz wielki Demiurgos

obdarzył ich większymi zdolnościami: zmysłem moralnym, zapomocą którego mogą odróżnić, co jest sprawiedliwe, a co niesprawiedliwe i przewycięzać skłonności, niegodne człowieka.

— Wszystko to bardzo pięknie—odrzekł Kuku Piotr—lecz ja znam tę starą cygankę; niedarmo jej towarzysze nazywają ją Czarną-Sroką!.. im więcej się starzeję, tem więcej nabiera gustu do cudzej własności. Jestem pewny, że po śmierci istność odrodzi ją z zakrzywionemi w szpony palcami, w nagrodę teraźniejszych czynów.

— Jeżeli tak jest, wróćmy do wsi ostrzec młynarza.

— Cóż znowul naco mam się mieszać do spraw cudzych? nie jestem pewny, czy ona naprawdę nie chora, a przytem ten młynarz nie więcej wart od niej—to największy złodziej mąki, jakiego znam. Jeżeli Czarna-Sroka skradnie mu kury, to odbierze część tego, co on ukradł innym. Niech cię to nie niepokoi, mistrzu, mówię to, by pana przekonać, że cygani są innej rasy, jak my, lecz trzeba im oddać tę sprawiedliwość, że nie napadają podróżnych; lubią jeść i pić cudzym kosztem, lecz i między nami zdarzają się tacy amatorzy.

Tak rozmawiając, filozof i uczeń zagłębiali się coraz więcej w las. Kuku Piotr był pewny, że zna drogę, i spodziewał się lada chwila ujrzeć dom leśniczego Yery, swego dawnego towarzysza, u którego miał zamiar przenocować. Lecz po półgodzinnej drodze, nie widząc spodziewanego domu, poznał, że zmylił drogę, nie śmiał jednak przyznać się do tego przed Mateuszem. Upłynęło drugie pół godziny, ścieżka stawała się coraz węższą i skrzypek nie miał już



żadnej wątpliwości, że zbłądził. Było już około siódmej, ciernie i jerzyny coraz częściej zaczepiały się o suknie Mateusza i jego ucznia, nareszcie ścieżka zginęła zupełnie w zaroślach.

— Powiedz mi, mistrzu—zapytał wtedy skrzypek—czy jesteś zupełnie pewny drogi?

— Drogę, ależ ja wcale jej nie znam!

— No, tośmy zrobili dobry interes... ja pozwoliłem się panu prowadzić! Co tu teraz robić?

— Wracajmy napowrót.

— Ależ zaledwie pół godziny dnia mamy jeszcze—odrzekł Kuku Piotr—a od Tiefenbachu uszliśmy dwie mile; przeciwnie, idźmy już ciągle naprzód, przecież gdzieś przybędziemy.

Obydwaj patrzyli na siebie w milczeniu i niepewności, co dalej robić. Drozdy wabiły się na wierzchołkach jodeł, zachodzące słońce złościło drzewa, wdali słyhać było strumień, szemrzący w dolinie. Kilka minut rozglądali się, nic nie mówiąc, nareszcie Kuku Piotr zapytał:

— Mistrzu, czy nic nie słyszysz?

— Owszem—odrzekł doktor, wskazując na dolinę—słyszę tam jakieś głosy.

— Tak—dodał Kuku Piotr—nawet zdaje mi się, że czuję dym... pan go nie czujesz, panie doktorze?

— Zdaje mi się, że czuję—odrzekł filozof.

— Teraz jestem zupełnie pewny!—zawolał uczeń—jesteśmy niedaleko węglarni... z której strony wiatr wieje? Z tej! Dalej w drogę!

Lecz zaledwie zrobili pięćdziesiąt kroków w kierunku wiatru, weszli w głęboką kotlinę, na końcu której, u stóp góry, banda cyganów gotowała sobie wieczerzę.

— Heł mistrzu! — zawołał radośnie Kuku Piotr —  
będziemy wieczerzać!

I skierowali się ku cyganom, zdziwionym widokiem człowieka na koniu w tak odludnem miejscu.

## XVI

W miarę zbliżania się do cyganów, Franciszek Mateusz coraz więcej podziwiał ich fizjognomję, wesołe i rzeczywiście filozoficzne. Znać było, że niewiele się troszczą o zdanie świata i zadowolenia szukają w sobie samych. Jedni mieli ubranie zbyt krótkie, drudzy zbyt długie, na spodniach było więcej łań i dziur, jak części składowych, lecz to wcale nie przeszkadzało stawiać nogi z pewną powagą i wdziękiem i patrzeć każdemu śmiało w oczy, jakby mieli na sobie złote hafty. Prawie każda kobieta miała dziecko, zawieszone na plecach w rodzaju worka. Wszystkie zajęte były robotą: jedne dokładały drzewa do ognia, drugie paliły fajki, inne wrzucały do garnka z wielkich kieszeni kawałki chleba, rzepę i marchew. Słowem, ten cygański tabor wśród lasu godzien był widzenia; dym napelniał kotlinę mgłą niebieskawą, a wdali żaby rozpoczęły swój koncert melancholijny.

— Jedzcie i pijcie, poczcwi ludzie! — tak powitał ich Mateusz, kłaniając się szerokim kapeluszem — wszystkie płody ziemi są przeznaczone dla człowieka. O! ja lubię patrzeć na stworzenia boskie, cieszące się szczęściem i rozmnażające się przed obliczem wielkiego Demiurgosa! lubię widzieć je wzrastające w siłę, mądrość i piękność!



Cyganie spoglądali na naszego filozofa z niedowierzaniem, lecz zaledwie spostrzegli Kuku Piotra, wielu z nich wstało, wołając:

— Kuku Piotr! Kuku Piotr! przybywa na naszą zupeł

— Rzeczywiście poto przychodzę — rzekł wesóły grajek, podając rękę — dzieńdobry, Wolf, dzieńdobry Pfifer. A to ty, Danielu! jak się masz? A ty, m ła Nachtigall, jak dawno masz tego malca? Boże mój, Boże! jakie to płodnel zobaczmy czy dobrej rasy! oczy czarne, włosy kędzierzawe... wszystko w porządku... nic ci nie można zarzucić, Nachtigall. Cygan z niebieskimi oczami gniewa mnie strasznie, tak, jak królik ogrodowy, którego czuć kapustą!

— Cha! cha! cha! figlarz Kuku Piotr! — wołali cyganie, cisnąc się dokoła niego — zawsze ma jakiś żarcik napogotowiul

Podczas przywitania Mateusz przywiązywał konia do drzewa, obok stojącego, a gdy się obejrzał, już Kuku Piotr zaglądał do garnka.

— Jakoś dziś chudo — rzekł, wznosząc głowę.

— Tak — odrzekła Nachtigall — pościmy dziś do św. Florjana.

— O! — zawołał Kuku Piotr — trochę cierpliwości, trochę cierpliwości... jeszcze cała banda nie zgromadziła się.

A obróciwszy się do doktora, dodał:

— Mistrzu Franciszku, bez ceremonji, siadaj pan przy ogniu, tak, jak we własnym domu! A wy, nie kładźcie rąk do kieszeni doktora.

— Czy masz nas za złodziei? — odezwał się młody cygan, ubrany w długą kapotę, sięgając aż do pięt.

— Przeciwnie, Melchiorze, uważam was za naj-

pocziwszych ludzi w świecie, lecz wiem, że macie  
łepkość w palcach i, pomimo waszej woli, zawsze  
do nich coś przylgnie.

Mateusz zbliżał się powoli, a wodząc oczami po  
cyganach, mówił z powagą:

— Jak cnotliwy Arystydes — ofiara nienawiści,  
stronnictw i niewdzięczności rodaków — przychodzę  
zasiąść u ogniska obcego narodu i żądać spełnienia  
świętych praw gościnności... Szczęśliwy, kto żyje na  
pustyni, otoczony niebem bez końca i lasem bez  
granic, bo nie widzi pysznącego się występku i upo-  
korzonej cnoty; serce jego nie jest zarażone samo-  
lubstwem, ani wysuszone nienawiścią! Stokroć szczę-  
śliwszy jeszcze, jeżeli wierzy w sprawiedliwość wiecz-  
ną, bo nie będzie zawiedziony; odbierze nagrodę za  
swoją pracę, odwagę i cnotę!

Mówiąc to, nasz myśliciel zasiadł przy ognisku  
i zatopił się w otchłani swych myśli.

Zdziwieni cyganie spoglądali na siebie, pytając  
wzrokiem, kto to jest i co chce powiedzieć.

Kuku Piotr opowiadał im o dalekich wędrówkach  
filozofa i celu jego podróży, lecz nie mogli go zro-  
zumieć.

Pfifer Karol, grywający na trąbce, powiedział:

— Czegóż on chce? Dlaczego obiega świat, kiedy  
ma dom, ziemię i wszystko, czego potrzebuje, dla-  
czego nie siedzi na miejscu? A jeżeli lubi podró-  
żować, dlaczego nie sprzedaje majątku, by mieć czem  
płacić w oberżach?

Ci ludzie nie mogli także zrozumieć, co to jest  
prorok. Śmieli się z tłumaczeń Kuku Piotra, a po-  
nieważ mędrzec siedział nieruchomy na swoim miej-



scu i nie mógł ich słyszeć, Kuku Piotr skończył naukę na śmiechu z cyganami.

— Chal chal chal hultaju, Pfifer Karolul—mówił, uderzając po ramieniu trębacza — tyś nie głupi, ty-byś nie poszedł pracować dla przyszłych pokoleń! chal chal chal bo to rzeczywiście okrutnie głupia myśl.

Cyganie namawiali go, by, wzięwszy skrzypce, poszedł razem z nimi na jarmark. Nieraz odbywali razem wędrówki po Alzacji i wiedzieli, że grajka wszędzie dobrze przyjmowano, lecz Kuku Piotr nie chciał opuścić doktryny.

— Nie — odpowiadał — jestem prorokiem i zostanę prorokiem; już oddawna zarzuciłem muzykę. Gdybym się kiedy dowiedział, że kto inny na mojem miejscu został wielkim rabinem, wyrwałbym sobie włosy z rozpaczy. Nie, nie! trzeba, by po świecie mówiono o mnie; pragnę, by nazwisko Kuku Piotra było tak sławne, jak Pitagoras!

— Jak się czasem zdarzy głupiec — przerwał Pfifer Karol — to o nim jednym więcej mówią, jak o wszystkich razem rozumnych.

— Tak — odrzekł Kuku Piotr, śmiejąc się — lecz głupcy nowego rodzaju rzadko się trafiają i takim zawsze dobrze. Dzieje się z nimi to samo, co z baranami o sześciu nogach: żywią ich dobrze, pokazują za pieniądze i przy nich strzygą innych. Ja chciałbym bardzo mieć третią nogę na plecach... zbieganoby się z końca świata, by mnie widzieć.

Tymczasem z garnka buchała para i przyjemny zapach rozchodził się na wszystkie strony. Zbliżono się do ognia, a Nachtigall, wymywszy czarę w sąsiednim źródle, podała ją skrzypkowi. Lecz ten od-

mówił przyjęcia, mówiąc, że jadł zanadto dobry obiad, by teraz pić rosół z marchwi. Mateusz wycofał się z koła i powiedział, że mu się chce spać. Kawalki czerstwego chleba, pływające w czystej wodzie, nie wzbudzały w nim apetytu.

Noc była ciemna. Kuku Piotr zapalił fajkę i przyglądał się cyganom, jedzącym z apetytem, czarka przechodziła z ręki do ręki, każdy z niej pił pokolei.

Doktor wyciągnął się pod krzakiem. Długo pocziwiec wodził oczami po ciemnej dolinie, nadstawiał ucha na daleki szum wody, który zdawał się ustawać chwilowo, później znów zwiększał się, podobny do szumu wiatru przed burzą. Dolina odpowiadała temu uroczystemu głosowi, liście drzew poruszały się, ptaki świergotały, a jodły kołysały swe czarne wierzchołki.

Naraz, jeden z młodych cyganów zaśpiewał piosnkę góralską, zaczynając się od słów:

„W drogę, cyganie, w drogę...”

Głos dziecka ginał w dolinie, echo odpowiadało gdzieś daleko, daleko, coraz słabszym tonem. Kilka kobiet, przyłączywszy się do dziecka, zasiadło przy ogniu z rękami, założonemi na kolana, śpiewając chórem, później i mężczyźni przyłączyli się do śpiewu, który ożywiał się coraz bardziej.

Nieznacznie głowa Mateusza pochyliła się, wyciągnął się na mchu i zasnął twardo.

## XVII

Nazajutrz Franciszek Mateusz obudził się bardzo wcześnie. Spadła obfita rosa i powoli zwilżyła jego surdut. Powietrze było spokojne, dolina zamglona.



Cyganie przygotowywali się już do dalszej drogi, pakowali kociołki, trąby, rogi myśliwskie na wózek, kobiety brały na plecy worki, w które włożyły dzieci. Stłumiony szmer rosy, spadającej kroplami na liście drzew, przerywał tylko ciszę lasu.

Kuku Piotr, przemokły, jak kura, siedział przy ogniu, przykrywał kartofle gorącym popiołem i zdawał się być w usposobieniu melancholijnem.

— No — odezwał się do niego Pfifer Karol — jeżeli chcesz iść z nami, to się zabieraj, decyduj się!

— Nie, nie pójdę, muszę iść nauczać do Sawerny.

— Kiedy tak, to dobrego powodzenia, kolego, życzę ci szczęścia!

Nachtigall przysła także pożegnać go ściśnięciem ręki i banda ruszyła w drogę. Cyganie oddalali się powoli, blade światło pokazało się na widnokręgu, deszcz kroił, lecz, pomimo to, cyganie byli weseli — słychać ich było zdaleka, śmiejących się i rozmawiających.

— Szczęśliwej drogi! — krzyknął za nimi Kuku Piotr!

Niektórzy odwrócili się, machając kapeluszami, i wkrótce znikli w lesie.

Kuku Piotr dopiero teraz spostrzegł naszego filozofa, zziębniętego, pod szerokimi skrzydłami kapelusza.

— Hej! mistrzul — zawołał — błogosławieństwo wielkiego Demiurgosa umacnia nas w mądrości, piękności i sile.

— Tak, mój synu — odpowiedział Mateusz — każdy dzień dodaje więcej blasku i zasług naszemu szczytnemu przedsięwzięciu.

A słowa te powiedział tonem, tak słodkim i pełnym przekonania, że te aż Kuku Piotra wzruszyły.

— Panie doktorze, chodź pan i spróbuj moich kartofli, upiekłem je, jak kasztany.

— Z chęcią — odrzekł poczwiec i zasiadł obok swego ucznia.

— Cyganie to bardzo dobrzy ludzie — ciągnął dalej, wzięwszy kartofel — nie myślą o zbieraniu marnych bogactw i żyją z dnia na dzień, jak ptactwo niebieskie, przekładając swobodę nad wszystkie dobra świata. Czy uważałeś, mój przyjacielu, z jak filozoficzną wesołością jedli wczoraj zupeę z marchwi? Ich istnienie nie jest rzeczywiście tak nieprzyjemnem, jakby się zdawało!

— Masz pan słuszność, panie doktorze — rzekł na to Kuku Piotr — w roku zeszłym, z tą samą bandą cyganów podróżowałem przez trzy miesiące, wygrywaliśmy walce po wszystkich jarmarkach w całej Alzacji, sypialiśmy czasami w stodole, ale najczęściej na otwartem powietrzu, jednakże nie żyliśmy buczyzną ani jodłowemi korzonkami, jak wiewiórki, lecz mieliśmy zawsze pod dostatkiem jaj, kielbas i słoniny!

— Któż wam dawał te rzeczy?

— Ehl — odrzekł grajek, śmiejąc się — gdyśmy grali na jednym końcu wsi i wszystkie kobiety zbiegały się na taniec, Nachtigall, Czarna-Sroka i dwie lub trzy inne cyganki, przechodziły poza ogrodami na drugi koniec wioski, wchodziły do chałup, jeżeli zastały kogo, plotły, co im ślina na język przyniosła, a jeżeli nikogo nie było w chałupie, zbierały przedzę, słoninę, masło, ser, jaja, chleb, słowem wypróżniały szafy, napełniały tem swoje kieszenie, bo w swych sukniach mają zawsze kilka dużych kieszeń, i uciekały



do lasu... Ach! panie doktorze! — dodał rozweselony apostoł — trzeba było widzieć miny wieśniaczek, gdy wróciły do domu... cha! cha! cha! co za miny!... co za miny!... a co za smarowanie odbierały od mężów! cha! cha! cha!

— Ty się śmiesz, nieszczęśliwy! lecz czy wiesz, żeście prowadzili życie zbrodnicze?

— El cóż mnie to dotyczy, panie doktorze? ja zajmowałem się muzyką, gdyby nawet złapano cyganki, do mnie nikt nie mógł się przyczepić.

— Lecz jadleś owoce ich występku! czyż jesteś pozbawiony poczucia sprawiedliwości?

— Ale, owszem, porzuciłem właśnie bandę, bo mi sumienie robiło wyrzuty; za każdym razem, gdym jadł rzeczy kradzione, jakiś głos zewnętrzny szeptał mi: — „Strzeż się, Kuku Piotrze! strzeż się! możesz być aresztowany, jako złodziej, i wsadzą cię do kozy”. Z powodu tego głosu posmutniałem i zdawało mi się ciągle, że żandarmi idą za mną. Pora jarmarków skończyła się, nastala zima. Jednego poranku spadł śnieg, wziąłem skrzypce pod pachę i, pomimo namawiań Pfifer Karola, Nachtigall i całej bandy, powróciłem do Sawerny.

Mateusz nic na to nie odpowiedział, lecz cofnął swój szacunek dla cyganów, wyrzucał sobie nawet, że jadł ich kartofle.

Tymczasem słońce weszło i oświeciło góry, czas było wyruszać w drogę. Mateusz siadł na Brunona, Kuku Piotr wziął konia za cugle i skierował ku górze, pragnąc wyjść ze mgły, zalegającej całą dolinę.

Ptaki wesoło świergotały. W miarę, jak się rozwidniało, powietrze robiło się zimniejsze, więcej przejmujące. Odszukali ścieżkę, prowadzącą do Sawerny,

I Franciszek Mateusz, wprowadzony tem w lepszy humor, powińszował swemu uczniowi, że opuścił cyganów.

— Widzisz, mój przyjacielu, do czego mogą nas doprowadzić nasze namiętności! Za kilka kielbas mogłeś zgubić swą nieśmiertelną duszę! Pamiętaj, że człowiek ma trzy siły w sobie: zmysłowość, egoizm i sumienie. Nie zapominaj nigdy o swych obowiązkach, a staniesz się wzorem cnót.

— Ehl — zawołał Kuku Piotr — po lekcjach psychologicznych w Oberbronn i braku dobrego jedzenia, jakże, u diabła, można nie być cnotliwym? Co do głodu i kijów... dzięki Bogu nie możemy się żalić... tych rzeczy mieliśmy poddostatkiem.

Mateusz serdecznie rozśmiał się z takiej odpowiedzi i dodał:

— Rzeczywiście, Kuku Piotrze, rzeczywiście... grzeszyliśmy, żaląc się, bo wszystkie przykrości, jakie nas spotykają, służą nam do udoskonalenia moralnego.

— Tak, mistrzu! lecz, doskonaląc się zapomocą głodu, narażamy się na zepsucie żołądka i jakoś człowiek traci dobry humor.

Tak gwarząc, weszli w las. Pałące promienie słońca przedzierały się przez liście i podczas gdy Brunon szedł powoli ścieżką, pokrytą mchem, Kuku Piotr zbierał dojrzałe jagody, których było pełno, usta miał poczerwiałe i wesoło gwizdał, odpowiadając ptakom.

Do dziewiątej godziny wszystko szło dobrze, lecz gdy przyszło wdzierać się na stromy Dagsberg, a upał dzienny wzmagał się, Mateusza opanował nieprzewyżczony smutek. Nie spotkano żywej duszy, ciągle słychać było tylko poważny szum jodeł, a na rozległych pastwiskach w dolinie rozległ się dzwonek jałówki



lub oddalony śpiew pastucha, który to łagodniał, to nabierał ostrego tonu, przedłużając się w echach, odbitych od gór. Wszystko to przypominało doktorowi Graufthal, starą Martę, nieobecnych przyjaciół... i głębokie westchnienia wznosiły pierś filozofa. Nawet Kuku Piotr, wbrew swemu zwyczajowi, zamyślił się, a Brunon zwiesił głowę melancholijnie, jakby żałował lepszych czasów.

Nieraz musieli odpoczywać i dopiero koło piątej wieczorem doszli do doliny Zorn u stóp Haut-Barr. Widok się odślonił: nad sobą ujrzeli wijącą się drogę do Lotaryngji, długi szereg wozów, wieśniaków i wieśniaczek z koszami, pełnemi jarzyn, wstępował na górę, trzaskanie biczów i odgłosy dzwonek ożywiały okolicę i zdawały się zapowiadać bliskie miasteczko. I rzeczywiście na końcu doliny ujrzeli Savernę, miasto, sławne z bułek, kielbas i musującego piwa. Brunon, poczuwszy blisko dach, biegł galopem, do zwolnienia zmusił go Mateusz dopiero przy pierwszych domach.

— Oto nareszcie — rzekł — kres naszej dzisiejszej drogi i zmęczenia... przeznaczenie spełni się!

Mędrzec i jego uczeń weszli dumnie w starą ulicę des Tanneurs. W oknach pokazywały się twarze stare i młode, w czepkach, kapeluszach i szlafmycach. Każdy patrzył na nich z ciekawością, członkowie re-sursy wyszli na balkon z bilardowemi kijami lub gazetami w rękę, dzieci, wychodzące ze szkoły, biegły za nimi z tekami pod pachą, gęsi nawet, spacerujące po ulicy i gawędzące między sobą, na widok mędrca, krzyknęły triumfalnie i uciekły aż na plac Licorne.

— Widzisz, Kuku Piotrze — rzekł myśliciel — jakie wrażenie zrobiliśmy naszym przybyciem; wszędzie

jesteśmy przyjmowani z uniesieniem. Gdyby tylko pastor zechciał nam pożyczyć kościoła na jeden lub dwa dni, możemy być pewni, że oświecimy całe miasto. Rzucilibyśmy wtedy nasze kwestje i wezwali do dysputy każdego, ktoby zechciał. Ja, z wysokości mównicy, gromiłbym, jak piorun, wyrzucałbym błędy wieku, przejąłbym zbawiennym strachem niedowiar-ków, sofistów, a najwięcej obojętnych, ten trąd społeczeństwa, istoty bez wiary i prawa, nie myślące o niczem, w nic nie wierzące i wątpiące nawet o własnem sumieniu. O! plemię nieczystel raso ja-szczurcza, oddana zmysłowości, drżałabyś ze strachu! Tak, drżałabyś, słysząc Franciszka Mateusza, przemawiającego z prawdziwym ogniem! Strachby cię przejął i padłabyś na kolana! Lecz Franciszek Mateusz nie jest okrutny i, byleście uznali przemianę ciał i przechodzenie dusz, byle tylko wiara w moją naukę wstąpiła do waszych zwiedłych serc, wszystko zostanie wam przebaczone!...

Pomimo egzaltacji, doktor zwracał uwagę na wszystko, co się działo dokoła niego. Widok prawników, przechadzających się w czarnych sukniach przed trybunałem, wprowadził go w zadumę, a gdy na placu Licorne zobaczył policjanta w wielkim trójgraniastym kapeluszu, z laską pod pachą, powiódł za nim oczami, uczuł, budzącą się w sobie, zajęczą naturę i przypomniał sobie, że nie ma paszportu. Szczęściem dojechali do ulicy kapucynów i znaleźli się przed probostwem.

— Stać! — zawołał Kuku Piotr — oto nasza oberża!

— Chwała Bogu! — odrzekł Mateusz — bo też ujechaliśmy dziś kawał drogi.

Zsiadł z konia, a Kuku Piotr bez ceremonji zaprowadził Brunona do stajni.



W tej samej chwili z domu dał się słyszeć głos pastora Schweitzera.

— Dwanaście dukatów! — mówił — dwanaście dukatów! Chybaś głowę stracił, Salomonie, chuda krowa i niemleczna!

— Daję mi tyle, panie Schweitzer.

— No! to bierz! dziękuję ci, że mi dajesz pierwszeństwo.

— Czy pan pastor handluje bydłem? — zapytał Mateusz.

— On wszystkiem handluje — odpowiedział Kuku Piotr, uśmiechając się — to dzielny człowiek! zobaczysz pan.

Weszli do sieni, rozmowa pomiędzy pastorem i żydem ożywiła się.

— Niech różnica idzie na połowę — mówił jeden.

— Żartujesz chyba ze mnie! — wołał drugi — gdzieś dukatów, ani szeląga więcej.

Kuku Piotr stanął na progu, a Mateusz, patrząc przez ramię swego ucznia, ujrzał wysoką staroświecką salę, ozdobioną dębowymi meblami i lamperjami, ogromnymi szafami i ciężkimi stołami. Widok ten rozweselał serce, bo na pierwsze wejście zaraz coś mówiło: „Tu jedzą dobrze, piją dobrze, śpią dobrze! Błogosławieństwo Pańskie spoczywa na ludziach dobrej woli.“

Człowiek niski, ale gruby i tłusty, siedział w fotelu, obitym skórą, dobry humor malował się na rumianej twarzy, a brzuch zaczynał się zaraz od szyi i sięgał do nóg. Przy nim stał drab, w bluzie, ściągniętej na biodrach, z haczykowatym nosem i czerwonymi, jak ogień, włosami.

— Upadam do nóg pana pastora! — zawołał grajek.

Niski - człowiek obejrzał się i wybuchnął grubym śmiechem.

— Kuku Piotrze!—zawołał—cha! cha! cha! Skądżeś się wziął? skąd przybywasz?

I, odsunawszy fotel, wyciągnął grube ręce, jakby chciał Kuku Piotra przycisnąć do swego brzucha. Było w tem coś rozrzewniającego: z wyciągniętymi szyjami wyglądali oba, jak dwa jajka wielkanocne, chcące się pocałować: Mateusz, świadek ich wysileń, miał łzy w oczach. Nareszcie, widząc, że nie mogą dokazać czego chcieli, zaprzestali wysileń, a grajek, obróciwszy się do Mateusza, rzekł:

— Panie pastorze! przyprawiam panu sławnego doktora Mateusza, najlepszego człowieka na świecie i największego filozofa, jaki kiedykolwiek istniał!

— Witam, witam, panie!—mówił pastor, ściskając rękę mędrca—proszę siadać... z serca rad jestem, że pana mogę poznać.

Odprawił żyda i pobiegł do kuchni, krzycząc:

— Małgosiu! Małgosiu! Kuku Piotr przyszedł!

Małgosia, która przygotowywała wieczerzę, pokazała się we drzwiach sali, troje czy czworo dzieci kręciło się koło niej, krzycząc, płacząc i wołając chleba.

— Dzieńdobry, Małgosiu!—rzekł Kuku Piotr, całując żonę w oba policzki—jakże się masz, moja Małgosiu?

— Dobrze, niewdzięczniku, dobrze—odpowiedziała napół śmiejąc się, napół serjo—wracasz, bo pewno nie masz szeląga przy duszy!

— No! no! Małgosiu, bądź rozsądną, przechodzę tylko tędy... co ci z tego przyjdzie, że mi zatrujesz życie?



Dzieci przyczepiły się do kamizelki Kuku Piotra, a pastor zacierał ręce radośnie.

Gdy Kuku Piotr uściskał swą żonę, która trochę utyla, i ucałował dzieci, biorąc jedno po drugim na ręce i mówiąc każdemu z nich do ucha, że zaraz przyniosą pudełko z różnemi cackami dla niego, Małgosia wróciła do kuchni, a skrzypek zasiadł, wraz z pastorem i doktorem, przy butelce starego volxheimu.

Cały dom przybrał jakiś pozór świąteczny: dzieci śpiewały i co chwila wybiegały na ulicę, aby zobaczyć czy nie niosą pudełek, kury, którym Małgosia podrzynała gardła, krzyczały przeraźliwie, Kuku Piotr opowiadał o swoich dalekich wędrówkach, o spodziewnym tytule wielkiego rabina i projektach na przyszłość, wielki filozof podziwiał sam siebie w cudownych historjach skrzypka, szklanki napelniały się i wypróżniały szybko, a duży brzuch Schweitzera kołysał się radośnie przy opowiadaniach przygód dawnego towarzysza.

— Chał chał chał dobry żart!—wołał—ty mi się nigdy nie odmienisz, nigdy! ty najlepiej umiesz mnie rozweselić.

Zaczęło się zmierzchać, salę ogarniała coraz większa ciemność, gdy Małgosia wniosła światło i zaczęła nakrywać do wieczery. Kuku Piotr patrzył na nią ciągle, nigdy nie wydawała mu się tak świeżą, pulchną, wdzięczną, dziwił się, że dotąd nie spostrzegł wszystkich wdzięków swej żony, i zerwawszy się nagle, jakby uniesiony zapałem, wziął ją wpół i zaczął tańczyć, wołając:

— Hopsał hopsał Małgosiul hopsasał

— Nie bądźże warjatem—mówiła żona—daj pokój!

Lecz grajek nie słuchał jej i walcował ciągle, powtarzając:

— Hopsal Małgosiul hopsal hopsal hopsasal

Na zakończenie pocałował ją w szyję i powiedział:

— Ty zawsze jesteś moją, Małgosiu, najukochańszą, jaką kiedykolwiek znałem w życiu.

Potem usiadł na swoim miejscu, założył nogę na nogę i zdawał się uszczęśliwiony tem, co zrobił.

Dzieci wróciły, wołając:

— Kuku Piotrze... pudełek nie przyniosła!

— Czy tak?... to mnie dziwi... mocno dziwi... no, ale bądźcie spokojne... przyniosą je... przyniosą!

Obietnica nie uspokoiła ich, dokonały tego dopiero smażone jabłka, paszteciki i ciastka, które Małgosia postawiła na stole. Nim Mateusz i Kuku Piotr zajęli swoje miejsca, dzieci z serwetami, zawiązanymi pod szyją, już siedziały przy stole, a gdy pastor odmówił dziękczynną modlitwę za tyle wybornych rzeczy, danych przez Stwórcę dla jego dzieci, wszystkie naraz zawołały:— „Amen!”

Wieczera odbyła się wesoło. Wszyscy byli przy dobrym apetycie, Małgosia zajmowała się dziećmi, Kuku Piotr napełniał kieliszki i wznosił naprzemiennie zdrowie to swego mistrza, to pastora. Mędrzec rozmyślał o przechodzeniu dusz, a pastor z czułością i pochwałami mówił o swoim potomstwie; Ferdzio będzie księdzem, on lubi tylko Biblię, to dziecko jest bardzo obiecujące; Wiluś ma usposobienie do handlu, a Ludwik powinien zostać jenerałem, bo od rana do wieczora gra na piszczalce. Mateusz nie chciał zbijać opinii pastora, lecz po-



myślał sobie, że wszystkie jego dzieci należą do familji tłuścieli, ptaków morskich, odznaczających się krótkimi skrzydłami, dużemi brzuchami i żarłocznością.

Nasz filozof z zadowoleniem widział, że jego uwagi sprawdzają się, gdy podano deser; dzieci rzuciły się na śmietaną, ciastka i owoce i pożerały z chciwością. Ferdzio gryzł orzechy, Wiluś napychał kieszenie roźdzynkami, a mały Ludwik wypijał wino z kieliszka Małgosi, ile razy ta odwróciła się do Kuku Piotra.

Przy końcu uczty, pastor kazał sobie podać tytuń i, słuchając Mateusza, który go prosił o pozwolenie ogłoszenia swej doktryny w jego kościele, nałożył fajkę i zapalił, a odsunawszy się nieco od stołu, wraz z fotelem, puścił kilka kłębów dymu i rzekł:

— Znakomity myślicielu! opanował cię zapach filozoficzny, prawdziwie mogący wzruszyć człowieka, i byłoby to dla mnie wielką przyjemnością, gdybym ci mógł zrobić przysługę, ale o kościele niema nawet co myśleć: ja sam nie mogę się oprzeć sile wymowy pańskiej, nie można więc narażać na zbyt niebezpieczne rzeczy słabych ludzi, ale, dzięki Bogu, mamy tu w Sawernie kasyno, czyli miejsce, gdzie zbiera się wyborowe towarzystwo. Znajdziesz pan tam adwokatów, sędziów, prokuratorów, ludzi uczonych, którzy z chęcią będą go słuchać i skorzystają z jego światła. Jeżeli pan chcesz...

— Panie pastorze — przerwał Mateusz, wstając od stołu — istność istności natchnęła pana myślą zaprowadzenia mnie do kasyna. Niema chwili do stracenia; zbyt już długo ludzkość jęczy w zwątpieniu i niepewności!

— Trochę cierpliwości, zacny filozofie — odrzekł

pastor. — Najpierw nie będzie nic zdrożnego, gdy pan sobie buty oczyścisz; wiem o tem dobrze, że wyższe umysły nie zwracają uwagi na takie drobnostki, lecz wyszuwaksowane buty nie mogą przeszkadzać wymowie, a oprócz tego Małgosia oczyści pański surdut, dla zastosowania się do przyzwoitości krasomówczej, zalecanej przez Cycerona. Ja przez ten czas skończę fajkę i pójdziemy w imię Boże!

Te słuszne uwagi powstrzymały zapal Mateusza, Kuku Piotr podał mu szlafrok i pantofle pastora, a Małgosia wzięła się do czyszczenia butów i bronzowego surduta; sam filozof zasiadł przed zwierciadłem i ogolił się, tak, jak to miał zwyczaj robić w Graufthal, nareszcie, włożywszy w sąsiednim pokoju świeżą koszulę i ubrawszy się, wyszedł, wraz z pastorem, do kasyna.

Kuku Piotr, który został przy Małgosi, odprowadził ich ze świecą w rękę aż do drzwi, wychodzących na ulicę, życząc przy rozstawaniu wszelkich pomyślności.

## XVII

Franciszek Mateusz, przechodząc starożytną ulicą Kapucynów, doświadczał prawdziwej przyjemności ze zmiany bielizny i ogolenia się, w myśli miał mnóstwo niezbitych argumentów, a księżyc szedł przed nim, wskazując mu drogę do kasyna.

Cichy szmer zwiastował, że kapliczka św. Jana była pełna pobożnych, żaden inny hałas nie rozlegał się na ulicy, wszystkie kobiety były w kościele, a mężczyźni w szynku.

Doktor i pastor jakiś czas szli w milczeniu, na-



pawając się świeżem powietrzem wieczornem, którem tak przyjemnie oddychać po dobrej uczcie, przyglądali się światłom, pokazującym się i niknącym we drzwiach domów, latarkom, błędzącym w ciemności, ceniom, ukazującym się na szybach okien oświeconych, i wogóle zjawiskom nocnym, pełnym tajemniczości i nieokreślonego uroku. Lecz wkrótce nasz filozof, uniesiony antroppo-zoologicznemi uwagami, zaczął przyspieszać kroku.

— Chwilkę, kochany panie! — wołał pastor — choć chwilkę!... dozwól mi odpocząć dla złapania tchu, biegнеш pan, jak zając!

— Czy całe towarzystwo już zastaniemy zebrane? — pytał Mateusz.

— Jeszcze nie... jeszcze nie... nie mamy się co śpieszyć. Coby powiedziano, gdyby sędziowie, adwokaci, prokuratorzy, bawili się w jasny dzień? Byłoby to nieprzyzwoicie! trzeba czekać, aż piwiarnie się opróżnią, trzeba z siebie dawać dobry przykład!

Tak mówił pastor, co wcale nie przeszkadzało Mateuszowi do suwania w pośpiechu swemi długimi nogami i mruczenia pod nosem: — „Odwagi, Franciszku, nie słuchaj rad fałszywego rozsądku i nikczemnej miłości spoczynku; zawady, stawiane przez sofistów, nie zdołają zaćmić twojej inteligencji, ani zwolnić twego triumfalnego pochodu“.

Pastor śmiał się z jego niecierpliwości.

— Gdzie pan biegнеш, kochany panie? — wołał, stanawszy we drzwiach kasyna — czy pan nie widzisz gdzie jesteśmy?

Mateusz spojrział i zobaczył wielkie okna, błyszczące w ciemności, a w nich cienie osób na firankach.

— Więc to tu — pomyślał sobie — ma się spełnić odrodzenie ludzkości!

Ta myśl rozrzewniała go, lecz jego wzruszenie wzrosło jeszcze, gdy, po otwarciu drzwi przez pastora, ujrzał obszerną salę, wspaniale oświetloną. Wielki świat już się tam znajdował. Czytano dzienniki, notariusz Kreutzer grał w pikietę z adwokatem Swiebel, szlachetny baron Pipelnaz, rozwalony w fotelu, rozprawiał poważnie o interesach krajowych, a młody sekretarz Papler rozmawiał, śmiejąc się, z piękną Olimpią, panną bufetową. Wszystko to przedstawiało pyszny widok, jakiego Mateusz od bardzo dawnych lat nie widział, a gdy przechodził koło wielkiego zwierciadła i ujrzał w niem siebie, stojącego na środku sali w długim surducie, wielkiej kamizelce i krótkich spodnich, wdzięczny był pastrowi, że go namówił do wyczyszczenia butów i surduta.

Członkowie kasyna patrzyli z uśmiechem na naszego mędrca, wzięli go za wieśniaka z górnej Alzacji, zabłąkanego w wyższe sfery towarzystwa, lecz gdy Schweitzer kazał dać dwie szklanki piwa, pomyśleli, że to musi być także jakiś pastor wiejski, i każdy wrócił do swego zatrudnienia.

— Ile pan masz punktów, panie Swiebel? — zapytał notariusz.

— Czterdzieści siedm.

— To naniel ja mam pięćdziesiąt... trzy króle... trzy damy...

Piękna Olimpija zadzwoniła i podano piwo na lakierowanej tacy, ozdobionej świetnem malowidłem.

Łatwo sobie wyobrazić, jak taka okazałość oddziaływała na Mateusza: globy kryształowe osłaniały lampy, a krzesła były pokryte pluszem, miękkim, jak wełna



młodego jagnięcia. To też, pomimo swoich niewzruszonych przekonań, mędrzec nie mógł przewyciężyć w sobie pewnego rodzaju nieśmiałości, jakiej doznają ci, którzy niespodzianie znajdują się wobec wielkości tego świata.

— No, znakomity myślicielu, czy mam zaraz oznajmić, że chcesz mieć mowę?—zapytał go wesół pastor.

— Zaczekaj, pan — odpowiedział Mateusz pocichu, a na jego szanowne oblicze wystąpił rumieniec — zaczekaj, pan, niech cokolwiek zbiorę myśli, by godnie wystąpić.

— Do licha! już nie czas przygotowywać się! Jeżeli pan pozwolisz, przeczytam ten dziennik, a jak pan będziesz gotów, powiedz mi.

Mateusz kiwnął głową na znak zgody i wyjął z kieszeni surduta notaty antropo-zoologiczne.

Naszemu filozofowi nie brakowało przezorności, a nawet lękliwa natura jego protoplasty, zajmąca, w swych ciągłych przekształceniach, przyzwyczaiła go do nastawiania uszów i można powiedzieć, że w trudniejszych okolicznościach spał, jak to mówią, z otwartymi oczami. Otóż i teraz, przeglądając swe notaty, uważał bacznie, co się działo w sali, i słuchał uważnie, co mówiono na prawo i na lewo.

Co chwila przybywały nowe figury: to poborca podatków Stoffel z podwójnym łańcuchem złotym i bręlokami, to aptekarz Hospes, którego ryczący głos rozlegał się już w sieni, to nadleśny Seypel, zahaftowany srebrem na wszystkich szwach.

Wszyscy ci panowie zatrzymywali się chwilę przy bufecie, wdzięczyli do Olimpij, która z uśmiechem i gracją odpowiadała na komplementa, następnie każdy siadał i brał dziennik do ręki.

Rozmowa ożywiła się. Mówiono o balu, który miała dać pani podprefektowa, wymieniano zaproszone osoby, spodziewano się, że będzie bardzo świetny, gdyż zamówiono pasztety ze Strasburga, a nadlesny uśmiechał się złośliwie. Gdy go pytano o kuropatwy, jarzabki i inną zwierzynę, wykręcał się, nie mówiąc ani tak, ani nie.

Nastąpiły zwierzenia się, wydobywano z kieszeni bilety zapraszające: „Ahl jesteś pan zaproszony?... to mnie cieszył — i pan także?” Winszowano sobie.

Oznajmienie przez barona Pipelnaz o bliskim przybyciu prefekta podniosło do zenitu zadowolenie zaproszonych. Domysłano się tajemnych związków pomiędzy przybyciem prefekta i balem pani podprefektowej. Bezwątpienia prefekt będzie na balu zaproszeni spoglądali na siebie radośnie. Być razem z prefektem! Jeść z nim przy jednym stole! co za szczęście!

Ci, którzy jeszcze nie otrzymali zaproszeń, grali zapamiętane, jakby nic nie słyszeli, krzycząc: „Trzy króle! czternaście asów!” Pastor spoważniał, czytał dziennik z wyteżoną uwagą, lecz nie mógł ukryć swego nieukontentowania, które łatwo było wyczytać z jego twarzy — żałowano go szczerze.

— O wielki Demiurgosiel! — myślał nasz filozof — jak można zajmować się podobnemi bagatelami, zamiast myśleć o przekształcaniu ciał i przechodzeniu dusz?

Przejęty głębokiem politowaniem, chciał zaraz rozpocząć wykład swej nauki, lecz pomyślał, że lepiej będzie dać czas tym ludziom do uspokojenia się.

Wszyscy, należący do rozmowy, utworzyli jedno koło, pito poncz i wino grzane, mówiono tylko o wdziękach pani podprefektowej, jej nieporównanej godności i jej doskonałych kolacjach. Szlachetny baron Pipel-



naz, mer miasta, rozprawiał o przyjęciu, jakieby należało urządzić dla pana prefekta. Od lat dwudziestu baron przyjmował go zawsze ukłonem u drzwi merostwa, lecz w terażniejszych okolicznościach proponował, by wyjść w wielkich mundurach na jego spotkanie, a nawet brał sam na siebie ciężar powiedzenia powitalnej mowy.

Przybycie prokuratora Kitzig przerwało te miłe rozmowy; był to dawny kolega pastora Schweitzera z uniwersytetu strasburskiego i co wieczór grali z sobą partję bezika. Wielki świat szydził pocichu z ordynarnych manier prokuratora, który nie umiał zachować się stosownie do stanowiska i rozmawiał poufale z pierwszym lepszym, jednakże przymilano mu się, bo zajmował wysokie stanowisko w Sawernie, zresztą któż mógł być pewnym, że nigdy nie będzie potrzebował prokuratora?

Uśmiechano się więc do niego, a prokurator odpowiadał na to skinieniem głowy i słówkiem, nic nieznaczącem.

— Jesteś zbyt łaskaw, panie prokuratorze! Uszczęśliwisz mnie, panie prokuratorze! — wołano zewsząd.

— Cha! cha! cha! co za komedje! — szeptał pastor do ucha Mateuszowi — co za komedje! czy widziałeś pan kiedy coś podobnego w Graufthal?

— Lecz myśliciel nie odpowiadał: w panu Kitzig rozpoznał rasę psią, dla której rasa zajęcza czuje jakiś szczególny szacunek.

Po kilku chwilach prokurator przystąpił do Schweitzera, podał mu rękę i ukłonił się Mateuszowi.

— No, cóż, Karolu? — odezwał się, siadając — zrobimy dziś partyjkę? mam wielką chęć na nią.

— Jestem gotów, Michale.

— Wystaw sobie! — ciągnął dalej prokurator — że od piątej przesłuchiwałem świadków i Bóg wie, czy nie będziemy ich mieli więcej, a zwłaszcza lepszych, z jarmarku!

— Z jarmarku w Haslach? — zapytał pastor, spojrzawszy na Mateusza.

— Tak, ładne rzeczy tam się robią! dwóch włóczęgów podburzyło lud swemi przemowami. Atakowano prawo, moralność, religję, a nawet robiono cuda! to sprawa kryminalna!

— A gdyby wpadli w ręce sprawiedliwości?

— Skazałbym ich przynajmniej na dwadzieścia lat galii — odpowiedział Kitzig, zażywając tabakę — lecz niech ich tam!... proszę o karty i tabliczkę!

Nigdy jeszcze nasz mędrzec nie znajdował się w tak strasznym położeniu. Z początku przyszło mu do głowy zadenuncjować się samemu i dowieść swojej doktryny jawnie, lecz na samą myśl włosy mu stanęły na głowie, spojrzał na drzwi i pozostał nieruchomy.

Pastor także jakoś stracił rezon, jednakże zebrał się z myślami i powiedział do prokuratora:

— Przedstawiam ci pana doktora Mateusza z Graufthalu, który przyjechał z Nidecku.

— Al — zawołał prokurator, tasując karty — przybywasz pan z Nidecku! toś pan zapewno przejeżdżał przez Haslach?

Filozof myślał, że upadnie na te słowa, szczęściem jego język sam poruszył się i wymówił:

— Nie, panie prokuratorze, jechałem przez góry.

— Al jaka szkoda!... mielibyśmy od pana dobre objaśnienia — rzekł Kitzig, rozdając karty. — Rozpoczęli partję.



W jakże dziwnem położeniu był nasz mędrzec w chwili, gdy spodziewał się pozyskać wieniec oratorski i dać poznać światu swój system filozoficzny, został zmuszony do milczenia, zaparcia się swej doktryny i ukrywania się, jak winowajca. Bo im więcej myślał o denuncjowaniu się, tem więcej jego przyrodzony instynkt opierał się temu. Żołądek mu się kurczył i, przejęty boleścią, mówił sobie: „O biedny Franciszku Mateuszu! z jakiejże wysokości strącono cię!... Iść na galery w twoim wieku! biedny Franciszku! czemu zasłużyłeś na tak straszny los? czyż nie poświęciłeś swej spokojności i wszystkiego, co miałeś najdroższego na świecie, dla uszczęśliwienia rodu ludzkiego?” Serce jego płakało i wszystko w nim jęczało... a jednak nie miał odwagi zadenuncjować się... straszno mu było.

Gdy po pierwszej grze, Kitzig powiedział mu z roz-targnieniem, że koniecznie powinien był przejeżdżać przez Haslach, bo droga z Nideck idzie przez to miasto, Mateusz zaprzeczył mu powtórnie, tłumacząc się, że jechał na Schneeberg, a dla usprawiedliwienia swego kłamstwa opisywał drogę i piękności natury.

— Nałożyłeś pan spory kawał drogi — zauważył prokurator — i grał dalej z pastorem.

Od czasu do czasu, prokurator robił uwagi o trudności podróży przez góry i o niebezpieczeństwie ogłaszania nowych doktryn. Myśliciel drżał do szpiku kości.

Tak przeszedł wieczór, który miał zadecydować o sławie Franciszka Mateusza, postępie cywilizacji i szczęściu przyszłych pokoleń. Gdy wesołość wzrastała w towarzystwie, gdy szlachetny baron Pipelnaz nadymał się, a te wszystkie powszednie istoty koly-

sały się najpiękniejszymi nadziejami, nasz filozof, tak dobry, tak sprawiedliwy, tak dobroczynny, myślał tylko o ucieczce; chciał udać się do Ameryki i obdarzyć ją skarbami swej wiedzy.

— Tam — myślał sobie — wolno mieć własne zasady filozoficzne, bez obawy prokuratorów i żandar mów, tam każdy może robić tyle cudów, ile mu się spodobał

Północ wybiła i już wielu wyszło z kasyna, gdy Kitzig wstał i, patrząc na doktora, rzekł:

— Pan się chyba mylisz, kochany panie, musiałeś wjechać na drogę do Sawerny z tamtej strony Haslach i koniecznie przejeżdżałeś przez to miasteczko!

Wzruszenie zdradziłoby doktora, gdyby nie miał najpoczciwszej fizjognomji na świecie, ale ktoby się domyślił, że zacny Mateusz, doktor z Graufthalu, jest tym strasznym reformatorem, wielkim winowajcą, mającym zuchwały zamiar wstrząśnienia całego społeczeństwem? Taka myśl nie mogła przyjść nikomu do głowy. To też Kitzig uśmiechnął się tylko z jego przerażenia i, odchodząc, życzył dobrej nocy.

Pastor i doktor wyszli ostatni i, gdy już byli na ulicy, filozof, poznawszy swoją słabość, zaczął płakać. Pastor pocieszał go, jak mógł, lecz to nic nie skutkowało i, gdyby go Schweitzer nie podtrzymywał, nie uszedłby ani kroku, tak łkanie dusiło go i wstrząsało wszystkie jego członki.

## XIX

Wszyscy już spali, gdy Franciszek Mateusz i pastor wrócili do domu. Gospodarz zostawił filozofa na pro-



gu wielkiej sali, a sam wszedł do kuchni i w kilka minut wrócił ze światłem.

Po silnem wzruszeniu opanowała Mateusza martwa obojętność. Machinalnie poszedł za pastorem, który go zaprowadził na pierwsze piętro do małego pokoiku z oknami, wychodzącemi na podwórze plebanji. Pod oknami szumiały drzewa; łóżko było zasłane pościelą śnieżnej białości, a stare dębowe meble zdawały się, jak znajomi, witać przybywającego. Lecz nasz filozof, przejęty boleścią, nie zważał wcale na te szczegóły; usiadł, wzdychając głęboko.

— No! kochany panie — powiedział pastor — zapomnij o tych małych nieprzyjemnościach trudów filozoficznych, śpij dobrze, a jutro będziesz zdrow i wesół, jakgdybyś odniósł największe zwycięstwo.

Ścisnął za rękę Mateusza, postawił świecę na stoliku i powoli zeszedł ze schodów, by odpocząć po trudach.

Gdy kroki pastora umilkły i dom cały opanowała cisza, Mateusz, oparłszy się łokciami na stole i pochyliwszy głowę na ręce, zaczął wpatrywać się w gorejącą świecę, wielce zadumany; nie myślał o niczem, a jednak był bardzo smutny... smutny, jakby go wielki Demiurgos zupełnie opuścił.

Koło pierwszej godziny usłyszał dziecko, płaczące w sąsiednim domu, i matkę, usiłującą uspokoić je czułemi wyrazami. Słaby głosik dziecka i czuły głos matki wzruszyły serce poczcwiwa; łza zwilżyła mu oczy! Dziecko uspokoiło się, nastąpiła znów cisza i nasz mędrzec zasnął.

Gdy się przebudził, zaczynało świtać. Świeca spaliła się cała, tylko knot i resztki łożu buchały czerwonym płomieniem z dna lichtarza. Wtedy wypadki

z całej nocy stały mu przed oczami. Powstał i otworzył okno.

Ptaki świergotały już w ogrodzie. Kilku robotników, z rydlami na ramieniu, przechodziło koło sztachet ogrodu, rozmawiając, a ich głos, w tej rannej godzinie, rozlegał się z jednego końca ulicy na drugi. Mleczarki z gór, z cynowemi dzbanami w ręku, zasiadały na ulicy, a służące w spódniczkach, z gołemi rękami, kupowały mleko. Ci wszyscy ludzie wyglądali tak zdrowo, że przyjemnie było na nich patrzeć. Służące zatrzymywały się na pogadankę o chrzcinach, weselach, odejściu rekrutów, o tem, o owem. Nagle jedna z nich zawołała:

— Ach! mój Boże! ogień już rozpałałam od pół godziny, a stoję tu! Dowidzenia, panno Karolinol...

— Dowidzenia, panno Krystynol...

I rozchodziły się z żalem, że tak mało mówiły, obiecując sobie drugi raz wynagrodzić to.

Kupcy otwierali sklepy i rozkładali towary w oknach.

Na każdym kroku rozpoczynało się życie, a powietrze gór, świeże i czyste, napępniało piersi.

Mistrz, ożywiony wesołością ogólną, zaczynał radośniej patrzeć na wszystko. Dziwił się nawet dlaczego się przestraszył wczoraj prokuratora, bo zresztą nikt nie może zabronić nauczania doktryny, opartej na zasadach wysokiej moralności i zdrowej logiki. Nawet mało brakowało, że nie postanowił zadenuncjować się, ażeby zgubić swych przeciwników, lecz przyszło mu na myśl, że mogliby go zamknąć w więzieniu, a dopiero później roztrząsać jego doktrynę — i ta sprawiedliwa uwaga ochłodziła jego zapał. „Franciszkul — mówił sobie — opanowała cię zbyt wielka żarliwość filozoficzna. Pięknie to jest cierpieć prze-



śladowanie, a nawet męczeństwo dla prawdy, lecz do czego cię to doprowadzi? Jeżeli cię wsadzą do więzienia, kto będzie za ciebie nauczał ludzkość antropo-zoologii? Kuku Piotr, człowiek małej wiary i do tego skłonny do materializmu, niezdolny jest, bez kierownictwa, do wielkiego dzieła. Niemasz nic lepszego do zrobienia, jak uciekać stąd... rozsądek to nakazuje! a przede wszystkim, Franciszku, hamuj swoją zuchwałość! Prawdziwa odwaga polega na panowaniu nad namiętnościami!"

Nagadawszy sobie w ten sposób morałów, wielki filozof postanowił, nie tracąc chwili, wyjechać do Strasburga. Włożył kapelusz na głowę i wyszedł na korytarz. Gdy przechodził koło małego pokoiku przy schodach i wahał się, nie wiedząc, gdzie iść — na prawo czy na lewo, usłyszał swego ucznia, wołającego:

— Kto tam?

— To ja, mój przyjacielu!

— Al to pan, panie doktorze!

Mateusz usłyszał kogoś, wyskakującego z łóżka, i Kuku Piotr w koszuli pokazał się na progu.

— Cóż, u diabła wstałeś pan już, tak rano? — rzekł grajek.

— To nie bez przyczyny, mój bracie. Trzeba ci wiedzieć, że wczoraj w kasynie dowiedziałem się, że nas ścigają.

— Ścigają?! — zawołał Kuku Piotr, zsuwając szlafmycę na tył głowy — któż nas ściga?

— Żandarmi.

— Ale za co?

— Za wykładanie doktryny!

— Za wykładanie doktryny?! Al do licha!... chcą

się utrzymać przy swoich posadach, bo czują, że, jak nauczymy ludzi doktryny, my będziemy rabinami.

— Tak, mój przyjacielu! grożą nam galerami!

Kuku wytrzeszczył oczy i otworzył usta. Jednocześnie głos z głębi pokoju zawołał na niego:

— Uciekaj, Piotrzel na imię Boskiel uciekaj!

— Bądź spokojna, Małgosiu, bądź spokojna — odpowiedział skrzypek. Biedne kobiecisko, jak ona mnie kocha! Pojedziemy zaraz... Boże mój, Boże galery! Ah! łotry... Gdzie się udamy, mistrzu?

— Do Strasburga.

— Dobrze! jedźmy do Strasburga. Małgosiu, przygotuj nam śniadanie. Mistrzu, wróć do swego pokoju. Za pięć minut będę gotów.

Znakomity filozof wrócił do pokoju, gdzie wkrótce zjawił się Kuku Piotr, zapinając kamizelkę.

— Panie doktorze — powiedział — moja żona już jest w kuchni, ja idę osiedlać Brunonia i za małą godzinę ruszymy w drogę.

Mateusz zatrzymał go kilka minut i opowiedział, co się wczoraj stało. Kuku Piotr dowiedział się z przyjemnością, że są poszukiwani w okolicy Haslach.

— To dobrze — rzekł — to dobrze, możemy się nie śpieszyć. Możemy zjeść śniadanie spokojnie.

Później zeszli obaj do kuchni i zastali Małgosię, smażącą kotlety i grzejącą kawę. Filozof, pomimo dręczącego go niepokoju, zachwycony był tą ranną sceną. Ruchliwość żony jego ucznia, chodzącej, poprawiającej ogień, krzającą się, odwracającą kotlety, przywiodła mu na myśl pocziwą, starą Martę, która o tej godzinie tem samem bywała zajęta. Usiadł zamyślony naprzeciw ognia, a Kuku Piotr pobiegł podsypać obroku koniowi.



Światło dzienne rozpościerało się coraz więcej w kuchni, ogień trząsał, a myśliciel marzył o Graufthalu.

Po kwadransie wrócił Kuku Piotr, oznajmiając, że Brunon zajada z wielkim apetytem, potem, obróciwszy się do żony, powiedział:

— Małgosiul daj mi najlepszy nóż, jaki masz.

— Naco?—zapytała.

— Zobaczysz, zobaczysz zaraz.

Wziąwszy nóż, wlaź w komin, a schwyciwszy tam kielbasę, grubą, jak ręka, przerznął ją na dwoje; to samo zrobił z szynką i powiedział, uśmiechając się i z zadowoleniem:

— Mistrzu! jeżeli wypadnie nam przebywać w lasach, nie będziemy potrzebowali jeść żołądki.

— O! ty trzpiocie, nie umrzesz z głodu — powiedziała Małgosia — prędzej zostawisz ostatnie suknie.

— Jak ty mnie dobrzę znasz, Małgosiul ach! jak ty mnie znasz!—zawołał wesoło grajek, ściskając ją czule.

I wyszedł pakować swoje zapasy, a Małgosia odezwała się do Mateusza:

— Czy to prawda, panie doktorze, że pan chcesz mego męża zrobić wielkim rabinem od przechodzenia dusz? On mi tyle nagadał... że nie mogę mu wierzyć.

— Tak, moje dziecko, prawda — odpowiedział mędrzec — twój mąż, pomimo wesołego humoru i wrodzonej lekkości, ma dobre serce. Ja go kocham... i on po mnie odziedziczy kierownictwo dusz.

— Ja wiem—zawołała—że to jest dobry i poczciwy człowiek, ale tak lekki, tyle mi narobił kłopotów!... a jednak nie mogłam go przestać kochać!...

bo on ma dużo dobrych cech charakteru, tylko trzeba umieć radzić sobie z nim.

— Tak, tak, moje dziecko — mówił Mateusz, wzruszony naiwnością Małgosi — Kuku Piotr wsławi się, bo o nim będą mówić wieki.

Małgosia, dumna, że ma takiego męża, pobiegła nakryć stół w wielkiej sali, a gdy wrócił Kuku Piotr, zasiedli do śniadania, złożonego z kawy, chleba, masła i kotletów. Pastor, usłyszawszy szcęk talerzy i szklanek, przybył w negliżu, a widząc swych gości przy stole, wybuchnął głośnym śmiechem.

— Dzięki Bogu! — zawołał — jak uważam, już się pan uspokoił.

Doktor powiedział mu, że chce zaraz odjechać.

— Kochany panie — odrzekł pastor, siadając — przykro mi, że nie będziesz pan u mnie dłużej, lecz mogę tylko pochwalić pańską wysoką roztropność. Kitzig, prędzej lub później, odkryłby was tutaj i, pomimo przyjaźni, jaką ma dla mnie, nie mógłby was zasłonić od strasznej odpowiedzialności. Wypijmy za waszą pomyślność! Małgosiu! masz tu klucz od piwnicy, przynieś butelkę wolxheimu.

— Dobrze, panie pastorze.

Jedzono i pito z apetytem. Doktorowi żal było opuszczać tak pocziwych ludzi, lecz koło ósmej trzeba się było rozstać. Filozof uściskał pastora, Kuku Piotr żonę, która płakała za trzpiotem. Odprowadzono ich na podwórze, gdzie czekał Brunon. Pastor ścisnął serdecznie za rękę Mateusza, siedzącego na koniu, a Małgosia nie mogła się oderwać od szyi Kuku Piotra.

Nareszcie odjechali z błogosławieństwem i życzeniami szczęśliwej drogi.



Mędrzec i jego uczeń prędko przebyli miasto. Małe domki, rozrzucone na pochyłości góry, ciągnęły się jedno za drugim. Po kwadransie drogi znaleźli się w polu pomiędzy dwoma długimi rzędami drzew orzechowych. Jadąc, słuchali śpiewu ptaków i myśleli o poczciwym pastorze Schweitzerze, który ich tak gościnnie przyjął, i o Małgosi, płaczącej, gdy odjeżdżali.

Straciwszy z oczu zadymione dachy Sawerny i starą czworoboczną wieżę kościoła, Kuku Piotr odzyskał zwykłą wesołość, odchrząknął i zaśpiewał starą pieśń o hrabi Geroldsek; w głosie jego przebijało się coś melancholijnego, bo myślał o Małgosi. Brunon szedł krokiem równym, a Mateusz, słuchając starej pieśni, marzył o dawnych czasach.

Skończywszy ostatnią zwrotkę, Kuku Piotr odechnął i rzekł:

— Jakież to rozkoszne życie wiedli ci hrabiowie Geroldsek! Przebiegać góry, porywać dziewczyny, bić mężów, pić, śpiewać, ucztować od rana do wieczora... Boże mój, Boże! co za życie! Król żaden nie wart być ich krewnym!

— Bez wątpienia byli to możni panowie, ci hrabiowie Geroldsek — odrzekł Mateusz — ich posiadłości rozciągały się od hrabstwa Barr aż do Sungau i od Mundat aż do Bassigny w Szampanji. Najbogatsze klejnoty, najpiękniejsza broń, najokazalsze obicia zdobiły ich wspaniałe zamki w Alzacji i Lotaryngji, najkosztowniejsze wina zapełniały ich piwnice, liczne hufce zbrojne mieli pod swemi chorągwiami, przedpokoje zalegała mnoga szlachta, będąca na ich żołdzie, a mnisi żyli w poszanowaniu na ich zamkach.

Na nieszczęście, zamiast ćwiczyć się w cnotach antro-po-zoologicznych, ci magnaci rozbijali podróży-nych na wielkich drogach i istność istności, oburzona ich występkami, zepchnęła ich do rzędu zwierząt!

— Ach! — zawołał wesolo grajek — zdaje mi się, że ja byłem jednym z tych pocziwych mnichów, o których pan dopiero co wspominałeś... tak, zdaje mi się, że ja byłem kiedyś mnichem. Trzeba będzie to sprawdzić, jak będziemy przechodzić przez Geroldsek.

— Jakimże sposobem sprawdzisz?

— Pójdę do zamku, a jeżeli byłem kiedyś jednym z mnichów, tam mieszkających, odzyskam z łatwością drogę do piwnicy.

Mateusz zgromił zmysłowe popędy swego ucznia, jednakże w duszy śmiał się z jego żartów. Nie jest on doskonałością — mówił sobie — ma tę wadę, że myśli tylko o zaspokojeniu potrzeb fizycznych, lecz przytem jest tak pocziwy, że wielki Demiurgos przebaczy mu jego ułomności; zdaje mi się nawet, że śmiałby się sam z jego idei o mnichach i piwnicy w Geroldsek. I wielki myśliciel pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „On się nigdy nie zmienił zawsze taki sam zostanie!”

Tak gawędząc, przebywali drogę, wysadzaną drzewami orzechowemi. Słońce piekło i nasi wędrowcy jechali bokiem, aby w cieniu drzew mniej czuć spiekotę. Jak oko mogło dosięgnąć, rozciągała się niezmierna dolina Alzacji, pokryta kołyszącym się żytem, pszenicą i owsem, lekki powiew wiatru przynosił zapach świeżo skoszonego siana. Mimowoli spoglądali na rzeczkę. Moasig, płynącą w cieniu



wierzb i myśleli o rozkoszy wykąpania się w jej świeżej i chłodnej wodzie.

Koło południa Franciszek Mateusz i jego uczeń zatrzymali się przy źródle, otoczonem olszyną, tuż przy drodze. Kuku Piotr umieścił w niem butelkę wolxheimu dla ochłodzenia, wyjął zapasy z torby i zasiadł przy swym mistrzu, pomiędzy dwoma zagonami owsa, zasłaniającego go zupełnie od skwaru słonecznego.

Jest to prawdziwa rozkosz, po męczącej drodze, odpoczywać w cieniu, słuchając szmeru strumyka, sączącego się w trawie, i patrząc na tysiące owadów, krążących nad dojrzałemi kłosami zboża, kołyszącego się dookoła.

Brunon pał się na pochyłości wzgóрка. Kuku Piotr jadł z widocznem zadowoleniem i od czasu do czasu, mlaskając językiem, pokazywał butelkę Mateuszowi, lecz nasz filozof przekładał wodę zdrojową nad najlepsze wino, zwłaszcza w czasie upału. Nareszcie wesół grajek przestał jeść i, schowawszy nóż do kieszeni, odezwał się z miną pewną siebie:

— Wszystko nam idzie dobrze, mistrzu! Wielki Demiurgos widocznie się nami opiekuje... to jasne, jak słońce. Jesteśmy daleko od Sawerny i jeżeli teraz złapie nas ten przekłety prokurator, to pozwalam się natychmiast powiesić. Łyknijmy sobie jeszcze... i dalej w drogę, bo, jeżeli się spóźnimy, zastaniemy bramy miasta zamknięte.

Zawiązał worek, Mateusz wsiadł na Brunona i ruszyli dalej, pełni ufności i odwagi.

Skwar przeszedł, cień od sąsiednich wzgórz przedłużał się coraz bardziej i zakrywał drogę, a podmuch wiatru od Renu ochładzał powietrze.

W każdej wsi Kuku Piotr przypominał sobie, że mu zostało sześć franków z pieniędzy, danych przez Teresę, i wstępował do najbliższych karczem. Wszędzie spotykał kogoś znajomego, a tem samem znajdował sposobność ofiarowania lub przyjęcia od kogoś butelki, lecz Mateusz, pomimo prośb swego ucznia, nie chciał nigdzie wstąpić i zostawał na koniu przed drzwiami szynku, otoczony przyglądającymi mu się wieśniakami. Czasami przyjmował szklanekę, podaną mu przez okno, lecz tylko dlatego, by się trącić z licznymi przyjaciółmi swego ucznia. Nareszcie, już pod wieczór, ujrzeli starożytne miasto Strasburg. Na każdym kroku ruch powiększał się, co chwila spotykali powozy i woźniców, prowadzących konie za cugle, strażników celnych, uzbrojonych żelaznymi rożenkami, omnibusy, napakowane popisowymi. Mnóstwo światełek błyszczało zdaleka, odbijając się w ciemnych wodach rzeki. Gdy, przebywszy most i wyminąwszy odwach, wjechali pomiędzy stare domy, oświetlone latarniami, gdy ujrzeli świetne magazyny, cukiernie, księgarnie, bramy, zawałone towarami, wąskie uliczki, ginące w ciemności, wszystko to wywołało przed oczy doktora dawne wspomnienia.

W Strasburgu przebył Mateusz najpiękniejsze lata swego życia; oto piwiarnia „Heron”, w której co wieczór, wyszedłszy z amfiteatru, palił fajkę i pił piwo w towarzystwie Ludwika, Konrada i tylu innych kolegów! Tu senjor przemawiał poważnie do zgromadzonych burszów, a ładne służące przebiegały koło nich, śmiejąc się do jednego, odpowiadając mrugnięciem drugiemu i wybiegając na wołanie gospodyni. O! dni młodości, jakżeście już daleko! Co się z wami stało? Konradzie! Ludwiku! niezmordowani hu-



lacy?... co robicie ot czterdziestu lat?... I wy, Basiu! Różo! Karolino! gdzie jesteście? byliście tak świeże, lekkie, pełne wdzięku, żeście olśniewały młodego Franciszka, zawsze poważnie siedzącego na rogu stołu, palącego fajkę spokojnie, z oczami, utkwionymi w sufit, i może rozmyślającego już o swych przyszłych odkryciach antropo-zoologicznych. Co się z wami stało? o gracie! zawsze piękne, wesole i pełne ufności w przyszłość? I wy daleko... bardzo daleko!... Biedny filozofie! zestarzałeś się, posiwiłeś i tylko twój system filozoficzny dodaje ci jeszcze energii.

Tak sobie marzył pocziwiec... serce biło mu gwałtownie, a tłum przechodzących, powozy, magazyny, domy następowały jedne za drugimi, nie mogąc go wyrwać z zadumy. Od czasu do czasu jednak widok niektórych miejsc przerywał melancholijne marzenia, nasuwając nowe: oto tu, przy komorze, pod dachem tego wysokiego domu, wznoszącego się nad rzeką, była jego izdebka, jego mały stolik sosnowy, poplamiony atramentem, łóżko z niebieskimi firankami... i on, Franciszek Mateusz, młody, wsparty łokciami nad wielką księgą in folio, przy lichej łojówce, studjował zasady mądrości Paracelsa, utrzymującego, że dusza jest w żołądku, sławnego Bordeu, który duszę rozprowadza po wszystkich członkach, głębokiego La Caze, mieszczącego ją w ścięgnach diafragmy, przenikliwego Ernesta Platnera, czerpiącego ją z atmosfery zapomocą płuc, wielkiego Kartezjusza, który ją zamknął w gruczolach mózgowych, wogóle wszystkich wielkich mistrzów myśli ludzkiej! Przypominał sobie to

wszystko i uśmiechał się naiwnie, bo, wskutek tych studjów, wpadł na ślady prawdy.

— Ach! — mówił do siebie — ciało się wyczerpuje i słabnie, ale myśl codziennie przychodzi do większej potęgi, dusza nie starzeje się nigdy i nabiera coraz nowych sił w miarę stopniowego doskonalenia się materji!

Dalej trochę było mieszkanie Ludwiki, pocziwej, niewinnej Ludwiki, przedzającej ze skromną miną, gdy, siedzący u jej nóg na stołeczku, Mateusz wpatrywał się w nią całemi godzinami, szepcząc:— „Ludwiko, czy kochasz mnie?“ A ona mu odpowiadała:— „Wiesz o tem dobrze, Franciszku, że cię Kocham!“

O! słodkie wspomnienia! dlaczego jesteście już tylko marzeniem?!...

Pocziwiec rozkoszował się temi dawnymi wspomnieniami. Zdawało mu się, że słyszy jeszcze warczenie kołowrótka Ludwiki, gdy Kuku Piotr rozproszył jego marzenia zapytaniem:

— Mistrzu, gdzie idziemy?

— Idziemy tam, gdzie nas wzywa obowiązek — odpowiedział Mateusz.

— No, tak... ale do jakiego miejsca dążymy?

— Do miejsca najodpowiedniejszego propagowaniu doktryny.

Znajdowali się wówczas na rogu ulicy Arkad i zatrzymali się przy latarni.

— Chce się panu jeść, panie doktorze? — zapytał grajek.

— Trochę, mój przyjacielu.

— To tak, jak i mnie — mówił dalej Kuku Piotr, drapiąc się w ucho — wielki Demiurgos powinien nas zaprowadzić na kolację.



Mateusz spojrział na Kuku Piotra, który wcale nie miał miny żartującego, co i doktora uczyniło poważniejszym.

Blisko przez kwadrans stali tak i przyglądali się przechodzącym pod arkadami: przekupnie obwoływali swój towar, dziewczyny zatrzymywały się przy straganach, studenci brzękali ostrogami na chodnikach, trzaskając prętami, poważni profesorowie przeciskali się przez tłum z książkami pod pachą. Nareszcie Kuku Piotr zawołał:

— Zdaje mi się, mistrzu, że istność istności nie myśli w tej chwili o nas i trzeba się postarać zarobić na kolację kilka sous w jakiej piwiarni; gdybyś pan umiał śpiewać, mógłbyś iść ze mną, lecz gdy tak nie jest, musisz poczekać za drzwiami.

Trudno sobie wyobrazić smutniejsze położenie nad to, w jakim był pocziwy doktor, włóczący się od szynku do szynku i patrzący przez okno, jak jego uczeń grał i skakał dla utrzymania przy życiu doktryny. Napróżno myślał o swej wielkiej misji, napróżno przedstawiał sobie, że istność istności doświadcza jego odwagi, nim okryje chwałą, napróżno wmawiał w siebie pogardę marności świata, blasku i zbytku, napróżno wołał w duszy: „Próżność próżności! wielkość jest tylko prochem, ol wielkości doczesnej! zniknięcie, jak cień, i nie zostanie ani śladu po was!” Wszystkie te prawdy nie posłużyły mu do niczego, a w dodatku jeszcze Brunon gwałtem chciał wchodzić do wszystkich oberż, koło których przejeżdżali.

Zatrzymali się przynajmniej koło dwudziestu szynków i dopiero koło godziny dziewiątej Kuku Piotr miał w kieszeni pięć sous.

— Panie doktorze—rzekł skrzypek—żle nam idzie!

masz pan tu trzy sous, wypij pan szklanę piwa, ja kupię sobie chleba, bo mój żołądek strasznie piszczy.

— Dziękuję ci, Kuku Piotrze, dziękuję! — odrzekł smutnie mędrzec — nie chce mi się pić, lecz słuchaj: przypominam sobie w tej chwili, że Jerzy Müller, właściciel hotelu „Heron“, prosił mnie, żebym, gdy będę w Strasburgu, stanął u niego. Było to ostatniego dnia moich studenckich czasów. Jerzy Müller, widząc, że moi towarzysze i ja zapłaciliśmy mu wszystkie nasze długi, uściskał nas i ofiarował swój hotel, gdy kiedy przybędziemy do Strasburga. Dałem mu słowo, że u niego zawsze będę stawał; trzeba więc dotrzymać obietnicy.

— A jak dawno wyszedłeś pan z uniwersytetu? — zapytał Kuku Piotr, ożywiony nadzieją.

— Jest temu trzydzieści pięć lat — odrzekł Mateusz.

— Trzydzieści pięć lat! — zawołał grajek — i pan myślisz, że Jerzy Müller zawsze jest właścicielem hotelu?

— Bezwątpienia, widziałem jego szyld, przejeżdżając. Nic się nie zmieniło.

— No, to chodźmy do owego hotelu! Jeżeli nie zyskamy, to i nie stracimy na tem. Niech nas wielki Demiurgos prowadził

## XXI

Na katedralnym zegarze biła dziewiąta, gdy Franciszek Mateusz i jego uczeń stanęli przed hotelem „Heron“.

Wielki dziedziniec, ocieniony topolami, był pełen ludzi, banda cyganów zabawiała tłum muzyką, Kasper



Müller, z zawiniętymi rękawami od koszuli, chodził od jednego stołu do drugiego, ściskając za ręce gości i żartując wesoło z nimi, a wszystkie twarze, poważne i komiczne, niknące w cieniu lub napółoświetlone, przedstawiały obraz prawdziwie dziwny.

Jednak nasz znakomity filozof, zamiast robienia zwykłych spostrzeżeń nad powinowactwem rodzajów, przyglądał się ponurem okiem temu wszystkiemu. Patrząc, jak stał ze zgiętymi nogami i zwieszoną głową, możnaby go posądzić, że zwątpił o zwycięstwie swej doktryny i przyszłości pokoleń.

— Nol mistrzu—szepnął mu Kuku Piotr—odważnie! wejdź pan do swego przyjaciela Jerzego Müllera. Cóż, u diabła! przecie powinien pana poznać i... niech żyje wesołość! Bylebyśmy tylko znaleźli schronienie na dzisiejszą noc... Jutro przewrócimy świat do góry nogami.

Mateusz machinalnie wykonał, co mu grajek radził, zapiał surdut i wszedł zwolna na dziedziniec, wodząc niepewnym wzrokiem po grupach ludzi i nie wiedząc do kogo przemówić.

Kasper Müller spostrzegł go, błądzącego pod topolami, jak pokutująca dusza. Zainteresowała go pocziwa twarz, napiętnowana smutkiem, i poszedł ku doktorowi spytać, czego sobie życzy.

— Racz mi pan powiedzieć—rzekł Mateusz z głębokim ukłonem—gdzie mógłbym znaleźć Jerzego Müllera.

— Jerzego Müllera?... umarł, panie, już od piętnastu lat!

— Boże mój!—zawołał filozof stłumionym głosem—czyż można być nieszczęśliwszym ode mnie?

Uklonił się i zabierał do odejścia, lecz gospodarz,

wzruszony bolesnym wykrzykiem, zatrzymał go i, wzięwszy nabok, zapytał z dobrocią:

— Przepraszam, kochany panie, zdaje mi się, że pan jesteś w gwałtownej potrzebie, czy nie mógłbym panu oddać usługi w zastępstwie Jerzego Müllera?

— Rzeczywiście, panie—odrzekł Mateusz, którego oczy napęłniły się łzami—jestem w wielkiej potrzebie i przyszedłem prosić Jerzego Müllera o schronienie na tę noc; był on jednym z moich najdawniejszych i najlepszych znajomych i, jakkolwiek nie widziałem go od trzydziestu pięciu lat, pewny byłem, że jego serce nie zmieniło się dla mnie, spodziewałem się, że mnie dobrze przyjmie!

— Nie wątpię, panie—odpowiedział gospodarz—i ja, jako jego syn, przyjmę pana, tak, jakby on przyjął, gdyby żył, wierzaj mi, pan.

— Pan jesteś synem Jerzego Müllera?! — zawołał Mateusz—pan jesteś tym małym Kasperkiem, którego nieraz trzymałem na kolanach?! Ach! moje drogie dziecko! jakżem szczęśliwy, że cię widzę, nigdybym cię nie poznał z temi faworytami i tą czerstwą twarzą!

Kasper Müller nie mógł powstrzymać uśmiechu przy tych naiwnych wykrzyknikach doktora, lecz, widząc tłum gości, cisnący się dokoła, poprowadził go do wielkiej sali, zupełnie wtedy pustej. Tu Franciszek Mateusz opowiedział, dlaczego i jakim sposobem wyjechał z Graufthalu, oraz liczne przygody swej podróży antro-po-zoologicznej. Kasper Müller wziął go poufale za ramię i rzekł:

— Jesteś pan pocziwy i zacny człowiek. Czy nie pan podpisany na akcie mego urodzenia?

— Jestem podpisany—odpowiedział doktor—nieboszczyk Jerzy prosił mnie na świadka...



— A cóż więcej potrzeba, naco tu dużo gadać? — przerwał Kasper — zostajesz pan u mnie, umieszczę pańskiego konia w stajni i zaraz przyprowadzę tu pańskiego ucznia.

Powiedziawszy to, opuścił Mateusza i poszedł wydać rozkazy.

Zaledwie Kuku Piotr połączył się z doktorem w wielkiej sali, gdy Karolina, jedna ze służących w obergerzy, przyszła oznajmić im, że wszystko już gotowe.

Pomimo tej przyjemnej wiadomości, Franciszek Mateusz nie mógł się pozbyć melancholji, która go opanowała. Zdawało się, że wielki Demiurgos, zamiast odsyłać do Jerzego Müllera, powinien był zaopatrzyć go we wszystko, potrzebne do egzystencji filozoficznej, tem bardziej, że on dla jego chwały opuścił Graufthal, nie wzięwszy z sobą ani grosza.

Zato Kuku Piotr, rozweselony tem, że znaleźli schronienie, podziwiał wszystko: wielkość hotelu, okazałe schody, liczne apartamenty, a gdy panna Karolina otworzyła ładny pokój i gdy spostrzegł okrągły stół, na którym stała waza i pól indyka nadziewanego, jego wdzięczność objawiła się wykrzykami:

— O wielka istotol istotol istotol teraz poznaję twoją wielkość i mądrość bez granic! Co za uczta dla biednych filozofów, którzy spodziewali się nocować na ulicy.

Słowa te wymówił z takim uniesieniem, że od razu spodobał się Karolinie, lecz nasz mędrzec nie odpowiedział wcale. Był zdenerwowany i rozmyślał o smutnym losie filozofów.

Rozważając, że największy filozof nowożytny, następca Pitagorasa, Filolausa i wszystkich mędrców

Indji i Egiptu, znakomity Franciszek Mateusz z Graufthalu, zamiast być przyjętym przez ludność z uniesieniem, zamiast być niesionym w triumfie po drodze, usłanej kwiatami, o mało co nie został na ulicy i nie umarł z głodu, — stawał się coraz bardziej melancholijnym i, jedząc, przypominał sobie przegrody podróży: kije w Oberbronn, knowania Jakóba Fiszera przeciw Brunonowi, zagrożenie galerami przez prokuratora w Sawernie i propozycję Kuku Piotra, żeby śpiewać w szynkowniach. To ostatnie szczególnie wstrząsało nim aż do głębi duszy i chwilami łzy napępniały mu oczy, bo widział siebie, wyciągającego rękę na rogu ulicy, jak Belizarjusz.

Kuku Piotr z początku nie zwrócił uwagi na smutek swego mistrza, lecz w końcu biesłady, spostrzegł ponurość Mateusza i zawołał, stawiając kieliszek:

— O czymże, u licha, tak myślisz, mistrzu? Nie widziałem pana nigdy tak smutnym!

— Myślę — odpowiedział filozof — że ród ludzki nie godzien jest poznać prawd antropo-zoologicznych. Zdaje mi się, że lud opanowała ślepotą i do tego ślepoty zasłużona; jest ślepy z własnej winy! Naprawdę starałem się przemawiać do ludzi nie słuchali głosu prawdy, nie dali się wzruszyć wymową i nie zmiękły ich serca! Naprawdę poświęciłem dla nich wszystko, co miałem najdroższego, opuściłem dom moich ojców, przyjaciół...

Doktor nie mógł domówić reszty. Serce wzbierało mu coraz bardziej, głos załamał się w gardle, wreszcie załzał się łzami.

W tej właśnie chwili Kasper Müller, zamknąwszy piwiarnię, bo już wybiła jedenasta, wszedł do pokoju z butelką wolxheimu w każdej ręce.



— Mój Boże! — zawołał, stając na progu — cóż to się stało? przyszedłem wypić kieliszek wina ze starym przyjacielem mego ojca i zastaję go, zalanego łzami!

Kuku Piotr podał krzesło gospodarzowi i opowiedział, co zaszło.

— Tyle tylko wszystkiego!... — rzekł Kasper Müller — a, mój kochany panie! czyż, doszedłszy do takiego wieku, nie znasz jeszcze ludzi? Ach! gdybym ja chciał płakać nad wszystkimi, którym zrobiłem jaką przysługę, a którzy odpłacili mi niewdzięcznością, płakałbym bez przerwy przez sześć miesięcy! Daj pan pokój!... jesteś pomiędzy dobrymi i szczerymi przyjaciółmi... wychylno kieliszek... stary wolxheim doda panu odwagi!

Mówiąc to, napełnił kieliszki i wznosił zdrowie doktora.

Lecz Mateusz zanadto był zmartwiony, by się odrazu rezweselić. Pomimo wybornego wina, pocieszających słów gospodarza i wesołości Kuku Piotra, jakaś chmura zakrywała czoło filozofa; dopiero gdy Kasper Müller wyprowadził na scenę dawne dobre czasy, doktor zaczął się ożywiać. Starzec z uniesieniem opisywał prostotę dawnych obyczajów, serdeczność dawnych mieszkańców Strasburga i ich życie rodzinne! Jego dusza, jego serce ożywiły się na wspomnienia przeszłości.

Kuku Piotr, wsparty łokciami na stole, palił poważnie fajkę, Kasper Müller uśmiechał się, a Karolina, siedząca przy kominku, drzemała. Głowa jej to spadała powoli, to nagle wznosiła się, jak na sprężynie.

Była już pierwsza godzina, gdy Kasper Müller

pożegnał swego gościa. Wtedy Karolina, napół śpiąca, zaprowadziła Kuku Piotra do sąsiedniego pokoju. Mateusz pozostał sam, podniósł firankę w oknie i kilka minut przyglądał się pustym i cichym ulicom; latarnie przygaszały, księżyc rzucał słabe światło na mury... i jakiś tęskny smutek opanował znów Mateusza. Zdawało mu się, że jest sam jeden tylko na świecie!

Nareszcie położył się spać, odmówiwszy pacierz, a gdy zasnął, przyśniła mu się piękna dolina Graufthalu. Słuchał szumu drzew, a czarny szpak w cieniu jodeł wyśpiewywał jakąś rzewną piosnkę.

Piękny to był sen!

## XXII

Krzyki handlarzy jarzyn przebudziły bardzo rano Franciszka Mateusza. Mgła, powstająca z Renu, zakrywała miasto, po bruku toczyły się ciężkie wozy.

Co za różnica z jego cichą chatką w Graufthalu i spokojną doliną, zarosłą jodłami! Tam tylko szum drzew, świegotanie ptaków i wesołe rozmowy kumoszek na progach chat przerywały mu sen ranny! Każdy, nawet najmniejszy szelest słyhać tam było doskonale w ciszy wiejskiej! Jakże przyjemnie było doktorowi rozmyślać pośród spokoju o wielkim Demiurgosie, czekając, nim Marta poda śniadanie!

Nasz filozof, podparłszy się łokciem, myślał o szczęściu domowem, jakie porzucił, o swoich górach malowniczych, ścieżkach, ginących w zaroślach, cichym szmerze Zinzel w piaszczystym korycie, widział w marzeniu rybaka, dążącego ku rzece z siecią na ramieniu, leśniczego, zmoczonego rosą, wracają-



cego do domu ze strzelbą, drwała, wychodzącego z budy z siekierą za pasem. Nawet Jan Klaudjusz Wachtmann, ze swym trójgraniastym kapeluszem i dużym nosem, wydał mu się jakąś istotą, uprzywielejoną od natury, używającą wielkiego, nieograniczonego szczęścia, gdy tymczasem on, biedny wygnaniec, bez domu, odpychany ze wszech stron, nie mający nawet kamienia, na którymby mógł głowę położyć, uważał się za najnieszczęśliwszego, najwięcej opuszczonego człowieka na świecie! Ach! gdyby nie miał wielkiej misji do spełnienia! gdyby nie był przeznaczony od wieków do obalenia przesądów! Lecz ileż mu sprawiło goryczy jego wielkie posłannictwo; ile nieszczęść i prześladowań ściągnęło na niego! Niestety! biedny myślicielu! jakże się wywiążesz ze swego zadania? gdzie się udasz, wyszedłszy z hotelu? co będziesz robił od rana do wieczora? i wieczorem, co się z tobą stanie?

Zajęty temi rozpaczliwymi myślami, ubrał się i zszedł ze schodów do wielkiej sali.

Tam okna były otwarte, służące zamiatały podłogę, pani Müller napelniała koszyczki owocami i bułkami dla dzieci, idących do szkoły. Scena ta rozerwała go trochę i sprawiła, że zapomniał na chwilę o trudnościach nawrócenia świata, a przytem Kasper Müller i Kuku Piotr, siedzący przy jednym z małych stolików, przyjęli go wesołemi okrzykami, co mu dało odwagi.

— Dzieńdobry, kochany paniel! jakże się spało?

— W sam czas przybywasz, mistrzu, zaraz podadzą śniadanie.

— Siadaj pan, panie doktorze. Katarzyno! oto ten pan, o którym ci mówiłem.

— Ach! witam pana, szczęśliwa jestem, że mogę pana poznać... tyle mi mówiono dobrego o panu.

Witano doktora na wyścigi, posadzono go przy stole i Karolina pokazała się wkrótce z kawą i śmietanką na tacy.

Przy tej okoliczności nasz filozof miał sposobność jeszcze raz spostrzec zmysłowe usposobienie swego ucznia. Gdy służąca nalewała mu kawę, Kuku Piotr rzekł:

— Wlej mi dużo kawy, powiem ci później dlaczego.

Mateusz napróżno dawał mu znaki, żeby powstrzymał swoją żarłoczność, co Kuku Piotrowi nie przeszkadzało mówić dalej:

— Śmietanki także możesz dużo nalać, zaraz powiem dlaczego.

— Dobrze, panie, dobrze — odpowiedziała służąca, nalewając filiżankę po same brzegi, poczem postawiła garnuszek i czekała, co powie skrzypek.

— Na co jeszcze czekasz, moja piękna? — zapytał wesoło.

— Żebyś mi pan powiedział, dlaczego chciałeś dużo kawy i dużo śmietanki.

— Al... dlatego, że mam zwyczaj kłaść dużo cukru — odpowiedział z rozwagą.

Wszyscy roześmieli się i Mateusz nie miał serca zgromić go.

Podczas śniadania, które się odbywało wesoło, nasz mędrzec nie miał czasu myśleć o swych projektach na przyszłość, lecz ku końcowi, przypominawszy sobie, że trzeba opuścić hotel, a nie wiedząc, gdzie się udać, posmutniał znowu.

Kasper Müller zdawał się czytać w duszy doktora.



— Panie doktorze — powiedział — musisz mi pan przyrzec jedną rzecz.

— Ach! mój kochany przyjacielu, wszystko, co tylko będę mógł, zrobię z przyjemnością.

— Zgodził słuchaj mnie pan: jeżeli zostaniesz w Strasburgu, pragnę koniecznie, żebyś pan mieszkał i stołował się u mnie.

Mateusz poruszył się, jakby chciał wstać, lecz Kasper Müller zatrzymał go, mówiąc dalej:

— Wysłuchaj mnie, pan, do końca, później odpowiesz. Jedna osoba więcej albo mniej w mym domu, nic nie znaczy...

— Ani dwie — dodał Kuku Piotr. — Gdy jest na trzy, to i czwarty się pożywi.

Kasper Müller nic nie odpowiedział na uwagę skrzypka i ciągnął dalej:

— Mam pańską obietnicę! Teraz, gdybyś się mnie pan spytał o radę, co do twoich wzniosłych projektów, powiedziałbym panu otwarcie, że, gdybym był na pańskim miejscu, powróciłbym do Graufthalu!

Mateusz patrzył wzruszony na swego gospodarza, nic nie mówiąc. Widocznem było, że jakieś postanowienie wyrabiało się w jego duszy.

— Wróciłbym do Graufthalu — mówił Kasper Müller — naprzód dlatego, że tam mógłbym robić więcej dobrego, jak gdziekolwiek indziej, a po drugie dlatego, że ludzie nie warci są, żeby się dla nich poświęcać: nie rozumieją pana lub nie zechcą zrozumieć, a Bóg jest wszechmocny i znajdzie sposób oświecenia swych dzieci, gdy będzie to uważał za potrzebne. Wreszcie, gdybym był na pańskim miejscu i zrobił

tyle dla ludzi, co pan zrobiłeś, uważałbym się za mającego prawo do odpoczynku.

Kasper Müller powiedział to głosem stanowczym, każdy wyraz zdawał się z serca pochodzić. Doktor bladł i czerwieniał naprzemiennie, ukrył twarz w dłoniach i zawołał:

— Sądziś więc, że dość zrobiłem dla ludzkości? że potomność nie potępi mnie? że spełniłem mój obowiązek?

— Czyś pan dość zrobił?! A któryż filozof zrobił tyle dobrego, co pan?! Poświęciłeś pan wszystko dla swego obowiązku, dla swej doktryny! No! mój kochany i zacny panie, przestań płakać! kto tyle zrobił, co pan, ten nie ma powodu do rozpacz. Zadowolenie własnego sumienia powinno panu wystarczyć.

Te słowa uspokoiły Mateusza, łzy płynęły mu z oczu, ale łzy, przynoszące ulgę. Czuł się zwyciężonym przez los i przez dobre rady prawdziwego przyjaciela. Lecz Kuku Piotr, widząc, że może stracić posadę wielkiego rabina, uderzył w stół ręką i zawołał:

— Ja powiadam, że możemy być pewni, iż świat nawrócimy! Nie trzeba porzucać dzieła w najpiękniejszej chwili. Bo cóż się stanie z przyrzeczoną mi posadą wielkiego rabina?... boś mi ja pan przecie przyrzekł, mistrzu, i nie zaprzeczysz pan temu!

Mateusz nic nie odrzekł. Nie miał do tego ani siły, ani odwagi, ale Kasper Müller, położywszy rękę na ramieniu apostoła, powiedział mu:

— Ja mam miejsce dla ciebie, kolego, miejsce odpowiedniejsze, jak posada wielkiego rabina. W mojej piwnicy wakuje posada służącego — trzydzieści franków miesięcznie, mieszkanie i stół, nie licząc grzeczności gości... he! co powiesz na to?



Na szerokiej twarzy Kuku Piotra odmalowało się zadowolenie.

— Heł heł panie Müller! — zawołał — masz pan dziwny dar trafiania w słabą stronę człowieka...

— Więc zrzekasz się godności wielkiego rabina? — zapytał gospodarz.

— Ha! ponieważ pan doktor...

— Nie, nie, sam się decyduj, bez odwoływania się.

— No! to niech żyje piwnical — rzekł Kuku Piotr, wstając — najwłaściwsze dla mnie miejsce w piwnicy! nic prawdziwszego nad to!

Gdy uczeń wyrzekł się doktryny, nasz mędrzec odetchnął, wznosił ręce do góry i powiedział z podaniem się:

— Wielki Demiurgos tak zadecydował, niech się dzieje jego wola!...

To były jedyne wyrazy żalu, bo, pomyślawszy, że wróci do Graufthalu, opanowała go niewysłowiona radość. O ile gorąco pragnął opuścić wioskę, o tyle teraz pragnął zobaczyć ją jak najprędzej. Gospodarz z żoną prosili go, żeby jaki czas pozostał u nich, przedstawiając mu, że dla jego zdrowia potrzeba parę dni odpoczynku, lecz to nic nie pomogło.

— Muszę jechać! — wołał, biegając po sali — muszę koniecznie jechać... nie zatrzymuj mnie, kochana pani, bo musiałbym ci odmówić. Przeznaczenie spełniło się! Kuku Piotrze, osiedlaj Brunona! idź, bracie! im prędzej, tam lepiej! Ach, moi przyjaciele! gdybyście wiedzieli jaki ciężar spadł z mego serca! Od dwóch dni ledwo żyłem, każdy krok, oddalający mnie od Graufthalu, sprawiał mi przykrość, lecz, dzięki Bogu, jadę już... wracam do domu!

Kasper Müller, widząc tę stanowczość, nie nalegał dłużej, by pozostał. Wyszedł z Kuku Piotrem i pomagał siodłać konia. Mateusz poszedł za nimi i kręcił się ciągle, nie mogąc pohamować niecierpliwości, nareszcie, widząc, że wszystko jest gotowe, rzucił się na szyję Kasпера Müllera, mówiąc:

— O szlachetne serce, godny synu Jerzego Müllera! nie zapomnę nigdy przysługi, jaką mi wyświadczyłeś! niech istność istności zleje na ciebie i twoją rodzinę wszystkie swe dobrodziejstwa!

Uściskał także Katarzynę i płaczącego Kuku Piotra.

Wkładał nogę w strzemień ze szczególną żywością, gdy uczuł, że go ktoś ciągnie za połę surduta. Obejrzał się i zobaczył, że Kuku Piotr wciskał mu coś w kieszeń.

— Co robisz, mój przyjacielu?—zapytał.

— Nic, panie doktorze, nic... to jest zadatek, dany mi przez mego gospodarza... Teraz, gdy pan już nie jesteś prorokiem, będziesz pan potrzebował pieniędzy. Pamiętaj pan jechać na Wasselonne, Marmoutier i Sawernę. Zatrzymaj się pan pod „Rogiem obfitości“, lecz nie pozwalaj się pan obdzierać oberżystom, bo pan jesteś zbyt dobry.

Mateusz patrzył, wzruszony, na swego ucznia.

— O Kuku Piotrze! Kuku Piotrze! — zawołał — jakiby z ciebie był dzielny człowiek, gdyby zmysłowość nie miała nad tobą takiej władzy! co za serce! co za poczciwość! naturalna! jakie uczucie sprawiedliwości!... mógłbyś być doskonałością!

Uściskali się znów, płacząc.

— Panie doktorze, nie mów pan tego — mruczał uczeń — nie mów pan tego, bo gotów jestem rzucić



wszystko i iść z panem, choćby mi przyszło pić czy-  
stą wodę!

Nareszcie doktor wsiadł na konia i odjechał, mó-  
wiąc:

— Niech istność istności wynagrodzi wam wszy-  
stko! niech zleje na was swoje dobrodziejstwa! Bądźcie  
zdrowi... moi drodzy!...

### XXIII

Franciszek Mateusz zastosował się do rady Kuku  
Piotra; zatrzymywał się we wskazanych oberżach i pła-  
cił za to, co wziął, jak przystało na człowieka, jadą-  
cego nie w interesie ludzkości.

Przejechał przez Wasselonne, Marmoutier, Sawer-  
nę, a na drugi dzień dojechał do płaszczyny Falberg,  
ciągnącej się aż do Graufthalu.

O świcie znajdował się przy wierzchołkach gór,  
u stóp których leżała jego wioska rodzinna. Czer-  
wony kogut Krystyny Bauer rozpoczął właśnie swój  
ranny koncert, a nasz filozof, usłyszawszy ten, znany  
sobie, głos, zapłakał z radości.

Brunon szedł wolno i rżał od czasu do czasu,  
jakby chciał powiedzieć: „Panie doktorze, oto nasza  
wioska; poznajesz pan tę ścieżkę, te zarośla, te wy-  
sokie drzewa, te słomiane strzechy, kąpiące się w ran-  
nej mgłę—to nasza wioska! Ach! panie doktorze, jakże  
się cieszę, że ją znów widzę!”

Pocciwy doktor Mateusz opuścił cugle na kark  
koniowi i zakrył twarz rękami, nie mogąc łez po-  
wstrzymać... po kilku chwilach odstonił oczy i pa-  
trzał w milczeniu.

Dzień świtający, biała mgła, skały, pokryte mchem, krzaki, zapach roślin, lekko powiewający wiaterek, wszystko przemawiało mu do duszy i czem więcej zbliżał się, tem okolica wydawała mu się piękniejszą. Każda rzecz wydawała mu się tak miłą, jakby ją pierwszy raz widział, jakby przy niej tysiąc lat przeżył.

— Boże mój! Boże! — mówił — dzięki Ci, żeś mi pozwolił wrócić w moje strony, do mojej kochanej wsi! Nie wiedziałem, naprawdę, jak kocham tę wieś, te drzewa, te chaty, tę rzekę, szemrzącą, te wysokie, kołyszące się, jodły, nie wiedziałem ile mi to jest potrzebne do życia... nie, nie wiedziałem tego!

Ścieżka rozszerzała się, wila w tę i ową stronę, jakby dla pokazania doktorowi całej okolicy. Po godzinie wjechał na piaszczystą drogę, a potem na most, prowadzący do wsi. Kroki Brunona rozlegały się na nim i pocziwe zwierzę rżało coraz mocniej.

W Graufthalu wszystko jeszcze spało, czerwony kogut podwajał pianie. Mateusz przyglądał się wszystkiemu po drodze: małym okienkom, dymnikom, dachom. Przyjemny chłodzący wiaterek pociągał od rzeki, nowe życie krążyło w członkach pocziwca. Nareszcie stanął przed drzwiami swego domku...

Zsiadł z konia i zajrzał przez płot do ogrodu, zobaczył perlącą się rosę na okazałych głowach kapusty. Co za świeżość, cisza i spokój!

Zastukał w okiennicę... czeka... Brunon rzy... słucha... ktoś idzie przez pokój... odsuwa zasuwkę... Serce Mateusza bije gwałtownie. — Otwierają się drzwi... i Marta... pocziwa, stara Marta, w nocnym czepku, wychyla się ze drzwi.

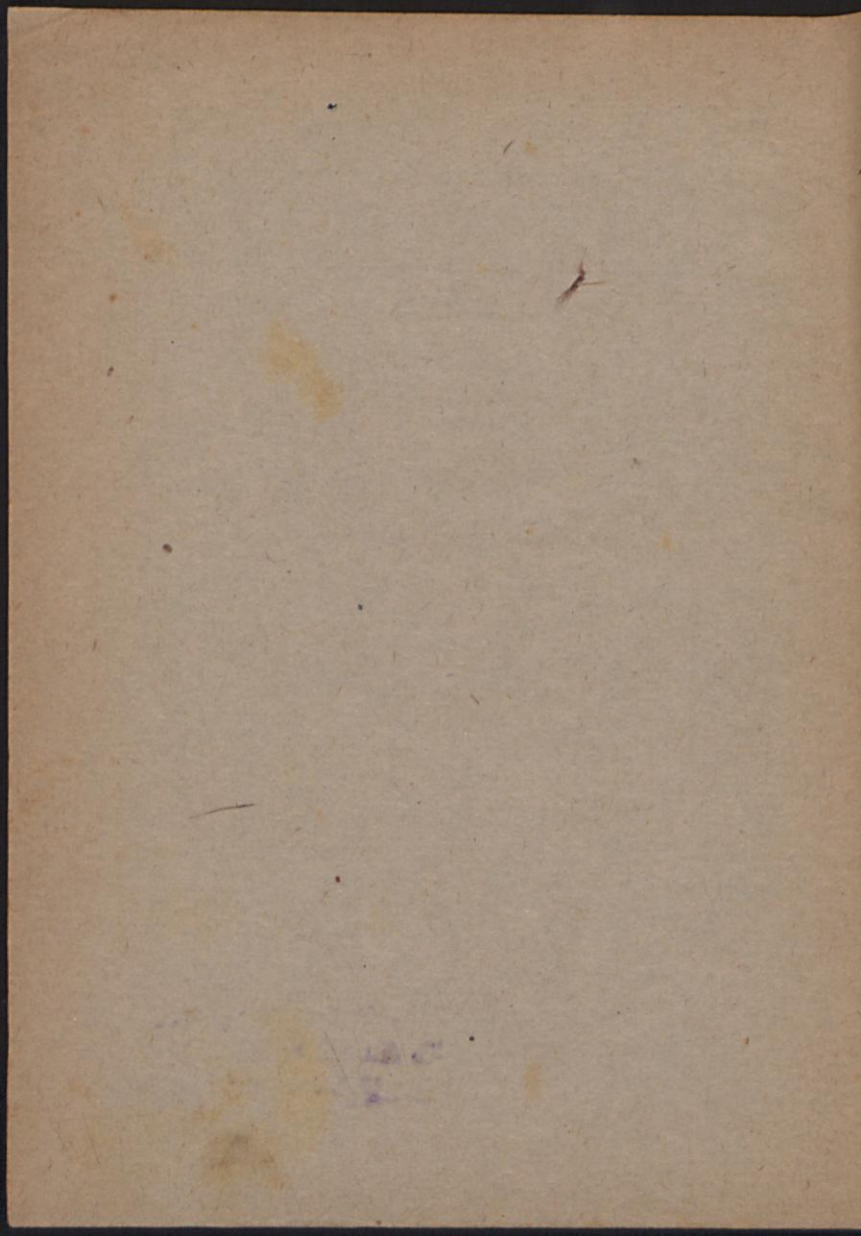


— Boże wielki! to pan doktor! Ach! mój Boże!  
czy to być może?

I pocziwe kobiecisko otwiera drzwi narozcież.  
Meteusz usiadł na ławeczce przed domem i płakał, jak syn marnotrawny...

---

BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
DR. JANA ZAMOŚCIEC  
Zamość.





## Prenumerata Biblioteki Groszowej

|                                  |              |
|----------------------------------|--------------|
| Kwartalnie z przesyłką pocztową  | zł. 9 gr. 95 |
| Miesięcznie z przesyłką pocztową | 3 " 85       |
| W oprawach, kwartalnie           | 13 " 95      |
| " " miesięcznie                  | 4 " 80       |

Oprawne egzemplarze posiadamy w ograniczonej ilości i, o ile zapas starczy, nie prenumeratorzy otrzymywać mogą oprawne tomy po 1 zł. i 45 gr. za tom.

Prenumeratory otrzymują perjo-  
dycznie jako dodatek bezpłatny „Bajki  
Polskie w opracowaniu St. Dzikow-  
skiego z ilustracjami Nortlina, Bajki  
Czarskiej, ilustrowane „Obozownict-  
wo” i inne.

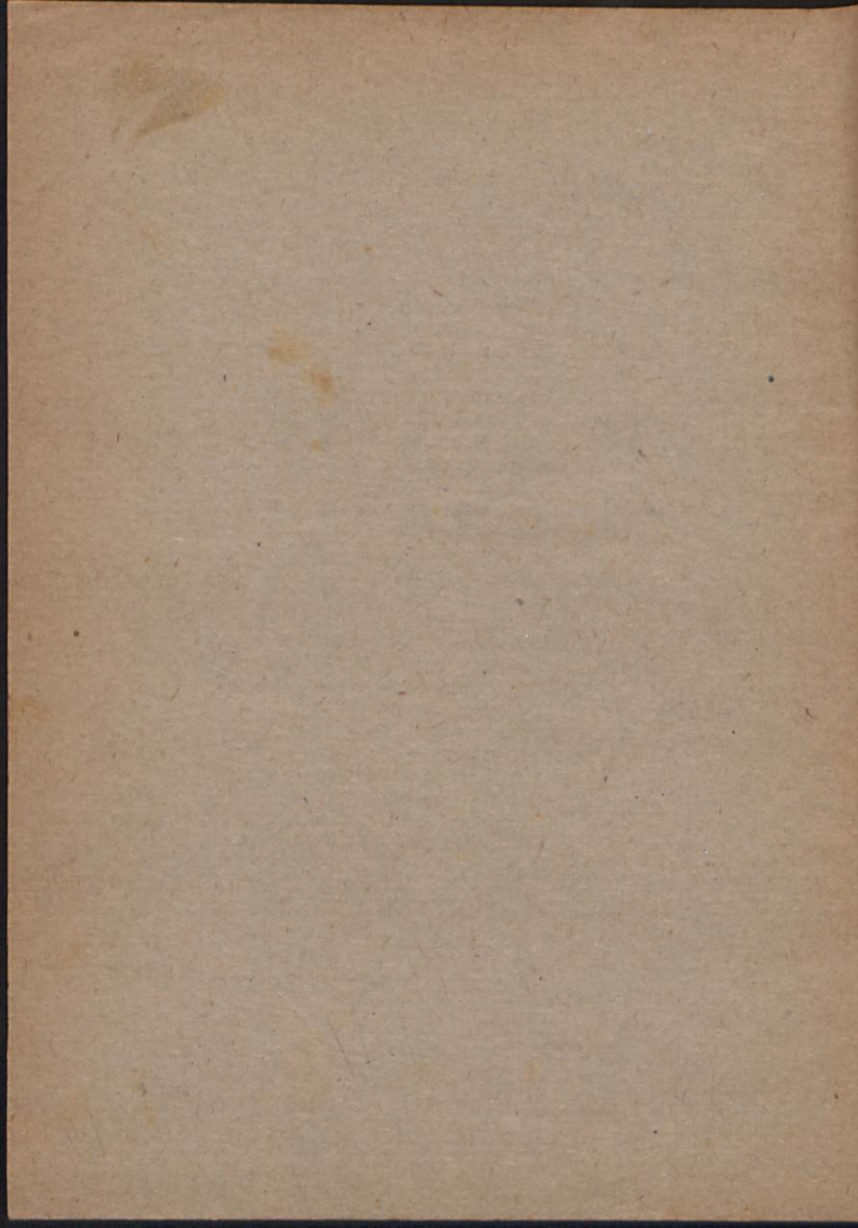
Prenumeratę prosimy wnieść na  
nasz rachunek w P.K.O. № 11140.

Należność za prenumeratę, może  
być na życzenie, pobrana za zalicze-  
niem pocztowem t. j. będzie wręczo-  
na pocztyljonowi przy odbiorze pierw-  
szego tomu danego kwartału z doli-  
czeniem kosztów za zaliczenie.

Wszelkie korespondencje związa-  
ne z prenumeratą prosimy adresować

Biblioteka Groszowa S. z o. o.

Warszawa, ul. Moniuszki 11.





**List zwrotny**  
**DO BIBLIJOTEKI GROSZOWEJ**

**w Warszawie**  
**ul. Moniuszki II.**

Upraszam o nadsyłanie wydawnictwa tygodniowego

**Biblioteka Groszowa**

Należność, z przesyłką pocztową:

Za kwartał **zł. 9 gr. 95**

„ miesiąc **zł. 3 gr. 35**

jednocześnie przesyłam przekazem  
(P. K. O. **11.140**).

Proszę pobrać za zaliczeniem pocztowem.

Wiersz nie-  
potrzebny  
przekreślić

Imię i nazwisko .....

.....

Adres .....

.....

.....

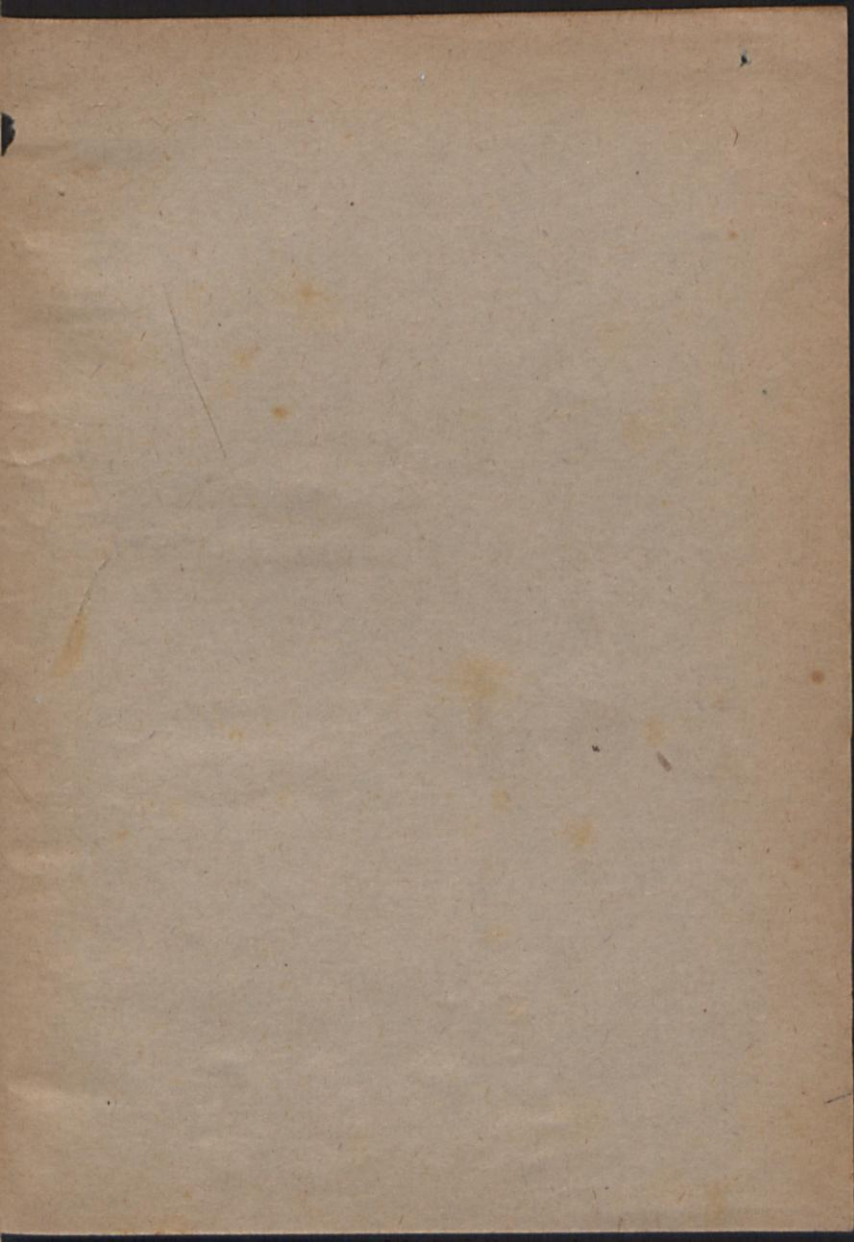
Zamówienie.

Do Biblioteki Groszowej

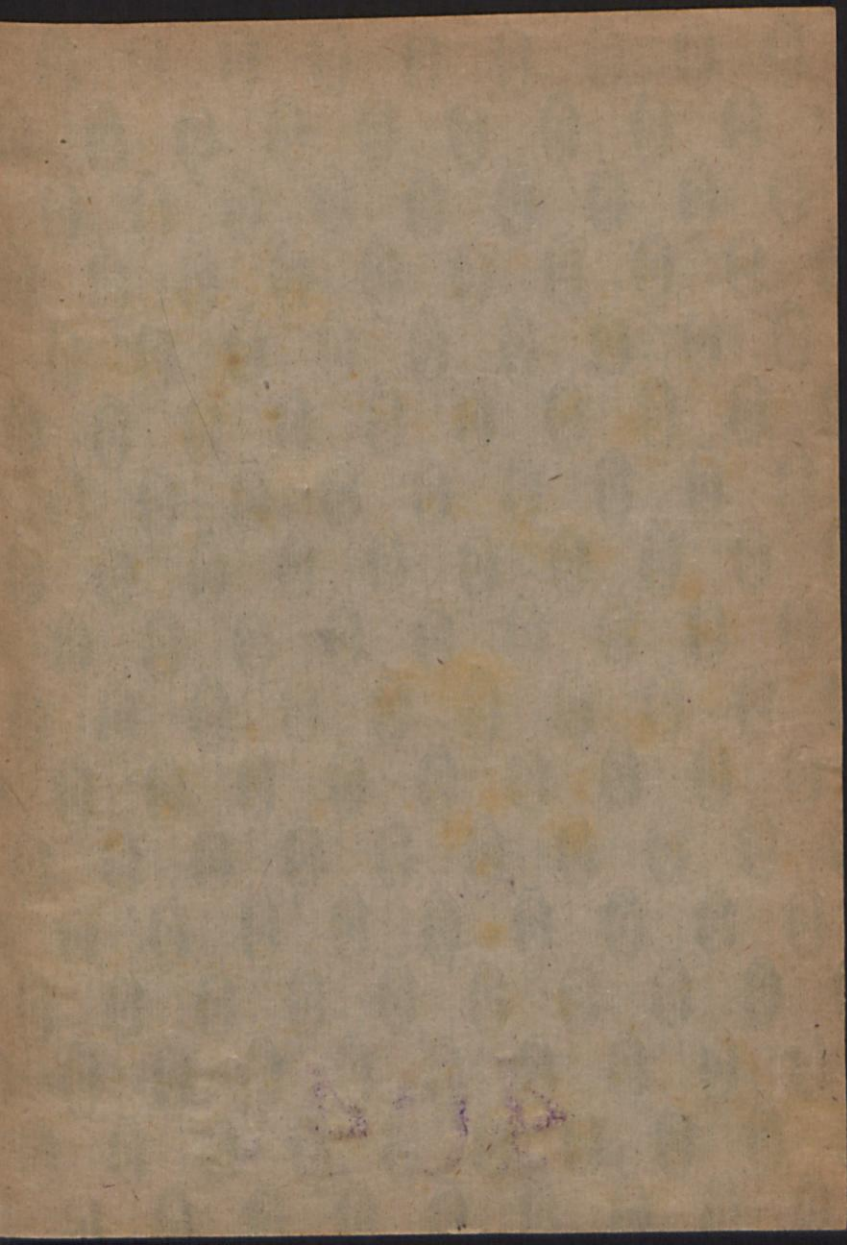
w Warszawie,

Moniuszki 11 m. 1.





261





THE JOURNAL OF THE  
ROYAL ANTHROPOLOGICAL INSTITUTE

4040





Księgozbiór BP



10084459

Zamość ul. Pereca 14  
Biblioteka Publiczna